Przekazy PiS na jesień • Życie uczuciowe zetek • Udręki hipochondryka
Pasikowski o „Zamachu na papieża” • KULTURA+: hity sezonu • Po co ONZ

POLITYKA.PL

POLITYKA



Poradnik:
jak się chronić,
co spakować

ATAK DRONÓW

Raport z wojny hybrydowej

s. 10–21

TYGODNIK, nr 38 (3532), 17.09–23.09.2025 Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 23.09.2025
ISSN 0032-3500
38

© EPIOTRKOW.PL

RAINBOW

R.pl



Wszystkie

Oblicza Egzotyki

Tajlandia Wietnam Sri Lanka Filipiny Indie

eprasa.pl 8b5cbd649a

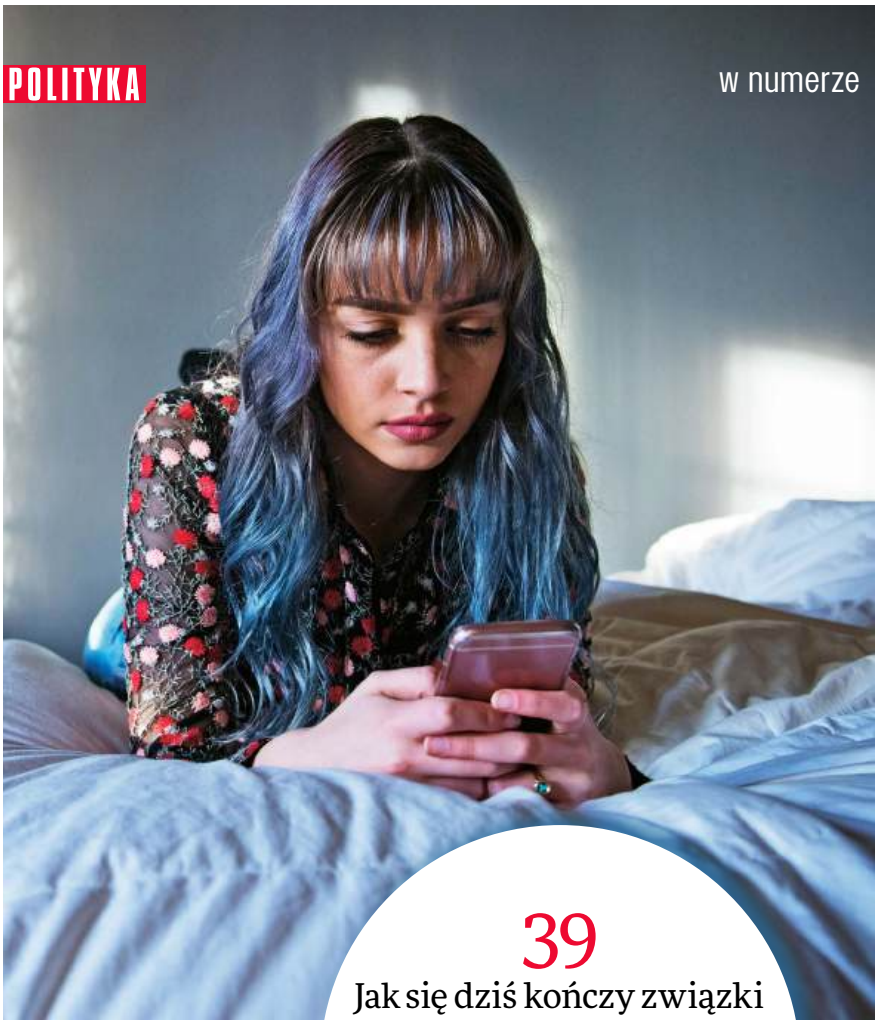

39 Jak się dziś kończy związki

Tematy tygodnia

10 Marek Świerczyński **Szturm dronów**
14 Katarzyna Kaczorowska **Dorota i wojna za płotem**
17 **Michał Fedorowicz**, analityk internetu i mediów społecznościowych, o przegrywanej przez nas wojnie komunikacyjnej
18 Marcin Piątek **Jak przygotować plecak ewakuacyjny**

Polityka

22 Rafał Kalukin **Groźna licytacja na populizmy**
26 Mariusz Janicki **Jak neutralizować przekazy PiS**
29 ROZMOWA POLITYKI **Władysław Pasikowski**, reżyser „Zamachu na papieża", o geopolityce, polskim Kościele i współpracy z Bogusławem Lindą

Społeczeństwo

33 Juliusz Ćwieluch **Kosztowne odszkodowania dla opozycjonistów**
36 Paweł Walewski **Udręki hipochondryka**
39 Marcin Kołodziejczyk **Zghostowani, czyli jak zrywają ze sobą zetki i alfy**

Rynek

42 **Piotr Ciepiela**, specjalista od cyberprzestępczości, o ataku obcych cyberwojsk na polskie firmy
45 Cezary Kowanda **Czeskie pociągi na polskich torach**

Świat

48 Patrycja Sasnal **Po co nam ONZ?**
51 Jarosław Kuisz FRANCJA **Karuzela z premierami**
54 Tomasz Zalewski USA **Zabójstwo Charliego Kirka**
56 Mariusz Zawadzki PODRÓŻE Z POLITYKĄ **Ukradziony nowojorski Williamsburg**

Nauka/projektpulsar.pl

60 Agnieszka Krzemińska **Skąd pochodzą Słowianie? – nowe badania, stary spór**
64 Katarzyna Czarnecka **15 finalistów 25. edycji Nagród Naukowych POLITYKI**
66 Łukasz Tychoniec **Od gwiazdy do planety**

Historia

68 O polityce historycznej Mieczysława Moczara opowiada prof. **Paweł Machcewicz**
71 Adrian Sandak **Niemieckie kasyno dla Polaków w okupowanej Warszawie**

KULTURA+

78–94 • Kalendarium • Reżyserka Natalia Korczakowska o swoim spektaklu „AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia" • Wystawa strojów na Zamku Królewskim w Warszawie • Triennale Tkaniny w Łodzi • Katarzyna Jordan, założycielka Fundacji Visteria, o szansach polskiego dizajnu • Kolekcja CSW Elektrownia w Radomiu • Gdzie słuchać Chopina • Od Moniuszki do Sikory: nowy sezon operowy • Mała Warszawska Jesień • Swans i inni: przewodnik koncertowy • Jak Ziemia Kopernika pokazała się w Japonii • Polska muzyka na EXPO w Osace • Wrocławski American Film Festival • Nowy Warszawski Festiwal Filmowy

96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Najbardziej absurdalne zakłady**
• **Taniec białej gołębicy**
• **Fitować, czyli pasować**
• **Turystyka supermarketowa**
• **Greckie wina na nowo**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **97** Orliński • **98** Koziołek
• **99** Chutnik i Plebanek • **100** Mizerski
• **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

! Korzystaj tylko z wiarygodnych źródeł informacji

eprasa.pl 8b5cbd649a



Latawce gotowce

Bartek Chaciński

Polską przestrzeń powietrzną nocą 10 września naruszyło 19 wysłanych przez Rosjan dronów. Nawet to z pozoru proste i oczywiste stwierdzenie przestaje być takie proste i oczywiste, gdy weźmiemy pod uwagę, że 19 to liczba podawana przez polski rząd, a już ośrodek prezydencki informował o 21 dronach. A czy w ogóle naruszyły? Donald Trump w programie Fox News mówił np., że zostały strącone i dopiero wtedy spadły na terytorium Polski – w takim razie kilka z nich musiałoby spadać wyjątkowo długo, skoro jeden zlądował prawie 300 km na zachód od granicy. Nasz rząd mówi jasno o celowej operacji. Ale gdyby wierzyć Trumpowi i jego otoczeniu, trzeba by było mówić o – jak to nazwał – „pomyłce". Czyli jednej nocy ktoś się pomylił 19 lub 21 razy z rzędu. A już następnej nocy – zero. Co więcej, kiedy już przedstawiciele amerykańskich władz się w tej sprawie wypowiedzieli – na co trzeba było długo czekać – prezydencki minister Marcin Przydacz przyznał, że może istotnie niektóre z tych dronów wleciały do nas „nieco przypadkowo".

I tak właśnie – nieco przypadkowo tu, przez pomyłkę gdzie indziej, a w pozostałych miejscach zapewne w wyniku nieporozumienia – Rosjanie prowadzą realne działania, gotując Zachód jak żabę i przesuwając granicę słynnego art. 5 NATO centymetr po centymetrze. Doprowadzają przy tym do paniki ludzi, szczególnie na Lubelszczyźnie. Tam dwa dni po ataku dronów znów zamknięto lotnisko, w kilku miastach zawyły syreny, co tylko rozjuszyło mieszkańców: ostrzeżenie dźwiękowe już jest, na instrukcje na temat postępowania i miejsc do schronienia się przed zagrożeniem czekamy (ale nadchodzą – więcej na s. 18).

Dlaczego piszemy o „ataku", skoro obyło się bez strat w ludziach, a zniszczenia w domu w Wyrykach były raczej efektem działań obronnych niż samego drona (piszemy o tym w reportażu na s. 14)? Bo znamy bardzo dobrze ładunek, jaki niosły te lecące od wschodu drony. Była to mianowicie mieszanka paniki, medialnego i politycznego chaosu oraz precyzyjnie wycelowanej dezinformacji.

Dane agencji Res Futura, analizującej komentarze publikowane na głównych platformach społecznościowych, ujawniły przy tej okazji drugą stronę tej wojny hybrydowej: 38 proc. tychże wpisów (przy czym mówimy o komunikatach w sieci, często anonimowych, a nie sondażu opinii) wskazywało na Ukraińców jako odpowiedzialnych za atak dronów. Rosjan obwiniało o to 34 proc. postów, przy czym aż 8 proc. wskazywało jako winnych media. „Atak dronów przebiegał symultanicznie w przestrzeni realnej i wirtualnej" – mówi Michał Fedorowicz, szef kolektywu Res Futura w rozmowie z POLITYKĄ (s. 17). Ten wirtualny obejmował nie ładunki wybuchowe, tylko skrypty narracyjne. Co to takiego? Gotowce, które wystarczy kopiować i puszczać dalej. I które są tak atrakcyjne, że choćby pachniały ściemą na kilometr – jak ostatnio Macron z czterema nogami przed gabinetem Trumpa – i tak się rozejdą, bo zgadzają się z poglądami aktywnej grupy użytkowników i pozwalają zbierać lajki.

W tym wypadku przekaz gotowców brzmiał (w uproszczeniu): „to nie nasza wojna" i właśnie „winni są Ukraińcy". „Jak tak dalej pójdzie, Rosjanie podbiją nas nie dzięki czołgom, ale na Facebooku" – komentował (na polityka.pl) ten zalew fake newsów Michał Fiszer, relacjonujący wydarzenia wojenne od początków agresji na Ukrainę. Bo militarnie jakoś nam z dronami wyszło (dokładny przebieg operacji opisuje na s. 10 Marek Świerczyński), ale na wirtualnej linii frontu straty są potężne. Na razie operacje partyzanckie w rodzaju hasztagu #PolskieOnuce na platformie X (punktującego osoby przekazujące proputinowskie narracje) widać lepiej niż działania rządu.

Dzisiejszy szybki obieg medialny uczy nas tego, że w pierwszej chwili łatwo się zagubić w sprzecznych komunikatach, a kiedy już naprawdę wiadomo, co się wydarzyło, mało kogo to interesuje, bo pojawia się nowy gorący temat. Żyjemy więc w błędnym kole niesprawdzonych informacji, teorii spiskowych, a często świadomie przekazywanej dezinformacji. Modelowy przykład tychże mieliśmy, gdy tego samego 10 września zastrzelono Charliego Kirka (piszemy o nim na s. 54) – radykalnego aktywistę i influencera, którego tezy o świętości prawa do broni palnej, zaprzeczanie zmianom klimatu czy twierdzenie o konieczności ograniczenia pomocy dla Ukrainy torowały drogę Trumpa do wyborczego zwycięstwa (swoją drogą to właśnie ta sprawa, a nie drony w Polsce, zaprzątała głowę amerykańskiego prezydenta). Zamachowca już schwytano, choć w obiegu medialnym wciąż jest jak kot Schrödingera: jednocześnie skrajnym lewakiem (w opinii prawicy) i zaprzysięgłym konserwatystą (w opinii lewicy). Jeśli nawet w końcu dowiemy się na pewno, jakie były jego motywacje, ta prawda mało kogo już będzie interesowała. Zagłuszą ją inne sprawy.

Ostatecznie żyjemy w ciągłym zwątpieniu w sens i prawdziwość doniesień. Jest tak jak w ulubionej maksymie fascynującego się potęgą informacji Williama Burroughsa: jeśli nic nie jest prawdą, wszystko wolno. To cena, jaką płacimy za przesunięcie akcentu z tradycyjnych mediów, w których ktoś znany z imienia i nazwiska ostatecznie odpowiada za to, co mówi i pisze, na rzecz mediów społecznościowych kierowanych przez koncerny, które już zauważyły, że strach i sensację najłatwiej spieniężać. A w tej dziedzinie Putin jest jednym z najlepszych dostawców. Czyżby to był powód, dla którego tego samego 10 września wiceprezydent J.D. Vance – zamiast wspomnieć o dronach nad Polską – zauważył, że „nie ma potrzeby, by izolować Rosję ekonomicznie"?

eprasa.pl 8b5cbd649a

Albatros travel

Bhutan

Królestwo Grzmiącego Smoka

Fascynująca podróż przez dawne królestwa Himalajów: indyjski Darjeeling i Sikkim do Bhutanu – kraju szczęśliwych ludzi i królestwa Grzmiącego Smoka.

Zapraszamy w podróż łączącą fascynujące miasta, kulturę i majestatyczną naturę. Rozpoczynamy w Delhi, by następnie odkrywać Himalaje i Darjeeling z plantacjami herbaty oraz tybetańskimi wpływami. W Bhutanie, gdzie szczęście obywateli jest priorytetem, odwiedzimy świątynie, klasztory i miejsca związane z tradycyjnym rzemiosłem – warsztaty tkackie, malarstwo thangka czy Instytut Medycyny. Stolica Thimphu z ruchem kierowanym ręcznie podkreśla unikalność kraju. Wśród pól ryżowych i górskich szczytów wznoszą się bielone klasztory, symbole duchowości Bhutanu.

Pełne wyżywienie

12 dni
Wylot z Warszawy
26/01 2026

18.998,-





2 posiłki dzienne

Jezioro Garda i Północne Włochy

Cudowna wycieczka nad słynne jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno. **Dz. 2** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 3** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 6** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

13 dni | Wyloty z Warszawy
15/04, 22/04 2026 | 5.498,-





Pełne wyżywienie na statku

Wielki rejs po Karaibach

Zapraszamy w niezapomniany rejs po Karaibach eleganckim statkiem Norwegian Getaway. Dodatkowo odwiedzimy Miami a na pokładzie statku zapewnimy pełne wyżywienie i wiele atrakcji.

Program wycieczki: Dz.1 Przelot Warszawa – Miami. Zakwaterowanie w hotelu w Miami. **Dz. 2** Spacer po Miami Beach i wejście na pokład statku. **Dz. 3** Rejs w kierunku Dominikany. Czas na relaks na pokładzie statku. **Dz. 4** Puerto Plata, Dominikana. Dzień w raju. **Dz. 5** St. Thomas, Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych. Wycieczka po wyspie i spacer po mieście Charlotte Amalie. **Dz. 6** St. John's, Antigua. Spacer i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Philipsburg, St. Martin. Tropikalny raj z holenderskim i francuskim akcentem. **Dz. 8** Basseterre, St. Kitts. Plantacje trzciny cukrowej, fortyfikacje i rajskie plaże. **Dz. 9** San Juan, Portoryko. Spacer po starym mieście. **Dz. 10** Dzień na morzu w drodze na Bahamy. **Dz. 11** Great Stirrup Cay, Bahamy. Rajskie plaże i wypoczynek w cieniu palm. **Dz. 12** Miami oraz transfer na lotnisko. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 01/02 2026 | 14.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL36**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 8b5cbd649a

Fundusz Kłopotliwości



Na kontach Funduszu Sprawiedliwości leży ponad 62 mln zł. Kolejne 450 mln zł decyzją ministra finansów przelano na lokatę bankową. A jednocześnie organizacje zajmujące się pomocą ofiarom przestępstw albo byłym skazanym ledwo wiążą koniec z końcem. Ministerstwo Sprawiedliwości miesiącami nie było w stanie sprawnie zorganizować konkursów na granty z tych środków. – *Za PiS szastali milionami. Dawali, ile wlazło. Tyle że tylko swoim. Jak PiS przegrał wybory, liczyliśmy, że wróci normalność, ale aż do przyjścia ministra Żurka nie mogliśmy się jej doczekać* – mówi szef jednego z NGO-sów, który prosi o anonimowość, bo nie chce iść na wojnę z resortem, na środki od którego ciągle liczy.

Po przegranej PiS sprawami Funduszu zajmowała się wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz. Podjęła nawet próbę ogłoszenia konkursów, ale resort sam się z nich wycofał. Wiceministra Rudzińska-Bluszcz próbowała również rozliczyć tych, którzy dotacje pobrali, ale po audycie okazało się, że albo w ogóle nie powinni ich dostać, albo nie realizowali obiecanych celów. W kwietniu ministra wyliczyła, że osiem podmiotów powinno zwrócić w sumie niemal 90 mln zł. – *Jak dotychczas jedynie Fundacja Mocni w Duchu 10 lipca 2025 r. zwróciła kwotę 400 800 zł z tytułu dotacji wykorzystanej niezgodnie z przeznaczeniem. Fundacja pokreśliła, że zwrot ma związek z realizacją zaleceń pokontrolnych NIK* – napisał resort MS w odpowiedzi na nasze pytania. Ale – jak zapewnia rzeczniczka – resort konsekwentnie dochodzi tych kwot i krok po kroku realizuje procedurę administracyjną.

Sprawa Funduszu Sprawiedliwości zdaje się jednym z priorytetów ministra Waldemara Żurka. Pierwsze konkursy na środki z Funduszu ogłoszono już kilka dni po objęciu przez niego urzędu. Minister był tak zdeterminowany, że podzielił zadania, żeby jak najszybciej ogłosić te konkursy, które były najlepiej przygotowane. W tym czasie rezygnację z funkcji złożyła ministra Rudzińska-Bluszcz.

Do końca września organizacje mogą składać wnioski o granty na łączną kwotę 120 mln zł. Resort zapewnia, że kolejne konkursy ogłoszone zostaną jeszcze w tym roku. Szczególnie ważne są te związane z pomocą byłym skazanym. Z badań wynika, że brak wsparcia po wyjściu z więzienia jest jedną z głównych przyczyn częstych powrotów za kraty. W polskich więzieniach przebywa średnio 80 tys. osób rocznie. Wiele z nich, zwłaszcza skazanych z wysokimi wyrokami, wychodzi z więzienia w pustkę. Państwo ma obowiązek zapewnić im jedynie bilet do miejsca zamieszkania. Jeśli ktoś nie ma ubrań, to za zgodą dyrektora więzienia może dostać buty i komplet odzieży stosowne do pory roku. JULL

Mediacje zamiast procesu

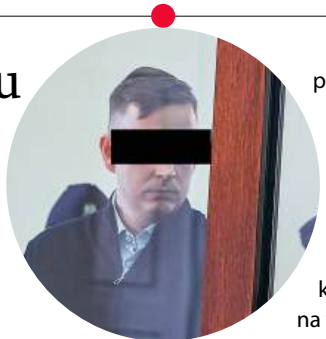

Dwa lata po wypadku na autostradzie A1 pod Piotrkowem Trybunalskim, w którym zginęła trzyosobowa rodzina, przed sądem stanął jego domniemany sprawca **Sebastian M.** Na wniosek obrony sąd skierował sprawę do mediacji.

To zaskoczenie dla dziennikarzy tłumnie zgromadzonych w sali Sądu Rejonowego w Piotrkowie Trybunalskim, ale też dla opinii publicznej. 16 września 2023 r. rodzice i ich pięcioletni syn spłonęli w aucie, gdy uderzyło w nich BMW, którym kierował Sebastian M. Nie został zatrzymany, potem ukrywał się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. 26 maja 2025 r. został sprowadzony do Polski. Według prokuratury M. ponosi wyłączną winę za spowodowanie wypadku. Grozi mu od sześciu miesięcy do ośmiu lat pozbawienia wolności.

Wniosek o mediację złożyła jego pełnomocniczka. Mecenas Katarzyna Hebda zasłynęła wcześniej wyciągnięciem z więzienia szalikowca Dariusza N., który został skazany na 25 lat pozbawienia wolności za zabójstwo w 2016 r. młodego piłkarza GKS Katowice (N. też ukrywał się za granicą, obecnie toczy się jego drugi proces). Przeciwny mediacji w sprawie Sebastiana M. był prokurator Aleksander Duda, wniosek poparł jednak pełnomocnik rodzin ofiar Łukasz Kowalski. Kierując sprawę do 30-dniowej mediacji, sędzia Renata Folkman podkreśliła, że to nie zastępuje procesu ani wyroku, ale wynik mediacji może wpłynąć na wysokość kary.

Czy Sebastian M. może „kupić" sobie wolność? Teoretycznie tak, bo mediacja może skutkować nie tylko złagodzeniem kary, ale też odstąpieniem od jej wymierzenia. Całkowite uniknięcie odsiadki jest jednak mało prawdopodobne ze względu na wagę przestępstwa i jego wydźwięk społeczny, a także na dotychczasową postawę Sebastiana M. Ten próbował umknąć wymiarowi sprawiedliwości, nie wyraził skruchy, nie przyznał się do winy, obarczał nią ofiarę wypadku. Według aktu oskarżenia na A1 nie interesował się losem ofiar, telefonował tylko do ojca – znanego biznesmena, zachowywał się tak, jakby „wjechał w kosz na śmieci", jak zeznał jeden ze świadków. Kilka godzin po wypadku M. próbował też zatrzeć ślady, przywracając swój telefon do ustawień fabrycznych. Potwierdziły się też wcześniejsze ustalenia POLITYKI, że gnał po autostradzie 315 km/h (do 329 km/h, jak to określiła prokuratura). „Poruszając się z irracjonalną wręcz prędkością, podejrzany doprowadził do sytuacji, w której nie był w stanie uniknąć wypadku" – podkreślono w akcie oskarżenia.

Sprawa ma wrócić na wokandę najwcześniej 22 października. Sebastian M. przebywa w areszcie śledczym, krewni ofiar nadal są pod opieką psychologa i nie są w stanie uczestniczyć w procesie, natomiast krewni sprawcy procesują się z tymi, którzy ich obrażali w internecie. (ZBOR)

© ŁUKASZ SZEŁEMEJ/EAST NEWS, TOMASZ STAŃCZAK/AGENCJA WYBORCZA.PL, DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 8b5cbd649a

Ordre de bataille



Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15

To wojskowe określenie, zapożyczone z języka francuskiego, a oznaczające porządek bitewny, przeniósł do polityki ponad sto lat temu Józef Piłsudski. Nazywał tak czynniki warunkujące jego najważniejsze decyzje. Militarne spojrzenie dobrze pasuje do dzisiejszej polityki, coraz bardziej przypominającej pole bitwy.

Swoje *ordre de bataille*, zgodnie z metodą Marszałka, koalicja 15 października winna zacząć od analizy planów przeciwnika. Rysują się one coraz klarowniej. PiS prowadzi ofensywę mającą dać mu samodzielne rządzenie w wyborach z 2027 r. Rolę pancernej pięści w tym ataku odgrywa prezydent Karol Nawrocki. By zwiększyć siłę rażenia, uzurpuje sobie uprawnienia, których nie daje mu konstytucja. Stroi się w garnitur Donalda Trumpa, nie zważając, jak diametralnie inne kompetencje dają głowie państwa konstytucje USA i Polski. To jeden z chwytów wojny psychologicznej, dzięki mediom społecznościowym coraz bardziej groźnej. Dezinformacja i prężenie muskułów mają przekonać Polaków, że obóz rządzący już leży na łopatkach i nie warto angażować się po jego stronie.

Tymczasem nic nie zostało jeszcze przesądzone. Świadczy o tym, wbrew propagandzie PiS, wynik wyborów prezydenckich. Owszem, zostały przegrane przez obóz rządzący, ale tylko o włos, i to nie w wyniku przewagi przeciwnika, lecz własnych błędów. Przy tak zrównoważonym podziale wpływów kolejną rozgrywkę może wygrać każda ze stron.

By uczyniła to koalicja 15 października, musi uporządkować swoje szeregi. Wojny nie wygrywa się bez sprawnego dowództwa. Sztabem składającym się z liderów wszystkich ugrupowań może kierować tylko szef Platformy Obywatelskiej, a konkretnie Donald Tusk, polityk najbardziej doświadczony, który potrafi wygrywać z Kaczyńskim. Rojenia o jego zmianie to brak realizmu albo łapanie się na lep pisowskiego hejtu.

Koalicjanci porzucić też muszą złudzenie, że zwiększą własną popularność kosztem partnerów. Nic tak przecież nie pomogło Nawrockiemu jak koalicyjna bijatyka w pierwszej turze, której skutków nie dało się już odrobić w ostatecznej rozgrywce. Tymczasem nie brakuje dowodów, że także po tej szkodzie politycy obozu rządzącego nie zmądrzeli. Tajne biesiadowanie z Kaczyńskim, konkurencyjne projekty ustaw, złośliwe wzajemne recenzje to tylko nieliczne z posunięć, które kontynuowane doprowadzą do klęski. I niech nikt nie łudzi się, że ocaleje na własną rękę. Kaczyński słabymi gardzi i nie bierze jeńców.

Najlepsze lekarstwo na wyniszczające, wzajemne podchody to szybkie przesądzenie strategii wyborczej na 2027 r. Trudno tu wymyślić bezpieczniejszą formułę niż dwa bloki wyborcze. Jeden z udziałem PO, PSL i Polski 2025 i drugi, radykalno-progresywny, złożony z Nowej Lewicy i partii Razem.

To tylko niektóre propozycje. Także pozostałe elementy *ordre de bataille*, w tym katalog spraw, których załatwienie będzie za dwa lata atutem wyborczym, koalicja 15 października winna szybko uzgodnić i realizować. To ona rządzi Polską, a nie prezydent i PiS, więc armat jej nie brakuje. Trzeba tylko je wytoczyć i strzelać do wroga, a nie do siebie.

Covid: rachunek za bałagan

Kiedy Covid-19 przetoczył się przez Polskę, rząd Mateusza Morawieckiego z Łukaszem Szumowskim, a później Adamem Niedzielskim na czele Ministerstwa Zdrowia, miał szansę pokazać się z dużo lepszej strony. Ale – jak wynika z miażdżącego **raportu Najwyższej Izby Kontroli** – obserwowaliśmy festiwal chaosu i niegospodarności. Rządowa administracja, zamiast prowadzić walkę z wirusem w sposób skoordynowany, wolała improwizować i z ponad 271 mld zł pandemicznych wydatków zmarnowała 20 mld.

NIK wyliczyła grzechy rządu z precyzją księgowego: 14 zbędnych szpitali tymczasowych za ponad 612 mln zł, w tym trzy, które nigdy nie przyjęły pacjenta. Do tego 8,9 mld zł na dodatki covidowe, wypłacane bez weryfikacji. Kupiono też sprzęt medyczny za 420 mln zł, który kurzył się w magazynach (8 rezonansów magnetycznych i 11 tomografów). Szczepienia, które miały być kołem ratunkowym, stały się polem minowym, bo minister kontraktował kolejne dawki, mimo że Polska miała ich dość, by zaszczepić każdego kilka razy. Efekt to 8,4 mld zł utopionych w nadmiarowych fiolkach. Nikt nie sprawdził też, czy kampania promująca szczepienia, na którą wydano ponad 115 mln zł, przyniosła jakiekolwiek efekty.

Specustawa covidowa, zamiast usprawnić działania, zniosła kontrolę nad publicznymi pieniędzmi, otwierając drzwi do niegospodarności. Pełnomocnik rządu ds. szczepień Michał Dworczyk nie wywiązywał się z obowiązków, a jego nominacja według NIK była formalnością bez sensu. Dane o zachorowaniach i zgonach, kluczowe dla walki z pandemią, były niewiarygodne, bo każdy – od lekarzy po sanepid – zbierał je po swojemu. W efekcie rząd walczył z wirusem po omacku, a obywatele słono za to płacili rekordową liczbą „nadmiarowych zgonów".



Dlaczego wszystko poszło tak źle? Bo decyzje – jak wskazuje NIK – były dyktowane bardziej kalendarzem politycznym niż logiką. Gdy wiosenny lockdown zadziałał, rząd zaczął myśleć o wyborach i wakacjach, rozluźniając obostrzenia wbrew epidemicznej rzeczywistości. Można powiedzieć, że pandemia była wyjątkowa, że każdy rząd błądził. Jednak w Polsce chaos stał się strategią.

Dobrze byłoby potraktować raport NIK jako lekcję na przyszłość. Izba domaga się zmian w prawie, lepszej koordynacji i rzetelnej analizy skutków pandemii. Bez tego każda kolejna kryzysowa fala znów nas zaleje. Pytanie, czy ktokolwiek wyciągnie wnioski, czy znowu będziemy improwizować? PAW

eprasa.pl 8b5cbd649a



Katar następny

Izrael zaatakował kolejny kraj. 9 września izraelskie siły lotnicze, łamiąc prawo międzynarodowe, uderzyły na biuro Hamasu **w Dausze**. Rakiety wystrzelone znad Morza Czerwonego przeleciały wysoko nad Arabią Saudyjską i uderzając w centrum katarskiej stolicy, zabiły kilku niżej postawionych działaczy tej palestyńskiej organizacji, uznawanej przez Zachód za terrorystyczną i odpowiedzialnej m.in. za atak na Izrael z października 2023 r. Celem byli prawdopodobnie główni negocjatorzy Hamasu, którzy obradowali właśnie nad propozycją rozejmu w Strefie Gazy, wstępnie przyjętą przez Izrael, a zaproponowaną przez prezydenta USA Donalda Trumpa.

Atak był dużym zaskoczeniem z uwagi na szczególną rolę, jaką odgrywa dziś Katar nazywany „bliskowschodnią Szwajcarią". Od lat gości spotkania trudne do wyobrażenia gdzie indziej, np. negocjacje między Amerykanami i talibami, a także jest bliskim sojusznikiem USA – stacjonuje tam kilkanaście tysięcy amerykańskich żołnierzy, a baza Al-Udeid jest najważniejszym lotniskiem US Air Force w regionie (nie mniej ważne są miliardowe inwestycje Kataru w USA).

Dlatego brak stanowczej reakcji Białego Domu może dziwić. Amerykanie, zbyt późno poinformowani przez Izraelczyków, nie mogli zapobiec atakowi ani nawet ostrzec Katarczyków. Ale też po fakcie Trump – mimo że to jego propozycje rozejmu „zbombardowano" – przyznał jedynie, że cała sytuacja nie zbliża stron do pokoju. Pod wpływem Amerykanów w rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ potępiającej atak nie pojawia się nawet słowo Izrael. Zbiegło się to z równie słabą reakcją Trumpa na bezprecedensowe wtargnięcie rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną – prezydent USA oświadczył, że mogła to być „pomyłka".

Izrael słynie z atakowania wrogów bez względu na to, gdzie się ukrywają. Legendą obrosła operacja Gniew Boży, w ramach której Mosad na całym świecie likwidował terrorystów odpowiedzialnych za atak na izraelskich sportowców podczas igrzysk w Monachium w 1972 r. Ostatnio celem są głównie liderzy palestyńskich organizacji. W 1997 r. dwóch agentów Mosadu otruło w Ammanie ówczesnego szefa Hamasu Chaleda Meszala i tylko szantaż władz jordańskich wymusił na Izraelczykach przekazanie odtrutki. Rok temu w Teheranie izraelskie rakiety zabiły szefa biura politycznego Hamasu Ismaila Haniję. W zeszłym tygodniu najważniejszym celem był zapewne główny negocjator Hamasu Chalil Al-Hajia. To jednak dość oryginalna taktyka negocjacyjna ze strony Izraela, tym bardziej że w ataku zginął syn Al-Hajii.

W poszukiwaniu motywów

Za zabójstwo Charliego Kirka, lidera konserwatywnej młodzieży w USA (o czym piszemy szerzej na s. 54), Donald Trump obwinił „radykalną lewicę". Jego akolici w Fox News i innych prawicowych mediach oskarżają liberałów o szerzenie nienawiści do prezydenta i całego jego obozu. Nienawistna retoryka popycha do zbrodni, czego dowodem były w 2024 r. dwa nieudane zamachy na Trumpa. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Liczba incydentów ideologicznie motywowanej przemocy wzrasta w Ameryce po obu stronach politycznego podziału. A według statystyk w ostatnich dekadach wśród sprawców więcej było prawicowych niż lewicowych ekstremistów.

Niecałe dwa dni po śmierci Kirka aresztowano zamkniętego w sobie 22-letniego **Tylera Robinsona**, dorastającego w konserwatywnej rodzinie mormońskiej, ale motywy jego czynu nie są do końca jasne. Narrację o „lewicowej ideologii" uzasadnia jakoś sam fakt, że na swoich wiecach Kirk demonizował jako zagrożenie dla Ameryki takie społeczne trendy jak wzrost ateizmu, akceptacja małżeństw homoseksualnych czy wielokulturowość. Sprawca nie ogłosił jednak żadnego ideowego manifestu i nie wyjaśnia śledczym, dlaczego zabił. O jego antyfaszystowskich poglądach ma świadczyć wygrawerowany na amunicji do jego karabinu napis („Hej faszysto, łap to!") i cytat z „Bella Ciao", pieśni włoskich partyzantów z ruchu oporu przeciw nazistom i dyktaturze Mussoliniego.



Robinson nie był znany z politycznej działalności, w wolnych chwilach przesiadywał nad grami komputerowymi i wymieniał memy na platformie Discord. Nazajutrz po zabójstwie rozmawiał w ten sposób ze znajomymi z sieci, a wysyłane im autoironiczne żarty mogą świadczyć o tym, że nie stracił poczucia humoru ani dobrego samopoczucia. Pasuje to raczej do portretu psychopaty o szczególnie pogmatwanym umyśle niż do stereotypowego wizerunku lewicowego terrorysty. Bardziej wiarygodne wydaje się na razie czysto psychologiczne wyjaśnienie zagadki mordu w Utah. Robinson mieszkał ze swoim rówieśnikiem, który zmieniał płeć na kobiecą i z którym miał podobno romans. A Kirk surowo potępiał transseksualizm i kampanie środowisk LGBT o swoje prawa. Śledczy badają ten trop.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

eprasa.pl 8b5cbd649a

Nepal: zetki obaliły rząd



Tego jeszcze nie było: potężna **manifestacja w Katmandu** – po zablokowaniu dostępu do mediów społecznościowych – zmusiła premiera Nepalu do dymisji. Od wielu tygodniu młodzi Nepalczycy, występujący jako pokolenie Z, zwoływali się pod hasztagiem #NepoKids w sprawie korupcji polityków, a konkretnie chodziło o ich świetnie sytuowanych rówieśników, dzieci partyjnych bonzów – zamieszczane tam filmiki pokazywały ich rozpasaną konsumpcję i przywileje. 30-milionowy Nepal jest bardzo młody (średnia wieku 25 lat) i biedny: 40 proc. ludności żyje poniżej progu ubóstwa. Codziennie, w poszukiwaniu lepszego losu, wyjeżdża za granicę 2 tys. osób (ale i ta sfera życia – wizy i pozwolenia – przeżarta jest korupcją), jest już ich dobre 4 mln, w tym żołnierze, najlepszy produkt eksportowy. Przelewy do rodzin w kraju to jedna czwarta PKB.

Z kolei klasa polityczna zużyła się i jest szczególnie cyniczna i zdeprawowana. Od 2008 r., kiedy obalono monarchię, było już 14 rządów, ostatni premier, szef partii komunistycznej K.J. Sharma Oli, rządził już wcześniej cztery razy, a teraz dogadał się z narodowcem, wczorajszym wrogiem. Dochodziło do przedziwnych aliansów i zwrotów, afera goniła aferę. Wreszcie młodzi zwołali się na manifestację, trochę wzorem Sri Lanki, Bangladeszu i Indonezji. Licealiści i studenci wyszli w mundurkach, było wesoło i pokojowo, ale akurat władze zablokowały dostęp do 26 mediów społecznościowych i komunikatorów, Facebooka, X, WhatsAppa i Instagrama (bo zbojkotowały obowiązek wyznaczenia lokalnego przedstawiciela i osoby odpowiedzialnej za moderację treści), więc pojawił się nowy powód protestu. Posunięcie to odebrano jako zamach na wolność i zemstę na mediach za krytykę władz. Gniew budził też prozaiczny skutek w postaci odcięcia kontaktów z diasporą.

Kiedy manifestanci okrążyli parlament i przełamali barierki, doszło do gwałtownych starć z policją, która użyła ostrej amunicji. W ciągu kilkunastu godzin zginęły 72 osoby, a ponad 1,5 tys. zostało rannych. Odwołano blokadę internetu, ustąpił też premier, ale było za późno. Następnego dnia zaczęło się plądrowanie i podpalanie urzędów państwowych, włącznie z parlamentem, siedzibą prezydenta i premiera, sądem najwyższym (gdzie spłonęło całe archiwum). Podpalano wille polityków, płonęły samochody, dewastowano hotele, banki, uwolniono więźniów, ucierpiały też siedziby mediów.

Porządek przywróciło wojsko, rozwiązany został parlament. W porozumieniu z manifestantami – to też nowość – tymczasową premierką została Sushila Karki, pierwsza kobieta na tym stanowisku i była przewodnicząca sądu najwyższego popierająca protest. W marcu mają się odbyć przyspieszone wybory. Zdążyło już powstać wiele teorii spiskowych; według najpopularniejszej z nich za erupcją przemocy i wandalizmu stoją obce siły i rywalizacja dwóch potężnych sąsiadów, Indii i Chin.

Wraca Interwizja

Władimir Putin wskrzesza Interwizję. Konkurs piosenki, który kiedyś był odpowiedzią obozu komunistycznego na Eurowizję, ma przywrócić Rosję na mapie międzynarodowych przedsięwzięć muzycznych. Finał wersji rosyjskiej zaplanowano na 20 września. Do udziału zgłoszono artystów z ponad 20 krajów. O składzie decydował klucz polityczny i stopień zażyłości z Kremlem. Oficjalnie pierwszeństwo mają piosenkarze z państw należących do formatów, w których integruje się Rosja, w tym BRICS, Szanghajskiej Organizacji Współpracy (która niedawno spotkała się na szczycie w chińskim Tiencinie) i WNP. Dlatego do Moskwy przyjechali reprezentanci Arabii Saudyjskiej, Białorusi, Brazylii, Chin, Egiptu, Indii, Kataru, RPA, Serbii, czterech środkowoazjatyckich „stanów" (bez Turkmenistanu) oraz Etiopii, Kenii, Kuby, Kolumbii, Madagaskaru, Wenezueli, Wietnamu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Najwięcej emocji budzi B. Howard, domniemany syn Michaela Jacksona, przedstawiany jako reprezentant USA, choć reprezentuje przede wszystkim siebie.

Obecna Interwizja z zapoczątkowanym w Czechosłowacji i kontynuowanym w Polsce pierwowzorem (w Sopocie ostatni raz w 1980 r. występowali m.in. Ałła Pugaczowa, Helena Vondráčková, Karel Gott i Czesław Niemen) dzieli jedynie nazwę. Niewiele ma też wspólnego z obecnym kształtem Eurowizji. Regulamin nie przewiduje głosowania publiczności. Werdykt ustali „profesjonalne jury". Tak zwanych reprezentantów krajów nie zgłaszają nadawcy telewizyjni. Mogą to robić choćby osoby prywatne, a o kwalifikacji kandydatów rozstrzyga jedynie akcept organizatorów. Przed wojną w Ukrainie putinowska Rosja chętnie występowała jako gospodarz czołowych wydarzeń sportowych i artystycznych. Uczestniczyła też w konkursach Eurowizji. Traktowała ją – znacznie poważniej niż państwa z Europy Zachodniej – jako arenę ekspansji kulturowej. Udanie, bo finał w 2008 r. wygrał piosenkarz Dima Bilan. Nowa Interwizja to inicjatywa państwowa, w lutym Putin podpisał specjalny dekret. Za sukces przedsięwzięcia odpowiedzialna jest rada ministrów, zwłaszcza dyplomacja. Oprawą konkursu zajmuje się Konstantin Ernst, główny zawiadowca ceremonii otwarcia igrzysk zimowych w Soczi w 2014 r.



© GETTY IMAGES, AFP/EAST NEWS, NIRANJAN SHRESTHA/AP/EAST NEWS, MAXIM SHIPENKOV/EPA/PAP



Drony nad Polską

To był atak, test czy prowokacja? Klasyfikacja jest drugorzędna, bo najważniejsze, by tego kryzysu nie zmarnować.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

To miała być rutynowa, choć i tak bezsenna noc dla polskiego i sojuszniczego systemu obrony powietrznej. Kolejny zmasowany atak Rosji na Ukrainę z użyciem kilkuset dronów był jak zawsze czujnie obserwowany, bo w każdej chwili mógł przynieść rykoszety. Od początku wojny było ich kilka, a coraz częściej zdarzały się w ostatnich tygodniach. Ale późnym wieczorem 9 września okazało się, że nadchodząca noc będzie szczególna i przejdzie do historii. Kiedy nie kilka, a kilkanaście naraz bezzałogowych obiektów latających (dziś wiemy, że mogło ich być ponad 20) przekroczyło polską granicę wschodnią, stało się jasne, że zarówno to zdarzenie, jak i reakcja nie będą takie jak wcześniej. Statystycznie rzecz biorąc, było to największe pogwałcenie przestrzeni powietrznej NATO przez Rosję od czasu istnienia Sojuszu. Gdyby coś takiego zdarzyło się w najbardziej napiętych czasach zimnej wojny, mogłoby wywołać trzecią wojnę światową. Ale choć od lutego 2022 r. bardzo wiele się zmieniło w relacjach NATO–Rosja, jedno na razie się nie zmieniło – zachodni sojusz obronny nie chce wojny z Rosją. Dlatego przekroczenia granicy kraju członkowskiego przez drony używane na co dzień w wojnie z Ukrainą NATO za akt wojny nie uznało. „Zaatakowana" Polska też nie, bo poprosiła sojuszników o pomoc w lepszej odpowiedzi na zagrożenie, a nie o obronę w reakcji na napaść.

Reakcja wojskowa od początku była sojusznicza i powtarzała scenariusz znany z poprzednich takich incydentów. Po nadejściu sygnałów, że nad Ukrainą znowu „się dzieje", zostały włączone naziemne radary (w tym stojącej pod Rzeszowem niemieckiej baterii Patriot), a w powietrze został wysłany samolot wczesnego ostrzegania AWACS. W dyżurze na wschodniej flance była akurat odrzutowa maszyna włoska Gulfstream, stacjonująca w estońskiej bazie. Polska dołożyła swój własny, niedawno nabyty ze szwedzkiego second-handu, turbośmigłowy Saab 340 AEW. Zaalarmowane zostały załogi par samolotów dyżurnych w bazach w Poznaniu i Łasku, w tym holenderskie F-35, których rola okazała się kluczowa. Ich patrol u wschodnich granic wspierał powietrzny tankowiec z międzynarodowej floty, z udziału

eprasa.pl 8b5cbd649a



Dron znaleziony w Czosnówce pod Białą Podlaską



w której Polska się wycofała po decyzji Antoniego Macierewicza. Samolotom towarzyszyły śmigłowce, które teoretycznie też mogą zwalczać drony. By wojskowe statki powietrzne mogły swobodnie działać, a w razie potrzeby lądować awaryjnie, czasowo zamknięte zostały cywilne lotniska na wschodzie kraju. To, co odróżniało ubiegłotygodniowy incydent od wcześniejszych, to kierunek wtargnięcia – nie tylko znad Ukrainy, lecz również Białorusi. Jeszcze ciekawsze, że Mińsk kanałami wojskowymi poinformował Warszawę, że drony lecą – a intencje tego gestu wciąż nie są jasne. Białoruś razem z Rosją szykowały się do ćwiczeń Zapad-25, a dronowy nalot mógł być do nich przygrywką, mającą pobudzić system NATO, by pozwolić stronie przeciwnej zobaczyć, jak działa.

Poza aktywowaniem sił Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych nawiązało łączność z władzami politycznymi. W związku z powagą sytuacji przypuszczało, że może być konieczna autoryzacja działań na najwyższym szczeblu. Ale politycy nie przeszkadzali tym razem wojskowym ani nie próbowali przejmować dowodzenia. Prezydent i premier byli w dowództwie operacyjnym statystami. System obronny NATO przewiduje tzw. preautoryzację – dowódcy mają w zakresie reagowania przekazaną im przez Sojusz swobodę podejmowania decyzji – takich, jakie uznają za konieczne w działaniach pilnych, łącznie z użyciem broni. Polskie władze cywilne i wojskowe długo były niechętne strzelaniu, wskazując na ryzyko pomyłki i zagrożenie dla ludzi na ziemi. Ale skala incydentu z ubiegłej środy i moment jego zaistnienia, tuż przed rosyjsko-białoruskimi manewrami Zapad-25, skłoniły wojskowych w Warszawie (polskie dowództwo operacyjne), Ramstein (dowództwo sił powietrznych NATO) i Mons (dowództwo operacyjne NATO) do udzielenia agresorom zdecydowanej odpowiedzi.

Wzbraniające się do tej pory przed użyciem broni wobec zagrożenia ze strony Rosji NATO wreszcie się na to zdecydowało. Dlatego noc z 9 na 10 września przejdzie do historii, mimo że „bitwę powietrzną" lotnictwo NATO stoczyło z bezzałogowcami, a nie z pilotami Wojenno-Wozdusznych Sił Federacji Rosyjskiej. Ale to, że rozkaz otwarcia ognia wydał polski oficer, dowódca operacyjny, gen. broni Maciej Klisz, dodaje sytuacji szczególnego historyczno-politycznego kontekstu. Putin musiał to zauważyć i pewnie go zabolało, że to akurat mającym wobec Rosji tyle uzasadnionej niechęci Polakom „zezwolono" na otwarcie ognia jako pierwszym. Nie mogło ujść uwadze Kremla, że jakiś „odwet" wzięli też Holendrzy pamiętający śmierć swoich 193 rodaków w zestrzelonym nad zajętym Donbasem w lipcu 2014 r. samolocie linii Malaysian Airlines. „To było najpoważniejsze starcie NATO–Rosja od powołania Sojuszu" – ocenił brytyjski tygodnik „The Economist", bo rzeczywiście strzelania do tylu celów powietrznych naraz między Wschodem a Zachodem do tej pory nie było (choć np. Turcja zestrzeliła w 2015 r. rosyjski samolot po wielokrotnym naruszeniu jej granic). W kierunku dronów zidentyfikowanych jako najgroźniejsze (albo tych, które udało się dosięgnąć) holenderskie i polskie myśliwce wystrzeliły rakiety powietrze-powietrze, rozbijając wrogie bezzałogowce na drobne szczątki. Ale sukces NATO nie był wcale jednoznaczny.

W nocnej operacji udało się strącić zaledwie kilka dronów, a szczątki dalszych niemal 20 odnajdywano później w głębi kraju. Jeden spadł na dom jednorodzinny w Wyrykach w Lubelskiem, przebijając na wylot dach i wpadając do pokoju na piętrze. Cudem nikomu nic się nie stało. Drony, które wleciały nad Polskę, nie były uzbrojone w głowice wybuchowe (mogły takie być te zestrzelone, analiza ich szczątków trwa), więc w tym sensie ▶

© PLATFORMA X, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ – jak argumentuje Rosja – nie stanowiły narzędzia ataku zbrojnego. To urządzenia zbudowane głównie ze sklejki, plastiku i styropianu, napędzane niewielkim silnikiem spalinowym, używane jako „wabiki" do mylenia ukraińskiej obrony powietrznej lub do rozpoznania. Ale to, że kierowały się w pobliże baz 25. Brygady Kawalerii Powietrznej w Łódzkiem, kwatery głównej wielonarodowej dywizji NATO w Elblągu, pobliskiego lotniska wojskowego w Królewie Malborskim czy wykorzystywanej jako lotnisko zapasowe dęblińskiej akademii lotniczej Nowego Miasta nad Pilicą, przeczy zapewnieniom Rosji i Białorusi, że był to „wypadek przy pracy".

Niemiecki „Der Spiegel" twierdzi nawet, że pięć rosyjskich uzbrojonych dronów miało zaatakować lotnisko w Rzeszowie i dlatego zostały zestrzelone w pierwszej kolejności. Polskie władze tego nie potwierdzają. Ale im więcej czasu mija od tego zdarzenia, tym bardziej skłaniają się ku wersji, że to, co się stało, było agresją zbrojną poniżej progu wojny, względnie eskalacją hybrydowej walki Rosji z Zachodem, w której nie ma jasnych reguł, ale jasne są cele – zastraszanie, osłabianie, dezorganizacja i dezinformacja. Doktryna Gierasimowa przewiduje całą paletę takich kroków, zanim Rosja w ogóle zdecyduje się na otwarty atak. A wcale nie musi, o ile osiągnie swoje cele bez wojny. Dlatego, mimo że boimy się rosyjskiego ataku zbrojnego, musimy być gotowi na bardziej prawdopodobną agresję hybrydową: sabotaż, cyberataki, zamachy, presję migracyjną czy wtargnięcia dronów, a nade wszystko masową dezinformację w internecie.

Celu podstawowego Rosja nie osiągnęła, bo system reagowania NATO zadziałał, ale ten atak odsłonił tyle samo luk, ile dał powodów do satysfakcji. Politycy w Polsce podkreślali sukces przede wszystkim wojska i Sojuszu, ale szybko docenili też swój. Po pełnej napięcia nocy przez dwa dni mnożyły się poważne narady i solenne oświadczenia, a między zwaśnionymi obozami zapanowała atmosfera jedności i solidarności w imię bezpieczeństwa narodowego. Prezydent i premier dziękowali wojskowym pilotom i dowodzącym operacją generałom, ale też sobie nawzajem. Hasła, że „państwo zadziałało", „jesteśmy bezpieczni" i „NATO silne razem" usłyszeliśmy znowu. Rzeczywiście, organy władzy demonstrowały współpracę od nocnych godzin z wtorku na środę. Ale już sejmowa dyskusja po sprawozdaniu Władysława Kosiniaka-Kamysza ujawniła znane podziały na koalicję i PiS, antyukraińskich radykałów z Konfederacji i oszołomów z obrzeży prawicy.

Najgorsze było to, co działo się w mediach społecznościowych, gdzie natychmiast uaktywnili się pożyteczni dla Moskwy idioci oraz ich trolle i boty. Europejski Kolektyw Analityczny Res Futura po analizie treści platform społecznościowych podał, że ponad 60 proc. komentarzy po ataku dronów zawierało elementy rosyjskiej propagandy. Główną tezą było to, że drony to ukraińska prowokacja mająca wciągnąć Polskę do wojny. Do wojny przeć ma też rząd, który w dodatku kłamie o pochodzeniu dronów. A wojsko i NATO nie działają, bo nie wszystkie drony zostały zestrzelone (rozmowa z Michałem Fedorowiczem z „Res Futura" s. 17). Nieważne, że te narracje bywają ze sobą sprzeczne – każda w jakimś stopniu „walczy" po stronie Kremla w wojnie kognitywnej o nasze umysły i serca. Takim zwrotem posługiwały się USA i NATO w wojnie z terrorem na Bliskim Wschodzie 20 lat temu. Teraz wydają się przegrywać konfrontację w infosferze, którą same stworzyły.



Żandarmeria zabezpiecza znaleziony dron w pobliżu Mniszkowa w Łódzkiem

Tymczasem to właśnie sojusznicy okazali Polsce wsparcie nie tylko tej dramatycznej nocy, ale zaraz po niej. Padły zobowiązania wzmocnienia chroniących Polskę eskadr myśliwskich, baterii przeciwlotniczych i radarów. Po tym, jak na wniosek Polski Rada Północnoatlantycka odbyła sesję w trybie art. 4 (konsultacji w razie zagrożenia), sposoby polepszenia obrony powietrznej przeanalizował Komitet Wojskowy NATO. W piątek po południu głównodowodzący sił Sojuszu gen. Alexus Grynkewich i sekretarz generalny Mark Rutte ogłosili uruchomienie operacji Wschodnia Straż, z potwierdzonym udziałem Danii, Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii i Niemiec oraz ze spodziewanym zaangażowaniem innych. Szybkość tej reakcji była nieporównywalna z poprzednimi podobnymi sytuacjami – godzinę po ogłoszeniu operacji w Brukseli w bazie w Mińsku Mazowieckim lądował francuski samolot z zaopatrzeniem dla myśliwców Rafale. To jednak były tylko ujawnione zdjęcia, bo same myśliwce przyleciały wcześniej, a już następnego dnia wzięły udział w alarmowej misji. Najsilniejszą przewagą NATO nad Rosją jest właśnie lotnictwo, a teraz ma być ściślej zintegrowane z naziemną i nawodną obroną powietrzną, która ma obejmować w szczególności obronę antydronową. Nad jej nowymi sposobami ma pracować strategiczne dowództwo ds. transformacji z wykorzystaniem eksperymentalnych systemów. Od lat wiadomo, że akurat obrony powietrznej brakuje NATO najbardziej. Sam Grynkewich przyznawał, że wciąż trzeba się uczyć, jak zwalczać drony mądrzej, taniej i skuteczniej. Ale odrzucał oskarżenia, że misja nad Polską się nie udała. Zapewniał tylko, że następna uda się lepiej.

Warto podkreślić setny raz, że NATO samo nie posiada żadnego uzbrojenia. Sojusz jako instytucja dysponuje jedynie utrzymywaną ze składek niewielką flotą samolotów wczesnego ostrzegania i dronów rozpoznawczych. Cała reszta zasobów obronnych pochodzi z sił zbrojnych krajów członkowskich, a do wspólnej operacji oddawana jest w „dzierżawę". Dlatego żadne mityczne NATO niczego nam nie wyśle, zanim znacznie wcześniej jakiś rząd tego czegoś nie zamówi, jakiś przemysł nie wyprodukuje, a jakaś armia nie wprowadzi do służby, po odpowiednich testach i wypracowaniu doktryn użycia. Sojusz nie uznaje prowizorki, bo nie może ani nie musi – bo nie jest w wojnie. Dlatego podawanie setek przykładów „z pola walki w Ukrainie", które mamy niby wiernie i natychmiast naśladować, jest nieadekwatne do natowskiego systemu. Ani nawet do polskiego, bo choć ostatnio przywykliśmy do podejmowanych niemal

eprasa.pl 8b5cbd649a



Głównodowodzący sił NATO w Europie gen. Alexus Grynkewich i sekretarz generalny Mark Rutte. Okazane Polsce wsparcie opiera się tylko na siłach z krajów europejskich. Pytany o to gen. Grynkewich usiłował obrócić sprawę w żart, mówiąc, że o udziale Ameryki świadczy on sam.

z dnia na dzień decyzji o hurtowych zamówieniach broni, to były one głównie realizacją wcześniejszych planów wojska, a w przekazie publicznym deklaracjami politycznymi, nieraz bez pokrycia w finansach czy realiach produkcyjnych. Gdy teraz okazuje się, że czegoś brak, zaczyna się wskazywanie winnych zaniedbań, opóźnień czy błędnych decyzji. To bardziej skomplikowane niż przerzucanie się oskarżeniami, choć nie ma wątpliwości, że dronowy nalot pokazał, iż w obronę nieba trzeba inwestować nieco inaczej niż dotychczas.

Polska od lat budowała system obrony powietrznej „od góry", stawiając priorytet na systemy antyrakietowe. Efektem tego jest zakup ośmiu baterii systemu Wisła-Patriot, których główną rolą jest zestrzeliwanie rosyjskich Iskanderów. Rakiety balistyczne krótkiego zasięgu były postrzegane jako największe zagrożenie, bo pozwalają na błyskawiczny atak z obwodu królewieckiego lub z Białorusi i mogą przenosić głowice nuklearne. Drugi na liście priorytetów był wielozadaniowy, bardzo duży (23 baterie) system Narew z brytyjskimi rakietami krótkiego zasięgu CAMM. Tak naprawdę jeszcze nie zaczęliśmy go produkować, ale mamy w służbie wersję pilotażową, Małą Narew. Na to, co wleciałoby blisko, mieliśmy krajowe Gromy i Pioruny, odpalane z naramiennych wyrzutni przenośnych i z pojazdów Poprad (79 sztuk) oraz Pilica (6 zestawów). Po pierwszych doświadczeniach z wojny MON rozszerzył najniższe piętro obrony i zamówił dodatkowe 22 zestawy Pilica+, składające się z działek 23 mm, wyrzutni Piorunów i wyrzutni rakiet CAMM. Po raz pierwszy zamówił wtedy również systemy antydronowe soft-kill, a więc zakłócające, polskiej firmy APS. Jednak jak każdy system w fazie rozwoju, jest on testowany i udoskonalany. To nie jest więc tak, że jesteśmy kompletnie pozbawieni naziemnej obrony antydronowej. Rzecz w tym, że mamy jej za mało i że z jej użyciem jest problem.

Ukraina toczy wojnę obronną i jej wojenne prawo pozwala na dużo więcej niż polskie. Strzelanie rakietami czy artylerią przeciwlotniczą na naszej ścianie wschodniej to ryzyko, o którym wojsko wielokrotnie mówiło. Co leci w górę, musi spaść – czasem na czyjś dom. W Ukrainie bardzo dużo pożarów, obrażeń i śmierci osób cywilnych powodują szczątki nie tylko strącanych dronów, lecz również pocisków, które je zestrzeliwują. Sami w tragiczny sposób się o tym przekonaliśmy, gdy w listopadzie 2022 r. na polski traktor w Przewodowie spadła ukraińska rakieta przechwytująca. Właśnie dlatego, mimo ogromnych kosztów i skomplikowania całej operacji, bezpieczniej jest ścigać drony samolotami. Choć to też ryzykowne dla lotników. W Ukrainie przynajmniej dwie katastrofy F-16 wywołały szczątki rozpadających się w powietrzu dronów, wciągnięte do silnika, po ostrzelaniu z działka. Polska na takie ryzyko nie może sobie pozwolić, dlatego używała rakiet – piekielnie drogich, ale pozwalających precyzyjnie strzelać z dystansu. Na pytania o dysproporcję kosztów pada z wojska niezmienna odpowiedź, że liczy się chroniona wartość, a nie cena ochrony.

Ale zmiany priorytetów lub dodania nowego filaru inwestycji obronnych nie unikniemy. W realiach kraju frontowego, codziennie narażonego na testowanie słabych punktów obrony lub po prostu atak Rosji, wielowarstwowy system antydronowy jest koniecznością, a nie ma obecnie lepszego wzorca jak ten ukraiński. Mimo użycia przez Rosję setek dronów w kolejnych falach bombardowań tylko niewielka część się przedziera przez akustyczne, radarowe i optoelektroniczne czujniki wykrywające i artyleryjsko-strzeleckie, głównie mobilne jednostki ogniowe. Ktoś oczywiście musiałby je obsługiwać i na horyzoncie nie widać zasobów innych niż Wojska Obrony Terytorialnej oraz Straż Graniczna. Cztery brygady WOT na wschodzie są w trakcie przekształcania w wojskowy Komponent Obrony Pogranicza, który ma ściśle współpracować z tą formacją służb, której i tak do wojska najbliżej. Decyzje sprzętowe trzeba skrócić, nawet jeśli jedne systemy szybko miałyby wypierać inne, doskonalsze. Taka jest obecna rewolucja dronowa, że nic nie zostaje na lata. No i czeka nas reforma prawa, tak by więcej było wolno w razie ataku, jeszcze nie wojny. Pierwszy krok zrobiony – dostępność przestrzeni powietrznej w przygranicznym pasie już jest ograniczona.

Nie unikniemy też rozrachunku z sojuszniczym zaangażowaniem. Zarówno operacja odparcia ataku dronów, jak i okazane Polsce później wsparcie opierały się na siłach z krajów europejskich NATO. Pytany o to głównodowodzący Sojuszu gen. Grynkewich usiłował obrócić sprawę w żart, mówiąc, że o udziale Ameryki świadczy jego obecność. Ale kilkakrotnie pytany o sytuację w Polsce prezydent Donald Trump najpierw odpowiedzi unikał, potem zamieścił w internecie dziwny wpis, jakby nie wiedząc, co się dzieje, by później zaskoczyć Polskę rozważaniami na rosyjską modłę, że wtargnięcie dronów to mógł być błąd. Po jego rozmowie z Karolem Nawrockim też nie dowiedzieliśmy się niczego konkretnego, poza tym że Ameryka wspiera Polskę. Podczas więc gdy Europa aktywnie broni swojej wschodniej flanki, wyduszanie bardziej stanowczej reakcji z Waszyngtonu trwa.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, DURSUN AYDEMIR/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 8b5cbd649a



Dorota z dziećmi: Pawłem, Magdą i Adamem

Dorota i wojna za płotem

Dorota o dronach lecących przez Polskę nie miała pojęcia. Dopiero następnego dnia, kiedy już dawno spadły, dowiedziała się, że ma z dziećmi zostać w domu. Nie posłuchała.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Dorota Emerla mieszka w Chełmie – miejscu strategicznie trudnym. W linii prostej ma 20 km do Ukrainy i 40 km do Białorusi. Samochodem to kawałek; ale Shahed albo Geranium pokonuje taką odległość w mig, bo potrafi pędzić 180 km/godz.

Ale w domu o lecących bezpilotowcach nic nie wiedziała. Wieczór był więc zwyczajny. Dorota jak zwykle przygotowała kolację, sprawdziła dzieciom zeszyty, przypilnowała, by te młodsze, Magda i Piotruś, wykąpały się i umyły zęby. I poszła spać. Nie słyszała nic.

Wszystko zmieniło się rano. Najpierw przeczytała wiadomość rozesłaną przez władze (dziś nie jest pewna, czy pisał do niej prezydent Lublina, czy może to był sam wojewoda lubelski). Chodziło o to, żeby nie wychodzili z domu.

Zaraz zaczęła się dyskusja na Messengerze. Mamy dzieci, które uczą się w tej samej szkole, co dzieci Doroty, zaczęły zadawać pytania: „To są lekcje czy nie?", „Posyłamy dzieci do szkoły?". – *Ja posłałam. Wiem, że w szkole są bezpieczne. W razie czego nauczyciele się nimi zaopiekują. Do domu mają blisko. Nie panikowałam* – opowiada Dorota. Wyprawiła do szkoły Adama (VIII klasa), Pawła (V klasa), Magdę (III klasa) i Piotrusia (zerówka).

Zdążyli się przyzwyczaić

Panika? Nie. Panikowała w lutym 2022 r. Kiedy Rosjanie zaatakowali Ukrainę i na granicy pojawili się uchodźcy. Tłumy kobiet z dziećmi. – *Tak, wtedy nas spakowałam. Dla każdego osobną walizkę. Siedziałam na tych torbach i wiedziałam, że jak się ruszy, to będę uciekać na zachód, do rodziców, pod Wrocław. Widziałam te tłumy przerażonych kobiet z dziećmi, ze starymi rodzicami. I bałam się, że my też tak ruszymy, uciekając przed bombami.*

Zaraz po spakowaniu walizek wszystkie ciuchy, które się w nich nie zmieściły, Dorota uprała i odniosła do punktu zorganizowanego dla uchodźców z Ukrainy. Ale wojna do Chełma nie przyszła. Więc zostali.

Dziś te walizki z kurtkami, bielizną na zmianę, spodniami, spódniczkami rozpakowali. Przez ponad trzy lata dzieci i tak wyrosły z ubrań. A rodzina zdążyła się przyzwyczaić, że kilkadziesiąt kilometrów od ich domu trwa wojna. Dorota mówi: to wyparcie, bo inaczej wszyscy by zwariowali ze strachu. Dlatego szykuje się do remontu. Kupuje płytki, farby, meble.

Nie ona jedna. Niedaleko nich ktoś kupił dom. Nowy sąsiad też szykuje się do reno-

eprasa.pl 8b5cbd649a

wacji. Jakby się bał, to przecież by nie inwestował, pociesza się Dorota.

Za to rodzina i znajomi mieszkający dalej na zachód zamartwiają się. – *Moja mama zadzwoniła w środę rano, jak już wszyscy wiedzieli, że te drony wleciały do Polski. Powiedziała, że jakby coś, to możemy się schować do piwnicy. I powinniśmy zrobić zapasy wody. Do sąsiadek dzwoniły dzieci mieszkające w Warszawie i Poznaniu. Też pytały, czy mamy gdzie się schować.*

Ale Dorota zapasu wody jak na razie nie zrobiła. Konserw, cukru, soli też nie. Zamiast tego całą środę śledziła wiadomości. Studiowała, gdzie znaleziono szczątki kolejnego drona. I dowiadywała się, z czego w ogóle te drony są zbudowane, jakie ładunki mogą przenosić.

Dziś już wie, że zbudowane są z pianki, więc chyba trochę tandetne. Ale groźne, bo niektóre mogą lecieć z kilogramami materiałów wybuchowych.

Całą środę Dorota przesiedziała w internecie. Zobaczyła zdjęcie domu w Wyrykach, który został uszkodzony przez dron. A Wyryki to 45 minut samochodem od Chełma. Piętro zniszczone, gruz na podłodze, dziura w dachu. – *Potem przeczytałam, że to tylko nawałnica. Dlaczego ktoś rozprzestrzenia takie kłamstwa?* – zastanawia się Dorota. Dodaje, że ponad trzy lata spędzone z wojną za płotem uodporniły ją na takie fejki.

Pamięta jeden z pierwszych. Wiosną 2022 r. koleżanki ze scholi, do której przyprowadzają dzieci, pytały jedna drugą, czy to prawda, że będzie pobór kobiet do wojska. Przesyłały sobie nawet wiadomość w tej sprawie: „(...) tymczasem polski (?) rząd przyjął ustawę z 11 marca 2022 poz. 665/Dział II Art. 3, 4, 5. W skrócie: wszystkie polskie kobiety w wieku 18–60 lat idą na wojnę. Polki, w odróżnieniu od Ukrainek, nie będą miały prawa opuścić kraju, tak jak mogły zrobić to Ukrainki. Przepis zaczął obowiązywać 23.04.2022".

Lęk jest

Oczywiście nikt takiego przepisu nie ustanowił. Polki nie zostały powołane do wojska. I nie dostały zakazu opuszczania kraju. Dorota dodaje, że ona stara się zachować rozsądek, a lęki pokrywa humorem. Może trochę czarnym, ale inaczej przecież się nie da, bo człowiek by z tego strachu zwariował.

Tylko że ten lęk jest. Na przykład w rozmowach u fizjoterapeuty – panie w recepcji słyszały w nocy lecące drony. A może to były myśliwce, co je strącały? W każdym razie coś huczało na niebie.

To samo na Messengerze. Kolejne wiadomości od znajomych i rodziny: „Ja nie wiem, czy to były drony, czy bardziej samoloty. Szumiało kilka naraz". „To już tak gdzieś było bardziej nad ranem". „Ja to pierwsze, jak się obudziłam i telefon do ręki wzięłam, to zobaczyłam komunikat, żeby zostać w domu. Przestraszyłam się! A Piotrek poszedł do pracy! Może nie powinien?". „Nie znalazłam żadnego oficjalnego komunikatu. Później był oficjalny z Ministerstwa Edukacji, że dzieci mogą iść do szkół. To już byłam spokojna".

Mimo napięcia w sieci reakcje w realu są spokojniejsze. – *Sąsiadka jedzie na wczasy za granicę. Wykupione ma. Nie ucieka. U nas bardzo dużo ludzi jest w Straży Granicznej i w wojsku. To jakoś daje poczucie bezpieczeństwa. Ale dzieci się boją. Moja Magdusia, kiedy usłyszała, że babcia mówi o chowaniu się w piwnicy, wybuchła płaczem. Bo jak wytłumaczyć dziewięcioletniemu dziecku, że te drony, co wleciały do Polski, w ogóle nie powinny się nad Polską pojawić? Że powinny być wcześniej przechwycone, a nie niszczyć komuś dom, który jest całym dorobkiem jego życia?*

Dorota przyznaje, że sama się zdenerwowała, jak słyszała córkę powtarzającą drżącym głosem: „Drony nad Polską, drony nad Polską". Dlatego stara się nerwy trzymać na wodzy. Dronami mają się zająć specjaliści, czyli wojsko. Tacy ludzie jak ona: matki wychowujące czwórkę dzieci, ojcowie pracujący, by te dzieci utrzymać, mają po prostu robić codziennie to, co do nich należy.

Samorządy na froncie

W środę, kiedy wszystkie służby w kraju ruszyły na poszukiwania rosyjskich dronów, Rządowe Centrum Bezpieczeństwa rozsyłało alerty, w których proszono, by nie zbliżać się do wraków bezpilotowców, a także by informować służby o miejscu, gdzie się znajdują.

Pałeczkę w komunikowaniu się ze społeczeństwem, wyjaśnianiu i uspokajaniu przejęły samorządy. Prezydent Chełma Jakub Banaszek robił to w specjalnym komunikacie: „Z informacji przekazanych przez służby, w mieście Chełm oraz sąsiednich gminach nie stwierdzono po dzisiejszym naruszeniu przestrzeni powietrznej Polski obecności dronów. Wojsko i służby prowadzą operację w ramach swoich procedur. W obecnej sytuacji podawanie jakichkolwiek komunikatów będzie się odbywać po otrzymaniu informacji od właściwych służb. Proszę o powstrzymanie się od nakręcania spirali emocji, hejtu i przekazywania sensacyjnych wiadomości. Jeśli takowe będą, zostaną one przeze mnie przekazane". Mimo ▶



Dom w Wyrykach, który został uszkodzony przez „niezidentyfikowany obiekt latający"

© JAKUB ORZECHOWSKI, DARIUSZ STEFANIUK/REPORTER

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ jego wysiłków tego dnia na chełmskim targowisku zbyt wielu chętnych na poranne zakupy jednak nie było. A patrole policji na ulicach miasta przypominały, że w nocy wydarzyło się coś groźnego.

W Wyrykach, gdzie ucierpiał dom w centrum miejscowości, między szkołą a urzędem gminy, odwołano na jeden dzień lekcje. Tutejszy wójt Bernard Błaszczuk zaapelował o zachowanie szczególnej ostrożności i unikanie gromadzenia się w jednym miejscu. „Najważniejsze jest teraz bezpieczeństwo nas wszystkich" – zwrócił się do mieszkańców. Zaoferował starszemu małżeństwu, któremu dron pewnie już zawsze będzie się kojarzyć z nalotem na ich dom, mieszkanie zastępcze w gminnej bibliotece.

„Starsi państwo, których dotknęło to zdarzenie, są w dobrej kondycji, cieszą się, że nic im się nie stało. Poszkodowani oczekują teraz odpowiedniej reakcji władz, aby móc wrócić do normalnego funkcjonowania" – powiedział na konferencji prasowej wójt Błaszczuk, dodając, że omówił z samorządem województwa lubelskiego kwestię wniosku o wsparcie finansowe odbudowy. Ze wstępnych ocen inspektorów nadzoru budowlanego wynika, że zagrożenia katastrofą budowlaną nie ma, mieszkańcy mogą wrócić do siebie i zamieszkać na parterze. Mimo złych doświadczeń tu będą się czuć najlepiej. Natomiast z komunikatu prokuratury wynika, że uszkodzenia nie zostały spowodowane przez dron, ale „niezidetyfikowany obiekt latający". Niewykluczone, że były nim części rakiety wystrzelonej przez ścigający dron myśliwiec.

Mariusz Zańko, starosta powiatu włodawskiego, gdzie znaleziono kolejne szczątki bezpilotowca, nagrał film, który umieszczono w samorządowych mediach społecznościowych. „Stosując się do zaleceń wojewody lubelskiego, uruchomiliśmy dyżur 24-godzinny w Powiatowym Zespole Zarządzania Kryzysowego. W sytuacjach kryzysowych będziemy prowadzili nasłuch radiowy" – mówi na nagraniu.

Przy okazji udzielił wszystkim korepetycji ze znaczenia sygnałów alarmowych: „Sygnał trzyminutowy, modulowany, przerywany będzie oznaczał ogłoszenie alarmu, a sygnał stały, trzyminutowy będzie oznaczał odwołanie alarmu i zakończenie sytuacji kryzysowej. Bądźmy jednak spokojni, bądźmy rozważni, śledźmy komunikaty służb. Oby było coraz bezpieczniej w naszym powiecie i na wschodzie Polski".

Na terenie gminy Komarów-Osada niektóre kamery zarejestrowały momenty zestrzelenia dronów, m.in. te zamontowane na pomniku Chwały Kawalerii i Artylerii Konnej w Wolicy Śniatyckiej, 15 km na wschód od Zamościa.

W żadnym ze znalezionych dronów nie było śladów materiałów wybuchowych i materiałów chemicznych, poinformowała prokuratura.

Przecież jest normalnie

Mieszkańcy zajęli się też informowaniem siebie nawzajem. Dużą popularnością cieszyła się instrukcja postępowania w czasie ataku Shahedów: „Możesz się bać. Ale musisz działać szybciej, niż strach cię sparaliżuje". Potem następuje dziesięć punktów opisujących, co robić, gdy nagle usłyszysz gdzieś wysoko „buczenie przypominające kosiarkę albo motorower" – bo właśnie tak brzmi Shahed.

Rady są sensowne: nie panikować, zamiast nagrywać film, odejść od okna. Poszukać pomieszczenia bez okien, z dwiema ścianami nośnymi. Gdy nalot zaskoczy cię na dworze, szukaj betonowego murku, zagłębienia, połóż się. Zatkaj uszy, otwórz usta... „Cisza po pierwszej eksplozji to pułapka. Wytrzymaj. Leż spokojnie. (...) teraz już wiesz, co robić. A to oznacza, że jesteś kilka kroków bliżej do ocalenia. Przekaż tę wiedzę tym, którzy jej jeszcze nie mają". Dokument – który zrobił karierę w sieci – pochodzi z Ukrainy.

– *To taka popularna „instrukcja obywatelska", została opracowana jeszcze w 2023 r., kiedy naloty dronów robiły się coraz groźniejsze i coraz bardziej zmasowane. Przetłumaczyłam ją na polski i wrzuciłam na swojego Facebooka. Nie spodziewałam się, że wzbudzi takie zainteresowanie* – mówi nam Irina Jakimiw, znana ukraińska aktywistka mieszkająca w Polsce.

•••

Dorota już wydała swoją instrukcję: – *Powiedziałam chłopcom, że nie ma łażenia po polach. Za duże ryzyko* – mówi.

Sama musi kończyć, bo niedługo dzieci zaczną wracać ze szkoły i trzeba im ugotować obiad. Granica z Ukrainą i Białorusią jest tuż, tuż. Drony, jak już raz wleciały, to mogą i kolejny raz..., ale przecież żyje się normalnie.

W sobotę Dorota przesyła screen z alertu RCB z godz. 17.57: „UWAGA! Zagrożenie atakiem z powietrza. Zachowaj szczególną ostrożność. Stosuj się do poleceń służb. Oczekuj dalszych komunikatów". U niej w Chełmie i w Świdniku zawyły syreny alarmowe. O 18.36 wysłano kolejny komunikat. Odwołano zagrożenie.

„Już spokojnie" – napisała Dorota Emerla. Syreny zawyły na zachodzie miasta, w którym mieszka. Ostrzegawczo, bo tym razem nie doszło do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. Trzeba nasłuchiwać.

KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA

PERSKI DYWAN DZIEJÓW

W sprzedaży



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**

eprasa.pl 8b5cbd649a

Stan wojny bez wojny



O ile militarnie i politycznie z atakiem dronów się uporaliśmy, o tyle w internecie polegliśmy – mówi Michał Fedorowicz, przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego „Res Futura", założyciel i prezes Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych.

ZBIGNIEW BOREK: **– Ostatni atak dronów zaczął się na polskim niebie czy w internecie?**

MICHAŁ FEDOROWICZ: – Wcześniej, bo podczas szczytu Trump–Putin na Alasce, dlatego Rosjanie wrócili do międzynarodowego obiegu politycznego. W internecie zyskali potencjał narracyjny, rozwinęli zatem ataki w dwóch głównych kierunkach, żeby rozpowszechnić przekonanie, że Ukraińcy utrudniają osiągnięcie pokoju, Polska jako antyrosyjska forpoczta jest zaś militarnie słaba i nie potrafi się nawet sensownie uzbroić. Gdy nocą z 9 na 10 września drony leciały w kierunku Polski, grunt był już gotowy.

Grunt?

Skrypty narracyjne rozpowszechniane przez „gniazdowych", którzy nadają w social mediach ton informacyjny i rytm. Skrypty to gotowce, wystarczy kopiować, udostępniać. Tak było w przypadku wygenerowanego przez AI zdjęcia unijnych liderów pokornie czekających na spotkanie z Trumpem. Macron miał cztery nogi, ale infosfera prawicowych populistów w Polsce i tak gorliwie to zdjęcie rozpowszechniła.

Gdy drony leciały nad Polskę, jako pierwsze dostrzegły to konta ukraińskie albo wyglądające na ukraińskie. To wzmocniło narrację, że same drony też są ukraińskie i Ukraina chce wciągnąć Polskę do wojny. Każdy, kto zechciał, z tych skryptów korzystał, zalały internet. W efekcie najwięcej (38 proc.) spośród 200 tys. analizowanych przez nas komentarzy wskazywało, że drony mogły być ukraińską prowokacją. Rosję jako winną ataków wskazywano dopiero na drugim miejscu (34 proc.), część internautów obwiniała też polski rząd, media, NATO i Zachód. Atak dronów na Polskę przebiegał więc symultanicznie w przestrzeni realnej i wirtualnej. O ile militarnie i politycznie się z nim uporaliśmy, o tyle w sferze informacji polegliśmy.

Leżymy na łopatkach?

Przegrywamy wojnę komunikacyjną. Nie chodzi w niej o prostą dezinformację, w której prawdę miesza się z kłamstwem, bo finalnie nikt nie uwierzy w to, że Rosja jest dobra. Jednak to, że Putin pragnie zakończyć wojnę, a Polska strzela z armat do wróbli, czyli z F-16 do dronów, to już nie jest dezinformacja, tylko opinia. Takie opinie budują narrację, ona zaś zmienia postawy społeczne: rosną w siłę antyukraińskie nastroje, pomaganie Ukraińcom stało się passé, a na temat wojny za wschodnią granicą krążą „dwie prawdy" i przeciętny użytkownik internetu nie bardzo wie, która jest właściwa. Dotyczy to nie tylko Polski.

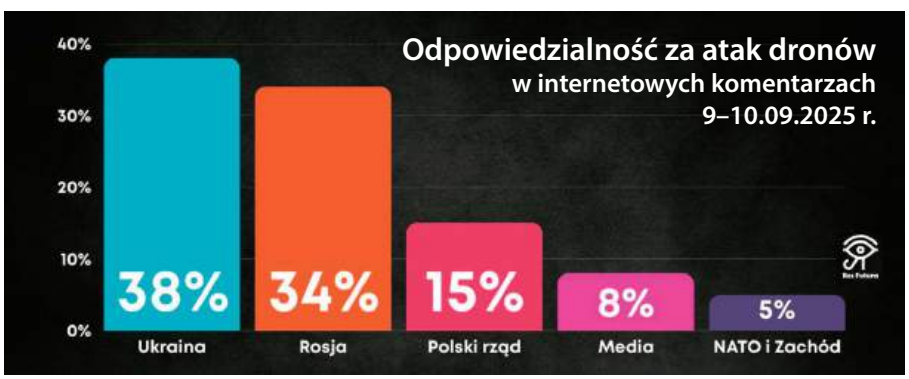

Analiza danych z publicznych komentarzy opublikowanych w mediach społecznościowych, wykonana przez Europejski Kolektyw Analityczny „Res Futura"

Jakie mogą być konsekwencje?

Rosjanie chcą doprowadzić do takich zmian społecznych, które osłabiają kolektywny Zachód i jego państwa. Każdy sposób jest dobry. Dziewięć na dziesięć kont, które sieją propagandę Putina, przed rosyjską inwazją lansowało spiskowe teorie wokół pandemii. Aktywność Kremla widzieliśmy w przypadku brexitu, przed inwazją na Ukrainę, a dziś i my jesteśmy w stanie „wojny bez wojny".

Na jakim jej etapie?

Rosjanom udało się Ukraińców wyizolować, sprawić, że według zachodnich społeczeństw wojna jest „ich", nie „nasza", a my musimy ją zakończyć choćby wbrew Ukraińcom. Atak dronów to początek kolejnej fazy konfliktu, która wymierzona jest już w społeczeństwa Europy, zwłaszcza Środkowo-Wschodniej. Celem jest wywołanie zwątpienia we własne możliwości obronne i siłę sojuszy, w ślad za tym większe wsparcie dla sił politycznych, które chcą uwzględniania interesów Rosji, co w naszych realiach grozi całkowitym podporządkowaniem. Brzmi może mało prawdopodobnie, ale kto na początku wojny zakładał, że Ukraina będzie obwiniana o to, że się broni przed najeźdźcą?

Możemy z tym walczyć?

Oczywiście, ale przestańmy opowiadać, że trzeba weryfikować źródła informacji i nie należy udostępniać podejrzanych wiadomości. To elementarz, który wystarczał trzy lata temu, a dziś jesteśmy w trakcie bezpardonowej wojny informacyjnej i do niej musimy dostosować metody walki. Przykładowo: powinniśmy wreszcie traktować konta masowo dystrybuujące lub powielające przekazy uderzające w bezpieczeństwo Polski, żywcem kopiowane z rosyjskich kanałów, tak jak na to zasługują, czyli w kategoriach dywersji, sabotażu lub przestępstw o charakterze terrorystycznym.

A wolność słowa?

Nie powinna się rozciągać na działania jawnie wspierające działania Federacji Rosyjskiej na terenie Polski. Nie wyobrażam sobie, żeby w trakcie drugiej wojny światowej w Anglii ukazywały się gazety, które zachwalają niemieckie bombardowania Londynu. ■

© MARCIN OBARA/PAP, RESFUTURA

eprasa.pl 8b5cbd649a

BOB ratowniczy

Rząd radzi obywatelom, jak przygotować plecak ewakuacyjny. Brzmi alarmująco, ale też adekwatnie do niespokojnej rzeczywistości. W myśl zasady: spodziewaj się najlepszego, przygotuj na najgorsze.



Plecak ewakuacyjny firmy Militaria.pl

eprasa.pl 8b5cbd649a

MARCIN PIĄTEK

Nocny nalot ok. 20 rosyjskich dronów zasiał niepokój. Uzasadniony. Pierwszy komunikat wojskowego dowództwa wprost mówił o akcie agresji i realnym zagrożeniu dla bezpieczeństwa obywateli. Po kilku godzinach język stonowano, „akt agresji" został zastąpiony „celowym wtargnięciem", ale społecznych emocji to nie wyciszyło. Poderwane do akcji natowskie myśliwce strąciły wprawdzie cztery drony, pozostałe spadły jednak dopiero, gdy skończyło im się paliwo. Wyobraźnia zaczęła kreślić czarne scenariusze: wojna, ostrzał cywilnych celów. Wiemy, że na ewentualność nalotu dronów (tym razem uzbrojonych i w znacznie większej liczbie), nie wspominając o ataku rakietowym, Polska nie jest przygotowana. Według niedawnego raportu Najwyższej Izby Kontroli na dostęp do schronów z prawdziwego zdarzenia, zapewniających osłonę przed falą uderzeniową i promieniowaniem, może liczyć zaledwie 4 proc. społeczeństwa. Co jednych skłania przezornie do zakupu nieruchomości w zachodniej Europie, a innych do odświeżenia znajomości w zachodniej Polsce. Profilaktycznie zaleca się, aby w sytuacji zagrożenia mieć samochód zatankowany pod korek i przećwiczyć logistykę alternatywnych tras ucieczki. Choć ewakuacja autem to luksus. W sytuacji wojennej często nie do wykonania.

Scenariusz wymuszonej nadzwyczajnymi okolicznościami ewakuacji już wcześniej skłonił Rządowe Centrum Bezpieczeństwa do umieszczenia stosownych zaleceń w 54-stronicowym poradniku. Od niedawna jest on udostępniony do pobrania na stronie internetowej www.gov.pl/web/poradnikbezpieczenstwa, ale zostanie też wysłany do każdego gospodarstwa domowego w kraju. Akcja ma ruszyć jeszcze we wrześniu. – *Szerzenie wiedzy na temat zasad ewakuacji jest słuszne. Wojna nie jest dla cywilów. Jeśli stanie on przed koniecznością opuszczenia domu i będzie samowystarczalny, zaopiekuje się bliskimi, a nawet będzie w stanie pomóc innym, odciąży służby, które w razie wojny i tak będą miały pełne ręce roboty* – uważa Kuba Dorosz, instruktor survivalu oraz autor e-booka „Plan początkującego prepersa" (z angielskiego: człowieka przygotowanego). Materiał jest do pobrania za darmo na stronie universalsurvival.pl.

Autorzy rządowego poradnika podkreślają, że bodźcem do jego stworzenia nie była tylko wojenna sytuacja za naszą wschodnią granicą, ale w ogóle niespokojne czasy, w których żyjemy. Klęski żywiołowe spowodowane zmianami klimatycznymi i cyberprzestępczość są już, niestety, smutną codziennością, aktów sabotażu (w tym skażeń chemicznych i biologicznych) oraz ataków terrorystycznych nie można wykluczyć jako środków służących do siania zamętu i społecznego niepokoju. A umiejętność właściwego odczytywania sygnałów ostrzegawczych, stosowanie się do zasad bezpieczeństwa w tłumie (choćby na koncertach) czy abecadło pierwszej pomocy powinniśmy mieć we krwi.

W poradniku kilka razy powraca złowrogie słowo „wojna", a sytuacje bezpośredniego, nagłego zagrożenia cywilów sprowadzono głównie do ataku z powietrza. Jako odruch bezwarunkowy zaleca się ewakuację do z góry upatrzonego „miejsca schronienia", które powinno być pozbawione okien, mieć grube ściany i strop, dostęp do powietrza oraz wyjście awaryjne. Przytłaczająca większość tych, do których mamy relatywnie bliski dostęp, to tzw. miejsca doraźnego schronienia (piwnice i garaże podziemne). W razie bombardowania szanse na przeżycie w nich są oczywiście większe niż we własnym mieszkaniu, ale gwarancji przetrwania nie dają. Inna sprawa to reakcja ludności na sygnały alarmowe – gdy w ostatnią sobotę rozbrzmiały w Świdniku i Chełmie (po nagłym poderwaniu lotnictwa w odpowiedzi na kolejny atak ruskich dronów na zachodnią Ukrainę), a komunikaty mówiły o zagrożeniu atakiem z powietrza, większość mieszkańców je zignorowała. Syreny wyły, ale na ulicach nie było widać poruszenia, a mecz ligowy Świdniczanki Świdnik trwał w najlepsze.

W razie trudności z zaopatrzeniem gospodarstwa domowego w artykuły pierwszej potrzeby, a nawet odcięcia od tej możliwości (klęska żywiołowa albo paraliż sieci energetycznej), poradnik podpowiada, by zgromadzić w domu zapasy na minimum trzy dni przetrwania. Wyliczono: trzy litry wody na osobę na każdy dzień, leki i środki opatrunkowe, żywność o przedłużonym terminie przydatności, środki higieny, ładowarki, niezależne źródła zasilania (powerbanki, agregat), baterie, latarkę, a nawet świece. Jak również gotówkę, choć nie sugerowano, jaką sumę. Nie podano również, że do agregatu przyda się olej napędowy i że ma on ograniczony termin przydatności: około pół roku. Po tym czasie ze znajdujących się w dieslu biokomponentów wytrącają się bakterie beztlenowe, a silnik ich nie toleruje.

Scenariusz chomikowania został już w pewnym stopniu przećwiczony ponad pięć lat temu, po wybuchu pandemii koronawirusa, gdy z dnia na dzień ówczesny rząd ogłosił twardy lockdown, a dostęp do sklepów został ograniczony. Nagłe restrykcje nie spowodowały jednak szturmów na markety. Obywatele karnie ustawiali się w kolejkach, czekając na otwarcie i z podziwu godnym zrozumieniem podchodząc do zasad limitu kupujących w stosunku do metrażu sklepu; system zaopatrzenia działał, półki nie pustoszały. Paniczne nastroje się nie szerzyły, a groźna atmosfera tamtych dni została rozładowana przez przesycone czarnym humorem memy, na których w postpandemicznej rzeczywistości odnajdywano szkielety spoczywające tuż obok prewencyjnie zgromadzonych paczek makaronu oraz rolek papieru toaletowego.

Hasło „ewakuacja" automatycznie zapala jednak czerwoną lampkę. Doświadczenia są w końcu bliskie i wciąż żywe. Dwa dni po wybuchu wojny w Ukrainie, w lutym 2022 r., na przejściu granicznym w Hrebennem był Paweł. Czekał kilkanaście godzin na dwie znajome Ukrainki i troje ich dzieci. – *To był exodus. Sznur przemarzniętych ludzi, wycieńczonych oczekiwaniem na przekroczenie granicy, sztywnych ze strachu, czy ruscy nie pieprzną bomby. Resztką sił ciągnęli pękające w szwach torby na kółkach. Rzeczy pierwszej potrzeby? Woda, termos z herbatą, leki, ciepła odzież, dobre buty, powerbanki. No i gotówka. Na paliwo, bo szybko się kończy w aucie stojącym w korku liczącym kilkadziesiąt kilometrów. I na łapówki dla ukraińskich pograniczników, żeby odpowiednio zarządzili kolejką.*

Gotówka jest również na liście najbardziej potrzebnych składników plecaka ewakuacyjnego, rekomendowanego na stronie RCB, w razie nagłej niewypłacalności bankomatów. Eksperci ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ podpowiadają, że warto zaopatrzyć się również w tzw. twarde waluty (dolar, euro), lepszy argument przetargowy w ucieczkowych negocjacjach. Zaprawieni w bojach (głównie podróżniczych) prepersi podpowiadają, że cenną walutą bywa też alkohol. Albo papierosy – bardziej poręczne w plecaku.

Co spakować? Uniwersalna odpowiedź brzmi: to zależy. – *Przeciwnik jest za naszą wschodnią granicą, więc jeśli chodzi o komfort czasu oraz dystans do bezpiecznego schronienia, w zupełnie innym położeniu są mieszkańcy Suwałk czy Białej Podlaskiej, a w innym – Szczecina czy Wrocławia. Różne są też możliwości fizyczne – ktoś może maszerować z plecakiem ważącym 25 kg, dla innej osoby już trzykrotnie mniejszy ciężar będzie ponad możliwości. Radzę poprób*ować, w terenie zmierzyć siły na zamiary – mówi Kuba Dorosz.

W razie zamknięcia we własnych czterech ścianach rządowy poradnik radzi gromadzić zapasy na 72 godziny, bo tak podpowiadają doświadczenia z akcji ratunkowych podczas klęsk żywiołowych. Czas trwania ewakuacji, mający bezpośredni wpływ na zawartość plecaka, trudno przewidzieć. Paweł Juraszek, dyrektor marketingu sklepu militaria.pl: – *Teoria mówi: spodziewaj się najlepszego, przygotuj na najgorsze. Ale warto wziąć pod uwagę, że Polska jest krajem dość gęsto zaludnionym. Scenariusz spędzenia wielu dni w kompletnym odcięciu od świata i pomocy postronnych osób wydaje się mało prawdopodobny.*

Plecak ratunkowy kojarzy się z doświadczeniem skrajności, dlatego w ramach oswojenia z sytuacją zwany jest również swojsko BOB-em (od angielskiego *bug out bag*; zwrot *bug out* oznacza ewakuację), a jeszcze bardziej swojsko BIS-em i jest to akronim na wskroś polski, rozwijany jako „bierz i sp...aj". BOB-a na czarną godzinę powinien mieć każdy członek rodziny. Trzeba się przygotować na szkołę przetrwania, funkcjonowanie w rzeczywistości analogowej oraz biegłość w improwizacji, zaradności i pierwszej pomocy. Stąd zalecenie, by oprócz gotówki i dokumentów nie ruszać się bez: leków, środków opatrunkowych i higienicznych, filtrów lub tabletek do uzdatniania wody, latarki, baterii, radia, powerbanka, ładowarki i kabli, noża, narzędzia wielofunkcyjnego zwanego multitoolem, zapalniczki, papierowych map, worków na śmieci, folii termicznej, krótkofalówki, zapasu wody i wysokoenergetycznej żywności.

– *Gdy przejrzałem tę listę i sprawdziłem, co mam w domu, znalazłem scyzoryk, zapałki, stary powerbank, ładowarki, trochę leków i wyposażenia apteczki, worki na śmieci, ale dopiero na YouTube zobaczyłem, że chodzi o takie duże, z grubej folii, które w razie czego mogą służyć za płaszcz przeciwdeszczowy. A, i znalazłem 40 zł w gotówce* – wzdycha Karol, czterdziestoparolatek z Warszawy, mąż oraz ojciec dwójki dzieci w późnej podstawówce.

Po wybuchu wojny w Ukrainie ruch prepersów, wcześniej uważanych za survivalowych maniaków, hybrydę Rambo z MacGyverem, prorokujących o godzinie próby, która oddzieli samowystarczalnych od bezradnych, wyraźnie się ożywił, przykuł uwagę, zyskał uczniów i naśladowców. Jeśli chodzi o wnętrze ucieczkowego plecaka, prepersi oscylują między objętościowym i wagowym minimalizmem a przygotowaniem na każdą sytuację, gdyż mają w swym survivalowym doświadczeniu przećwiczone dziesiątki scenariuszy, wyobraźnia podsuwa im kolejne. Co oznacza, że za przydatne, a nawet niezbędne uważają dodatkowo: sznurek, mocne nici i igłę, trytytki, taśmę naprawczą, GPS z wgranymi mapami, aluminiowy kubek wraz z małym zestawem służącym za polową kuchnię, krzesiwo, rozpałkę wodoodporną, mały łom oraz składaną piłę, liofilizowaną żywność, najlepiej doprawioną tłuszczem. Niektórzy polecają pałkę teleskopową albo gaz pieprzowy, bo nie z każdym napotkanym po drodze da się negocjować.

Lista jest otwarta. Kuba Dorosz: – *Każdy praktyk survivalu wyznaje tzw. zasadę trójek, która zakłada, w pewnym uproszczeniu, czas krytyczny do przetrwania. Maksymalnie trzy minuty bez dopływu powietrza albo na zatamowanie krwotoku, trzy godziny narażenia na ekstremalne temperatury, w naszych warunkach przede wszystkim zabezpieczenie przed wychłodzeniem, trzy dni bez wody i trzy tygodnie bez jedzenia. Co oznacza, że leki i środki opatrunkowe są na liście priorytetów wyżej niż konserwy, a odzież termiczna to kwestia być albo nie być, bo głód nas nie zabije, ale mróz jak najbardziej.*

– *Zestaw opatrunkowy z apteczki samochodowej w ekstremalnych sytuacjach nadaje się co najwyżej do otarcia łez* – dodaje Dorosz. I radzi go skompletować samodzielnie: nożyczki, rękawiczki, duże gazy jałowe, bandaże elastyczne, tampony, środki odkażające, sól fizjologiczna, folia termiczna i staza taktyczna do tamowania krwotoków. – *Nie oszczędzałbym też na butach i na śpiworze.*

Samo wyposażenie może się jednak okazać niewiele warte bez praktycznego obycia. – *Zalecam kurs z udzielania pierwszej pomocy, ale nie prowadzony przez smutnego pana z bhp, tylko taki na serio, najlepiej w sytuacjach pozorowanych, kiedy działa się pod presją czasu i stresu* – mówi Kuba Dorosz. – *Filmiki szkoleniowe są też dostępne za darmo w internecie. Poza tym warto spędzić trochę czasu w plenerze. Poczuć ciężar plecaka w czasie wielogodzinnej wędrówki, przetestować polową kuchenkę, komfort cieplny śpiwora i odzieży, zaimprowizować schronienie. Każdy, kto ma takie doświadczenia, wie, jakie znaczenie mają wygodne i wodoodporne buty, że skarpety z wełny są lepsze niż te ze sztucznych materiałów, a w czasie długiej wędrówki każdy kilogram w plecaku robi różnicę.*

Na podwyższony stan zagrożenia i gotowości na każdy scenariusz, również ewakuacji, reaguje rynek. Internetowy sklep militaria.pl ma w ofercie ponad 40 zestawów ucieczkowych, w cenie od 300 do 3 tys. zł. W zależności od wielkości plecaka, jakości materiału, z którego został wykonany, ale przede wszystkim wyposażenia. Najdroższe mają ponad sto akcesoriów, składają się z modułów mających konkretne przeznaczenie (żywność, pierwsza pomoc, komunikacja, higiena, narzędzia itp.). Opublikowanych opinii użytkowników jest raptem kilka: przeważają pozytywne, ale są również uwagi, że samodzielnie kompletując taki zestaw, można oszczędzić nawet tysiąc złotych.

Ale towar schodzi na pniu. – *Od inwazji na Ukrainę sprzedaliśmy ponad 100 tys. tzw. plecaków ucieczkowych. Największy popyt jest na 30-litrowe, wielkością przypominające te szkolne. Po ubiegłotygodniowym nalocie dronów popyt jeszcze wzrósł, niektóre zestawy całkiem się rozeszły* – mówi Paweł Juraszek. Jeśli chodzi o sam plecak, radzi, by podczas zakupów zwrócić uwagę na wykonanie (materiał, wodoodporność, jakość zamków), ale i komfort użytkowania: – *Odpowiednio mocne i szerokie szelki, pas biodrowy, pas piersiowy mają duże znaczenie dla właściwego rozłożenia ciężaru. Dla wygody ważny jest choćby system hydracyjny, który pozwala napić się z wystającej z szelek rurki, bez konieczności zdejmowania plecaka.*

Jeszcze niedawno tego typu zestawy mieli na oku przede wszystkim miłośnicy survivalu oraz bushcraftu (Paweł Juraszek zwraca uwagę na różnicę między tymi pojęciami; pierwsze oznacza konieczność przetrwania w warunkach polowych, natomiast

© MSWiA/MON

eprasa.pl 8b5cbd649a

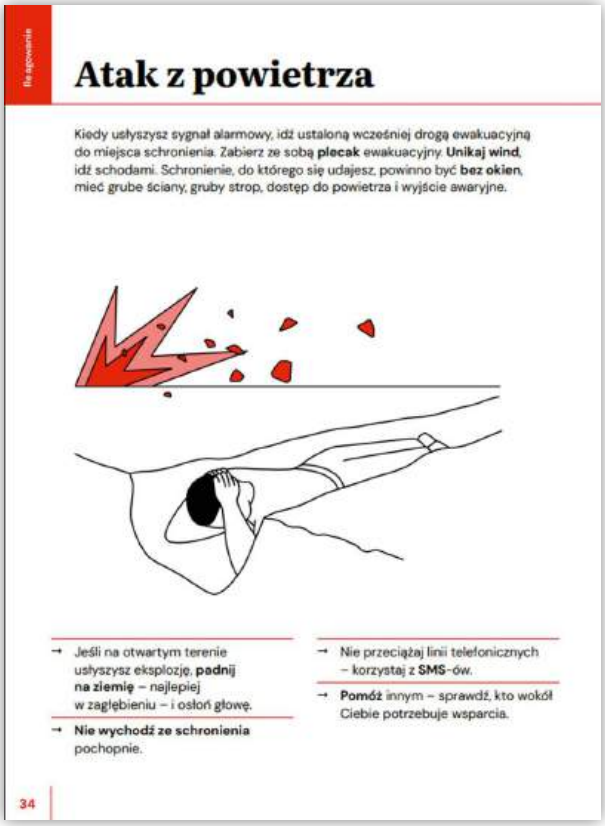

Ostrzeganie

Atak z powietrza

Kiedy usłyszysz sygnał alarmowy, idź ustaloną wcześniej drogą ewakuacyjną do miejsca schronienia. Zabierz ze sobą **plecak** ewakuacyjny. **Unikaj wind**, idź schodami. Schronienie, do którego się udajesz, powinno być **bez okien**, mieć grube ściany, gruby strop, dostęp do powietrza i wyjście awaryjne.

34



Reagowanie

Pierwsza pomoc

Udzielenie pierwszej pomocy to Twój obowiązek. Nie bój się – kiedy pomagasz, nie ponosisz odpowiedzialności za nieumyślne błędy.

41

Strony z instrukcją postępowania z „Poradnika bezpieczeństwa" Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Od kilku tygodni jest on udostępniony do pobrania na stronie internetowej www.gov.pl/web/poradnikbezpieczenstwa, ale zostanie też wysłany do każdego gospodarstwa domowego w kraju.

drugie – doskonalenie sztuki polegania w terenie na samym sobie), którzy zresztą często mają „zajawkę" militarną, stąd i plecaki były stylizowane na te żołnierskie, w barwach moro albo khaki. Obecnie, gdy pod uwagę trzeba brać scenariusz przymusowej ewakuacji i potencjalnego zetknięcia z wrogiem, zaleca się raczej unikanie wojskowych skojarzeń i wtopienie w tłum. W języku survivalu nazywa się to ideą *grey man*.

Ale sprzedawcy jeszcze tej subtelności nie wychwycili, w ofercie wciąż mają plecaki moro. Zarówno w sklepach specjalistycznych, jak i w marketowych sieciach, które również postanowiły zarobić na nowej społecznej potrzebie. Biedronka wprowadziła na początku września do sprzedaży akcesoria survivalowe, w tym plecaki. Jeden z nich wygląda jak stworzony z myślą o tych, którzy chcą się w wojnę pobawić: wojskowe barwy, biało-czerwona flaga, naszywka „Poland", a obok inna, wyglądająca jak deklaracja przynależności do jednostki specjalsów.

Portugalska sieć odżegnuje się od określania plecaka mianem ewakuacyjnego, w razie zarzutów, że nie spełnia on wytycznych określonych w rządowym poradniku. Takich oporów nie ma za to Carrefour Polska. Dyrektor Piotr Lubiewa-Wieleżyński informuje, że na początku sierpnia sieć wprowadziła do sprzedaży ponad sto produktów niezbędnych do skompletowania zestawu zalecanego przez RCB, a sam plecak wprost określa jako ewakuacyjny. W barwach moro jest jak najbardziej dostępny, a w najtańszej wersji, wyposażony w 11 akcesoriów, kosztuje 139 zł. Wśród nich dyrektor sprzedaży wymienia m.in. gwizdek z kompasem i termometrem, składaną saperkę z piłą, bransoletkę przetrwania z linką i nożykiem, krzesiwo, latarkę czołową i koc termiczny. Do tej pory sprzedało się kilka tysięcy sztuk. Testów jakości tego zestawu nie ma, ale cena daje do myślenia, zwłaszcza że za podobnej wielkości plecak innych marek trzeba zapłacić minimum 250 zł.

Już sama myśl o odnalezieniu się w warunkach ucieczki, z dala od komfortu cywilizacji XXI w., jest dla wielu paraliżująca. To uczucie krzepnie w miarę zagłębiania się w ewakuacyjne szczegóły. W internetowych komentarzach pod publikacjami na temat zasad ewakuacji roi się od wpisów przejętych seniorów, którzy nie owijają w bawełnę: ucieczka z takim ciężarem na plecach to zadanie dla zdrowych i silnych; przydałby się wózek, a nie plecak; dziękuję, wybieram barykadowanie.

Jeśli chodzi o gotowe zestawy, plecak wraz z wyposażeniem 24 elementów waży niespełna 5 kg, a wersja maks (ponad 100 akcesoriów) niecałe 9 kg. Zdaniem Kuby Dorosza to podejrzanie mało: – *Wszystkim zainteresowanym rekomenduję skompletowanie zestawu pod swoje potrzeby. Sprzęt wysokiej klasy musi ważyć. Osoba o dobrym poziomie sprawności fizycznej powinna unieść jedną czwartą masy ciała.*

Rasowy prepers jest w sytuacji skrajnej przygotowany również na skrajny minimalizm. Kuba Dorosz swój ostateczny zestaw przetrwania mieści w torbie biodrowej, wielkości dużej kosmetyczki. Dzięki niemu jest w stanie się napoić, ogrzać, opatrzyć małe rany, naładować telefon, wykonać drobne naprawy i prowizoryczne schronienie, a nawet przespać pod okryciem, za które służy gruby worek. Ale to już survivalowa profesura. Amatorom pozostają sklepy, instrukcje z internetu i rządowego poradnika. Nie ma powodu panikować, ale warto choć trochę się przygotować na wszelki wypadek.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 8b5cbd649a



RAFAŁ KALUKIN

Gry w przegraną

Nadszedł czas, żeby się zastanowić, czy demokratycznej koalicji naprawdę opłaca się dalsza licytacja na populizmy?

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl 8b5cbd649a

Współczesne liberalne elity – nie tylko w Polsce – wydają się wychodzić z założenia, że jeżeli problemem demokracji jest dzisiaj popularność populizmu, należy wtopić się w tło i populistów przeczekać. Traktując to rzecz jasna jedynie jako manewr taktyczny, uzasadniony przesuwaniem się społecznych nastrojów w prawo.

Ale dla demokratów szczególnie dotkliwa była porażka Rafała Trzaskowskiego, który flirtując w kampanii z populizmami, stracił liberalną cnotę, a rubelka w postaci oczekiwanej wygranej i tak nie zarobił. Niestety przegrane wybory to dopiero początek problemu. Rozpędzonej już licytacji na populizm tak po prostu nie da się zatrzymać, a jej wygranym na koniec zazwyczaj okazuje się populista.

Oto dwa przykłady z ostatniego czasu, które tę prawidłowość znakomicie ilustrują.

Biedny Polak patrzy na Ukrainę

Pierwszy dotyczy zawetowanej przez prezydenta Karola Nawrockiego ustawy przedłużającej wsparcie dla obywateli Ukrainy. Oficjalnie z powodu zignorowania zgłoszonego w kampanii Trzaskowskiego postulatu odebrania niepracującym Ukraińcom prawa do świadczenia 800 plus. Problem od początku był jednak wydumany, gdyż zdecydowana większość świadczeniobiorców akurat pracuje, z niebagatelną zresztą korzyścią dla polskiej gospodarki. Zjawisko turystyki socjalnej jest marginalne i nie wiąże się z poważniejszymi skutkami dla budżetu.

Koszty są jednak tylko pretekstem, a tak naprawdę chodzi o zaspokojenie społecznej potrzeby wskazania kozła ofiarnego, którego można obarczyć odpowiedzialnością za wszystkie niewygody. Ukraińcy kłują w oczy, bo nie okazują należytej wdzięczności, skądinąd słusznie traktując otrzymaną pomoc jako inwestycję Polski w jej własne bezpieczeństwo. Niechęć pod ich adresem często wyrasta jednak z nacjonalistycznych pobudek, do czego na wcześniejszym etapie nie wypadało się przyznawać. „Mamy obowiązki polskie, a nie ukraińskie" – prosto z mostu wypalił niedawno pewien znany dziennikarz. Dotąd stronił od tego rodzaju deklaracji. Teraz najwyraźniej uznał, że już można.

Na początku wojny takie slogany można było usłyszeć jedynie z ust polityków Konfederacji, wtedy jeszcze z Grzegorzem Braunem i Januszem Korwin-Mikkem. Na jednej z pierwszych konferencji prasowych w Sejmie spotkało się to z bojkotem dziennikarzy, również z prawicowych mediów, którzy po prostu odstawili mikrofony. Konfederacja znalazła się wtedy na wiele miesięcy w głębokiej politycznej izolacji. Dzisiaj to ona określa schematy, do których równają pozostali.

Już jednak w trakcie kampanii 2023 r. rządzące jeszcze PiS zaczęło wycofywać się z jednoznacznie proukraińskiej polityki, używając jako pretekstu napięć wokół kontyngentów zbożowych. Wtedy było to jednak jedynie elementem licytacji na froncie prawicowym.

Już po wyborach dołączył rząd Donalda Tuska, który w kwestii zboża tak samo jednoznacznie stanął w obronie interesu polskiego rolnika, kosztem komplikujących się relacji z Kijowem. Nowa koalicja próbowała mimo wszystko jakoś pogodzić obowiązki sojusznicze z coraz mniej sprzyjającym nastrojem w kraju, tyle że znalazła się w pułapce, gdyż każdy gest pod adresem prawicowej wrażliwości uwiarygadniał odruchy ksenofobiczne, wzmacniając presję PiS i Konfederacji.

Po zbożu pojawił się na koalicyjnej agendzie Wołyń, ostra odmowa rozmieszczenia polskich wojsk w Ukrainie (być może uzasadniona, niemniej warto było przedyskutować), wreszcie odebranie świadczeń. A już szczególnie kuriozalnie wyglądała niedawna pokazówka z wyłapywaniem i deportowaniem uczestników koncertu białoruskiego rapera, na którym dopatrzono się banderowskiej flagi. Co mogło być zresztą zwyczajną prowokacją, gdyż nie ulega wątpliwości, że w całej tej licytacji również „inni szatani są czynni".

Swoje też oczywiście zrobiła cyniczna polityka Kijowa, który kieruje się logiką korzyści, a mając do wyboru partnerów z większym potencjałem, może sobie pozwolić na ignorowanie łasych na gesty wdzięczności Polaków.

Tyle dobrego, że prezydenckie weto bezpośrednio nie powinno skomplikować położenia ukraińskiej diaspory, chociaż w gęstniejącej atmosferze niechęci zapewne będzie rosła jej skłonność do dalszego migrowania poza polską granicę. Co oczywiście natychmiast odbije się na rynku pracy.

Tymczasem antyukraińska licytacja trwa w najlepsze. Nawrocki podniósł ją na wyższy poziom, domagając się ustawowego zrównania „banderyzmu" z nazizmem oraz radykalnego wydłużenia okresu przyznawania polskiego obywatelstwa. Rząd odpowiedział z kolei projektem odbierającym 800 plus już nie tylko niepracującym Ukraińcom, ale wszystkim obcokrajowcom. W sumie logiczne, bo dlaczego mielibyśmy „wyróżniać" w ten sposób tylko jedną nację? Mimo wszystko nie takiej spójności wyborcy koalicji kiedyś od niej oczekiwali.

A biedny Polak patrzy dzisiaj na Ukrainę i sam już nie wie, skąd te drony mogły do nas przylecieć. Bo przecież po narodzie tak perfidnym i niewdzięcznym można się spodziewać wszystkiego. Tyle dla nich zrobiliśmy, polskie serca otworzyliśmy, a oni teraz próbują wciągnąć nas w wojnę. Musimy się bronić, tylko coraz trudniej ustalić hierarchię przyjaciół i wrogów.

Gra do jednej bramki

Kolejnym populistycznym chochołem stała się jakiś czas temu umowa Unii Europejskiej z Mercosurem. Schemat ten sam: najpierw prawica demonizuje, a rząd podejmuje rękawicę, bo musi pokazać, że też potrafi bronić tzw. polskich interesów. Chociaż kontestując projekt umowy, premier zapewne miał świadomość, że tej rozgrywki na europejskim boisku nie będzie w stanie wygrać. Ale być może tak naprawdę wcale mu na tym specjalnie nie zależało.

Negocjacje nad traktatem o wolnym handlu z krajami Ameryki Łacińskiej ciągnęły się od 25 lat, chociaż mało kto się tym w Polsce wcześniej interesował. Traf chciał, że ich zakończenie zbiegło się w czasie z kampanią prezydencką, co prawica wykorzystała do rozpętania histerii z powodu rzekomo nadciągającego upadku konkurencyjności polskiego rolnictwa. Ryzyko zapewne istnieje, chociaż według znawców tematu zostało wyolbrzymione, gdyż nasz sektor rolny specjalizuje się w trochę innych obszarach niż producenci bananów, mango czy kawy. Przede wszystkim jednak wytwarza on relatywnie niewielką część naszego PKB, z kolei otwarcie nowych rynków zbytu dla przemysłu powinno przynieść gospodarce per saldo dużo większe korzyści.

Nieprzypadkowo to Niemcy z ich potęgą przemysłową są głównym orędownikiem traktatu, a wiadomo, że zwiększenie możliwości eksportowych naszego zachodniego sąsiada zawsze skutkuje wzrostem zamówień dla polskich producentów. Niestety populistyczne narracje mają to do siebie, że skupiają się ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ na wybranych szczegółach, ignorując szeroki obraz. Naszej prawicy jakoś więc nie przeszkadzają amerykańskie taryfy celne, których szkodliwy wpływ na polską gospodarkę jest potencjalnie dużo wyższy. Trumpowi wolno jednak kierować się egoistycznymi interesami, co z kolei Niemców z zasady dyskwalifikuje. Choćby ich interesy pokrywały się z naszymi, ale to nie ma znaczenia. Na złość Berlinowi warto nawet odmrozić sobie uszy.

Tylko z kim właściwie mamy prowadzić interesy w świecie rosnących geopolitycznych napięć i wojen handlowych? Nieprzypadkowo większość sceptycznych wobec umowy z Mercosurem europejskich rządów ostatecznie uległo argumentacji Brukseli i wszystko wskazuje, że traktat zostanie wkrótce ratyfikowany. Wciąż oponuje mająca swoje problemy z populizmem Francja, lecz nawet jej opór zdaje się ostatnio słabnąć. W tej sytuacji Tuskowi wyraźnie już nie chciało się wykonywać kolejnych rejtanowskich gestów, co prawica natychmiast wykorzystała. Politycy PiS zaczęli oskarżać premiera o uległość wobec Brukseli i Berlina, a to zapewne początek zmasowanej kampanii. Trudno więc kolejny raz nie zadać pytania, czy warto było podejmować grę na warunkach przeciwnika.

Migracja demokracji

Tym bardziej że nie są to jedynie taktyczne przegrane, ich suma robi różnicę. Każda kolejna abdykacja obozu liberalno-demokratycznego z jego zasadniczych orientacji skutkuje przesunięciem na prawo punktu ciężkości politycznego sporu. Wystarczy prześledzić, jak zmieniały się na przestrzeni ostatnich dwóch lat społeczne trendy w poparciu dla tak węzłowych kwestii, jak demokracja, praworządność, Unia Europejska i pochodzący z niej Krajowy Plan Odbudowy, imigracja, kryzys klimatyczny bądź aborcja. Na każdym z tych obszarów widać mniej lub bardziej poważny regres, co powinno skłaniać do postawienia kolejnego pytania o zasadnicze cele polityczne rządzącego obozu, właściwy sens prowadzonej przez niego polityki.

Warto zajrzeć choćby do najnowszych odczytów Eurobarometru z ubiegłego tygodnia. Już tylko 43 proc. Polaków popiera przenoszenie kompetencji z poziomu krajowego na unijny, również w obszarze bezpieczeństwa, podczas gdy średnia w całej Unii wynosi 68 proc. Tylko w oczekiwaniu większych pieniędzy nadal jesteśmy prymusami, tyle że od siebie najwyraźniej nie jesteśmy skłonni wiele dawać.

A już prawdziwym dzwonkiem alarmowym powinien być opublikowany w lipcu raport jednej z niemieckich fundacji „Młoda Europa 2025". Zawarta w nim została analiza postawy młodego pokolenia (16–26 lat) opierająca się na szerokich badaniach zrealizowanych w siedmiu europejskich krajach, w tym Polsce. I okazało się, że nasze zetki szorują po dnie, jeśli chodzi o uznanie demokracji za najlepszą formę rządów (mniej niż połowa); relatywnie najczęściej określają swoją tożsamość jako wyłącznie narodową, są najbardziej sceptyczne wobec imigracji (w porównaniu z 2021 r. ten wskaźnik wzrósł z 25 do 51 proc.) oraz polityki klimatycznej jako takiej (wzrost z 16 do 29 proc.). Z tej perspektywy nie powinno w sumie dziwić, że to właśnie młodzi wyborcy przechylili szalę w wyborach prezydenckich.

Można oczywiście podejść do problemu w ten sposób, jak robią to liderzy rządzącej większości z premierem na czele. Czyli że gra się tak, jak przeciwnik pozwala. Polityczni analitycy są jednak dosyć zgodni, że na końcu znajduje się ślepy zaułek. Tylko czy dla znajdujących się w głębokiej defensywie polskich demokratów właściwie istnieje jakaś alternatywa? Być może jest już na nią po prostu za późno, gdyż uwięzieni w pułapce kadencyjności zmuszeni są działać doraźnie, tymczasem budowanie prawdziwego przywództwa – czyli samodzielnie kształtującego nastroje – zajmuje nawet dekady. I nie wystarczy wygrywać kolejnych kampanii, bo niezbędne jest również projektowanie odpowiednich instytucji, systemowe wsparcie dla sektora obywatelskiego, inwestowanie w edukację publiczną, kulturę, wspieranie ładu medialnego.

O ileż łatwiejsze było to zresztą 15–20 lat temu, kiedy populistyczne pokusy dopiero kiełkowały i nie zdążyliśmy jeszcze popaść w niewolę internetowych algorytmów, które z informacyjnego chaosu wyławiają to, co najbardziej radykalne i irracjonalne. Nie my jedyni przespaliśmy początki rewolucji informacyjnej, chociaż w Polsce z jej tradycyjnym deficytem czytelnictwa jest to problem szczególnie dotkliwy. Teraz możemy chyba już tylko pokładać nadzieję w cyfrowych regulacjach Unii Europejskiej, skądinąd też słabnącej.

Zatrzymać wreszcie tę spiralę

Trudno w tym wszystkim nie wskazać zaniedbań z czasów poprzednich rządów Platformy, które nie podlegały jeszcze tak przemożnej presji, jak obecne. Tyle że model przywództwa Tuska właściwie zawsze opierał się na oportunizmie. Od początku rywalizacji z PiS zapożyczał się u konkurencji, dawniej przejmując charakterystyczny dla niej patriotyczny frazes i antykomunistyczną zapalczywość, a dzisiaj flirtując już z bardziej aktualnymi nurtami populizmu. A kiedy chwilowo nic mu z tamtej strony nie zagrażało, uciekał w postpolitykę („Nie róbmy polityki, budujmy mosty" czy dziś: „My nie mówimy, ale robimy").

I właściwie całą naznaczoną wyborczymi sukcesami drogę obecnego premiera dałoby się zarazem opisać jako proces zrzucania kolejnych ideowych balastów, które w pierwotnym splocie gdańskiego liberalizmu były przecież silnie zaznaczone. Z zachowaniem jedynie ogólnej liberalno-demokratycznej ramy oraz konsekwentnie prozachodniej orientacji.

Niestety po 15 października 2023 chyba przeceniliśmy jej znaczenie. Wydawało nam się, że za antypisowskim pospolitym ruszeniem stało równie silne pragnienie przywrócenia standardów demokratycznego państwa prawa i paru innych żelaznych reguł otwartego społeczeństwa, podczas gdy z dzisiejszej perspektywy widać już dosyć wyraźnie, iż były to potrzeby raczej drugorzędne. Rządy PiS upadły głównie dlatego, że straciły zdolność realizowania populistycznych obietnic, które same wcześniej rozbudziły. Ale już owe obietnice przetrwały zmianę władzy w stanie niemal nienaruszonym, a dzisiaj zdają się nawet jeszcze bardziej puchnąć.

Nie bardzo więc widać wyjście z tej kwadratury koła. Może poza tym, żeby już więcej nie licytować w górę, tylko w miarę możliwości schładzać populistyczne deformacje. Tak żeby całkiem nie oderwać się od „ludowej" wrażliwości i nie narazić na zarzut braku zrozumienia społecznych obaw, dorzucając jednak od siebie jakąś namiastkę umiaru i odpowiedzialności. A to z kolei wymaga dużo bardziej profesjonalnej komunikacji, zwłaszcza odejścia od propagandy wizerunkowej na rzecz znalezienia atrakcyjnej formuły opisu rzeczywistości. Przy okazji przydałaby się wreszcie realna reforma mediów publicznych, a jeszcze bardziej zdobycie choćby przyczółka w świecie wirtualnym.

To wszystko ledwie półśrodki, chociaż od czegoś trzeba zacząć.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 8b5cbd649a

Subregion dla młodych

Elbląg jako przykład średniego miasta ma ambicje na rozwój i stawienie czoła demograficznym trendom. Pozostaje pytanie, co subregion elbląski robi, aby zachęcić młodych mieszkańców do pozostania i rozwijania się w mieście i sąsiadujących z nim samorządach?



Okazuje się, że Elbląg może poszczycić się nie tylko wybitnym raperem, jakim jest niewątpliwie VNM (Tomasz Lewandowski), ale również trzecią co do wielkości biblioteką w kraju. Przynajmniej tak zapewniał jej dyr. Jacek Nowiński, współgospodarz Festiwalu Ogrody POLITYKI w Elblągu. I zgodnie z przewidywaniami – nikogo nie trzeba było zachęcać do dyskusji. Wszak zawsze najlepiej rozmawia się w miejscu, w którym na co dzień należy milczeć.

Elbląg od lat kojarzony jest w dużej mierze z przekopem Mierzei Wiślanej – flagowca rządu Prawa i Sprawiedliwości – który w 2022 r. został oddany, choć nie ukończony. Władze zabiegają o przeprowadzenie ostatniego etapu (budowy toru wodnego do portu), aby wykorzystać pełen potencjał zrealizowanej inwestycji. To zaledwie jeden z elementów planowanego rozwoju regionu. Subregion elbląski chce się ubiegać m.in. o budowę magazynów energii. W skrócie: władze Elbląga są ambitne i nie kapitulują wobec wyzwań demograficznych czy lokalnej konkurencji.

W towarzystwie prezydenta Elbląga dra Michała Missana, starosty Macieja Romanowskiego i prof. Wojciecha Dziemianowicza, regionalisty z UW, stanęliśmy przed listą wyzwań, które czyhają na sąsiada wielkiej, trójmiejskiej metropolii. To przede wszystkim ruchy demograficzne: wyludniające się miasteczka i średniej wielkości miasta czy starzejące się społeczeństwo. Prezydent Missan zwrócił uwagę, że ponad stutysięczny **Elbląg, położony niespełna godzinę od Gdańska stanowi atrakcyjną alternatywę dla wielkomiejskiego tłoku i pośpiechu.** W mieście, którym zarządza, wskazał na przestrzeń do „slow life", czyli życia bez pędu, docenienia infrastruktury, lecz z możliwością pracy w sąsiednim ośrodku. Dojazd do Gdańska mogłaby ułatwić budowa nowego połączenia kolejowego. Dr Missan zaznaczył, że o nowym stylu życia – promującym świadome i powolne życie, z dala od presji – dowiedział się od młodych elblążan, przez których ta filozofia jest poszukiwana.

Starosta Romanowski zapewnił, że zwracają się do niego również przedstawiciele starszego pokolenia, którzy zwiedzili świat i zrobili kariery, a marzą o powrocie w rodzinne strony, w których mogliby się cieszyć spokojnym życiem. Oprócz demografii, o przyszłości regionu zadecydują młodzi mieszkańcy. Czy Elbląg stawi czoła wyzwaniom w zakresie dostępu do mieszkań, edukacji, kariery i komunikacji?

Tu wielkie ukłony należą się zgromadzonym na sali przedstawicielom lokalnego biznesu i samorządów, przy których udziale udało się pogłębić dyskusję na temat potrzeb młodych ludzi. Poza klasycznymi problemami, gorąca wymiana dotyczyła również poczucia bezpieczeństwa, rozumianego niejednakowo przez młodsze i starsze pokolenia.

Prof. Wojciech Dziemianowicz zwrócił uwagę na problem z prowadzoną na poziomie centralnym polityką regionalną i samorządową. Przede wszystkim brakuje jasnej koncepcji na dalszy rozwój ośrodków regionalnych: czy będą coraz bardziej niezależne od rządu, czy nie. Dla miast to poważne wyzwanie i pytanie o środki na inwestycje i utrzymanie. Tu odpowiedzią Elbląga jest powołanie Związku Gmin i Powiatów Subregionu Zalewu Wiślanego. **Koalicja miasta z okolicznymi miejscowościami ma pomóc w negocjacjach centralnych**, ale także we współpracy w ramach województw pomorskiego i warmińsko-mazurskiego. Siła ma leżeć w konsolidacji regionu (i zatarciu sprzecznych interesów) oraz wzmocnieniu głosu na wyższych szczeblach administracyjnych.

To zaledwie zarys obszernych zagadnień i daleka od rzeczywistej wysokości namiastka temperatury dyskusji. Reszta wydarzyła się w Elblągu i w Elblągu zostaje. Najbliższa szansa na odkrycie reszty kart (oby!) – za rok.

Sympozjum „Subregion elbląski jako szansa zrównoważonego rozwoju – mit czy cel strategiczny?" odbyło się w ramach Festiwalu Ogrody POLITYKI. Udział wzięli: dr **Michał Missan**, Prezydent Elbląga **Maciej Romanowski,** Starosta Elbląski; prof. **Wojciech Dziemianowicz**, profesor UW, doradca samorządowy, regionalista; prowadzenie: **Michał Tomasik**, Tygodnik POLITYKA

Zapis z debat dostępny na
https://www.youtube.com/@tygodnik_polityka

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Gminą Miasto Elbląg

eprasa.pl 8b5cbd649a

Nowogrodzka znowu nadaje

W nowym sezonie politycznym Jarosław Kaczyński chce umocnić wrażenie, jakby już miał wygrane następne wybory. Jeszcze nie rządzi, ale już dzieli – przyszłe wpływy, przywileje i posady. Jak PiS tak łatwo wtłacza przekazy o swojej potędze i dlaczego druga strona odpowiada tak słabo?

MARIUSZ JANICKI

Co pewien czas wracamy do opisu piarowych chwytów, opowieści i tzw. spinów stosowanych przez prawicę, które przenikają do szerszej publiczności, mediów społecznościowych, wpływają na dziennikarzy, ekspertów, różne środowiska. Pojawiła się nowa dostawa i trafia na dość wyjałowiony teren po stronie liberalnej.

Po zwycięstwie Karola Nawrockiego obóz demokratyczny zalały opinie, że teraz już pozostaje tylko bierne oczekiwanie na powrót PiS. Czyli dzieje się to, o co chodzi sztabowcom prawicy. Jeszcze nie jest za późno dla rządzących i ich wyborców, aby tę grę spin doktorom z PiS popsuć. Warto zatem popatrzeć, jak wyglądają te przekazy, do czego zmierzają i jak można je neutralizować.

1 „Nawrocki wszedł w prezydenturę z drzwiami i futryną". Trwa wielka akcja ocieplania prezydenta Nawrockiego. Chociaż ma on takie same uprawnienia jak poprzedni i poza wetami, przemowami oraz wizytą u Trumpa jeszcze niewiele pokazał, niemal wszyscy piszą o jego energii, sile, stanowczości, prezencji, tężyźnie, nowej epoce, którą rozpoczął, o tym, jak dominuje nad rządem, jak świetnie rozumie dzisiejszą politykę. W społecznościówkach pełno takich określeń jak: „sigma", „boss", „mąż stanu", „Goat" „wielki szef". „Punktuje, bo działa" – można przeczytać w „Rzeczpospolitej". Podobne oceny płyną – co oczywiste – ze strony prawicowych mediów, ale też komentatorów ze środowisk liberalnych. Krytykowanie Nawrockiego staje się wręcz w złym guście. Już niedużo brakuje do frazy „nie straszcie Nawrockim".

Po spotkaniu w Białym Domu jeden z ekspertów od polityki międzynarodowej stwierdził, że Nawrocki wypadł bardzo pozytywnie dlatego, że „oczekiwania były niskie". Obniżanie oczekiwań to bardzo skuteczny chwyt psychologiczny, Kaczyński i jego partia jadą na tym od lat, teraz na tę falę załapał się Nawrocki. To, co u innych polityków jest traktowane jako oczywiste lub spodziewane, w przypadku ludzi z kręgu PiS jest uznawane za osiągnięcie i przyjmowane z podziwem na zasadzie: mogli być gorsi, a nie są. Na oficjalnym profilu Kanału Zero po wizycie u Trumpa napisano: „Miało być potknięcie i klapa, a jest triumf i konkrety". To jest ta klasyka.

Sztabowcom PiS udało się zaszczepić pożądany wizerunek Nawrockiego. Samo sformułowanie „wszedł z drzwiami", które szeroko popłynęło w mediach, ma wydźwięk w sumie sympatyczny, sugeruje obrotność, bezceremonialność, umiejętność rozpychania się, narzucania racji i traktowania przeciwników „z buta", co – jak widać – imponuje nie tylko prawicy. Słowem kluczem stała się wypreparowana z innych kontekstów „twardość", z jaką kojarzony jest nowy prezydent, a także „sprawczość", choć nie wiadomo jeszcze dokładnie, co „sprawił".

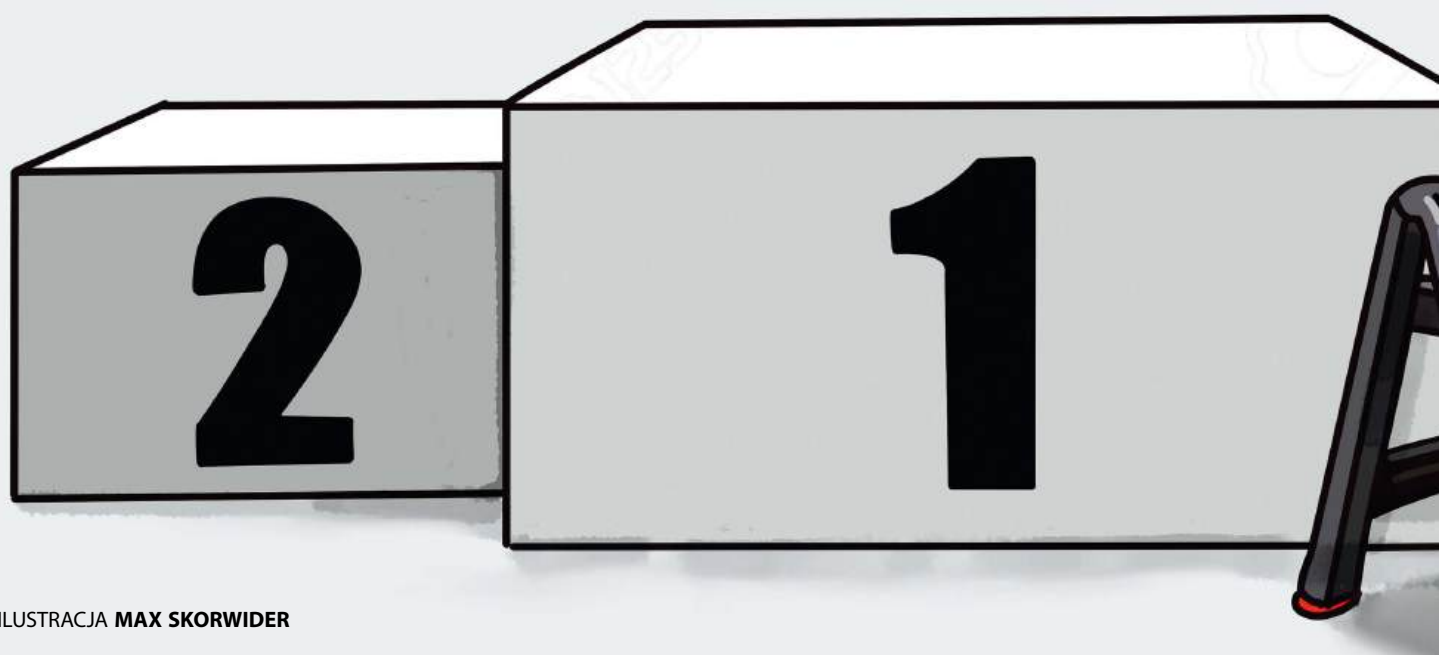

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

eprasa.pl 8b5cbd649a

Nawrocki często jest traktowany niejako zewnętrznie, pomijane są jego radykalne, nacjonalistyczno-katolickie poglądy, unieważniane są wątpliwe fakty z życiorysu. Odżywają znane motywy z czasów władzy PiS: „atakowanie Nawrockiego tylko go wzmacnia, Nawrocki ma klucz do sympatii wyborców, nowy prezydent to przyszłość, a PO-PiS to przeszłość, warto dać mu szansę". Nawet specjaliści od mowy ciała, proszeni przez portale o ocenę publicznych zachowań Nawrockiego, zgodnie stwierdzają, że jest bliski perfekcji, a jeśli robi coś wbrew protokołowi, to i tak dodaje mu to punktów. To legenda, którą buduje Nawrockiemu jeden z najzdolniejszych dziś organizatorów politycznego marketingu Paweł Szefernaker. Niedocenienie ekipy Nawrockiego i jego żony, która wyraźnie ma własną obsługę piarową, byłoby dużym błędem obozu władzy. Kompleksowość i konsekwencja „projektu Nawrocki" jest nową jakością na publicznej scenie.

2 „Wracamy, czyli PiS idzie po samodzielne zwycięstwo". Ten dość nowy spin wypuszczany przez Nowogrodzką jest wspomagany przeciekami o „wewnętrznych sondażach", gdzie PiS zaczyna podobno przekraczać 35 proc. i zmierza do tych legendarnych 40 proc., o których często wspomina Jarosław Kaczyński, a które mają dać jego partii samodzielną władzę, bez Konfederacji i Brauna. Ten przekaz jest ostatnio przepuszczany przez dziennikarzy i ma tłumaczyć obcesowość prezesa Kaczyńskiego wobec Sławomira Mentzena, bo chodzi o to, żeby odebrać mu wyborców, a jego samego zmarginalizować.

Od pewnego czasu w PiS pojawiały się wątpliwości wobec tak ostrego antykonfederackiego kursu Kaczyńskiego, zwłaszcza w kręgu Przemysława Czarnka, który od dawna próbuje być łącznikiem z tą częścią prawicy. Teraz, po tym przekazie, już więcej wiadomo: na razie PiS „wraca" po swoje, a na ewentualne flirty z Mentzenem, a najlepiej z Bosakiem przyjdzie czas w następnym ruchu, na zasadzie „mądrości etapu".

Drugi efekt, poza komunikatem do swoich, jest psychologiczny: PiS demonstruje pewność, że zrobi powtórkę z 2015 i 2019 r., historia zatoczy koło, a rządy liberalne staną się przykrym incydentem, wypadkiem przy pracy. Do takiego wrażenia potrzebne jest Kaczyńskiemu samodzielne partyjne zwycięstwo: on chce sam pokonać Tuska, nie zawdzięczać tego sukcesu nikomu, a już na pewno nie komuś takiemu jak Mentzen. Dlatego zapewne będziemy teraz słuchać częściej o potędze już nie całej prawicy, ale „wielkim powrocie PiS". Z tego spinu śmieją się nawet ogólnie przychylni prawicy eksperci od sondaży, co nie znaczy, że nie będzie nadal rozpowszechniany.

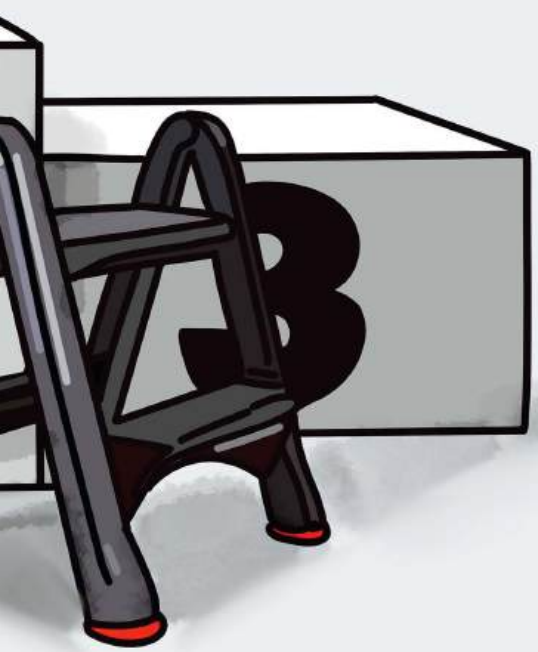

3 „Morawiecki był najlepszym premierem po 1989 r.". Ta teza, bardzo wzmacniana w socialach, to druga część poprzedniej akcji. Obecne wychwalanie Morawieckiego przez Kaczyńskiego, a za nim przez prawicowe środowiska, wydaje się dziwne wobec jeszcze niedawnych zapewnień prezesa PiS, że ten nie ma szans na ponowne objęcie takiej funkcji. Ale sytuacja zmieniła się z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze, Morawiecki potrzebny jest Kaczyńskiemu do drażnienia Konfederacji, gdzie były premier ma fatalną opinię z powodu jego „proukraińskości", „nieludzkiej polityki" w czasie pandemii covidu oraz zwiększania i komplikowania podatków. Kiedy Kaczyński chwali Morawieckiego i daje do zrozumienia, że może być on ponownie szefem rządu, wysyła sygnał, że w ogóle nie myśli o koalicji z Konfederacją, a w każdym razie z Mentzenem.

I po drugie: Morawiecki jest potrzebny także w roli równoważnika dla Karola Nawrockiego. O nowym prezydencie Kaczyński wyraża się ogólnie dobrze, zwłaszcza o jego wieku i kondycji, ale jest jednak zadra: to człowiek niejako przysposobiony, wzięty z tego powodu, że nikogo odpowiedniego w samym PiS nie było. I tu wskakuje Morawiecki z odzysku, teraz jako wybitny i przenikliwy ekonomista, najlepszy premier w historii, człowiek, który ma w małym palcu bankowość, finanse, światowe rynki, a zarazem jest czuły na politykę społeczną, na „ludzki wymiar", jako przeciwstawienie „darwinistycznego" Mentzena. Były premier prowadzi intensywną własną kampanię, odbył debaty z Mentzenem, z Zandbergiem, nazywa siebie „politykiem środka". Także podczas ostatniego kryzysu dronowego wszędzie go było pełno: m.in. zażądał, aby Tusk zwołał Radę Europejską. Oczywiście Morawiecki musi sobie zdawać sprawę, że jego wzmocnienie wynika tylko z bieżących okoliczności i w każdej chwili może zostać ponownie porzucony, ale zapewne będzie chciał wykorzystać ten czas do maksimum.

4 „Obecna władza demoluje finanse państwa". Obok budowania z odzysku mitu Morawieckiego, pojawił się silny atak na politykę budżetową i finansową rządu Tuska. To współgrające przekazy mające pokazać obecną władzę nie tylko jako „antykonstytucyjną" i „przestępczą", ale także nieudolną na polu, którym się zawsze chwaliła, czyli gospodarczym. Wypomina się Tuskowi wielki deficyt, a jednocześnie na prezydenckie projekty Nawrockiego „pieniądze muszą się znaleźć". To grillowanie z obu stron to typowy chwyt ekipy Kaczyńskiego.

Dla sztabowców PiS wydajniejszym wątkiem jest teraz „rujnowanie finansów państwa" niż „drożyzna", bo jednak to za rządów PiS był ogromny wzrost cen. Strategia Tuska polega na chwaleniu się coraz niższymi wskaźnikami inflacji i przyrostem PKB. Ale ma z tym problem, który wyczuwa PiS: niższa inflacja nie oznacza zmniejszania cen, tylko co najwyżej wolniejszy ich wzrost, a to niespecjalnie przemawia do wyobraźni. Na szczęście dla ekipy Tuska, zadłużanie państwa też się nie przekłada na codzienne doświadczenie ludzi. Ale ten wątek, jak słychać, będzie jeszcze mocno eksploatowany w jesiennym sezonie politycznym, wraz ze sprawą KPO, która ma w propagandzie prawicy ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ wrócić z hukiem. Przekaz łączony ma być taki, że koalicyjny rząd nie panuje nad państwową kasą i trwoni europejskie pieniądze „dla swoich".

5 „Tusk nic nie znaczy w Europie". Ten przekaz jest bardzo mocno nagłaśniany i ma uderzać w tę sferę, którą rząd i Platforma zawsze się szczycą jako przewagą nad PiS, czyli w świetne relacje z Brukselą i europejskimi partnerami. Punktem początkowym tej akcji były chyba zdjęcia i filmiki z podróży kilku przywódców państw Unii do Kijowa, kiedy to Tusk jechał w innym wagonie niż pozostali, a na dworcu rozegrała się rzeczywiście dziwna scenka, jakby kanclerz Merz po coś Tuska posyłał lub go odsyłał. Potem prawica tropiła każdą wizytę Tuska w Europie, szukając podobnych „afrontów", jak niedawno, kiedy w Mołdawii Tusk rzekomo szedł po schodach trochę obok i nieco z tyłu za Macronem, Meloni i Merzem oraz nie podniósł ręki w pozdrowieniu, chociaż tamci podnieśli. Hasłem na X stało się niezbyt zgrabne zdanie „czwarte koło u wozu", chyba w rozumieniu, że piąte. Ostatnio hitem był filmik ze spotkania tzw. koalicji chętnych w Paryżu, gdzie Macron witał wszystkich gości osobiście, a Tuska – urzędnik. Zapewne wszystkie te okoliczności mają wytłumaczenie (w ostatnim przypadku to spóźnienie), ale na filmikach tych tłumaczeń nie widać, pojawiają się w innym obiegu.

Te niby prymitywne chwyty odniosły pewien skutek, a wątpliwości i pytania w socialach padały nie tylko z prawej strony. Pojawiły się opinie, że Tusk powinien więcej wagi przykładać do takich przypadków, bo w czasach wszechogarniającej kultury obrazkowej, takie sceny mogą znaczyć więcej niż przemówienia. PiS będzie w to mocno grał z jednego istotnego powodu: prawicowa ekipa ma dostęp do Donalda Trumpa i jego ludzi, ale prawie nic nie znaczy w europejskim *mainstreamie*. Tusk ma problemy w dostępie do Białego Domu, więc PiS chce osłabiać jego wizerunek jako wpływowego polityka europejskiego, po to aby przedstawić go jako ogólnie nieznaczącą, schodzącą ze sceny postać. To część ogólnej akcji „Tusk powinien odejść", widocznej także w mediach liberalnych. Prawica próbuje też wylansować przekaz o kłopotach zdrowotnych premiera. Widać, że to kompleksowa akcja.

6 „Ludzie z rządu oraz wykonawcy poleceń będą siedzieć po zmianie władzy". Ten przekaz funkcjonuje już długo, ale przechodzi kolejne fazy. Przez pierwsze miesiące rządów koalicji 15 października jeszcze zbyt mocno nie rozbrzmiewał, bo sam PiS bał się odwetu, dlatego mówiło się raczej o ogólnym bezprawiu i łamaniu konstytucji. Ale kiedy okazało się, że rząd nie ma sposobu na szybkie rozliczenia, a jego notowania zaczęły słabnąć, pojawiły się wyraźne groźby zemsty i ironiczne stwierdzenia, że „my wiemy, jak to zrobić". Po zwycięstwie Karola Nawrockiego wszystkie hamulce, jeśli takie jeszcze były, zostały zwolnione. Teraz nawet ludzie PiS mający już postawione zarzuty wyrażają się publicznie o Tusku, że jest „niemieckim agentem". Jeśli Nawrocki przyjmie wykładnię swojego poprzednika, to może ułaskawiać każdego na dowolnym etapie postępowania, czego raczej nie zrobi wobec polityków obecnej ekipy rządzącej. Dlatego często można przeczytać stwierdzenie kierowane do rządzących, że „nas nie zdążycie skazać, a was nikt nie ułaskawi". Ten komunikat ma dużą polityczną i psychologiczną siłę, wpływa na postawy i zachowania.

Bo przestroga płynąca od ludzi PiS jest zniuansowana. Z jednej strony padają wprost groźby pod adresem Tuska, wcześniej Bodnara, teraz Żurka czy Sienkiewicza, ale ten komunikat się rozdwaja na zasadzie: oni sobie jakoś poradzą, schowają za immunitetami, wyjadą do Brukseli, mają dobrych prawników, są finansowo zabezpieczeni, ale wy, wykonawcy poleceń tego rządu, urzędnicy na etatach, funkcjonariusze czy prokuratorzy tu zostaniecie i was nikt przed nami nie obroni. Tę atmosferę ostateczności, „wóz albo przewóz", podkręcają czasami także wysocy urzędnicy obecnej władzy, czym zapewne podsycają wątpliwości swoich podwładnych. Wydaje się, że ten aspekt obawy przed zemstą prawicowego rządu, który – w propagandzie PiS – już jest niemal u władzy, nie jest wystarczająco doceniany przez rząd, choć duża część urzędników już mogła mentalnie opuścić tę ekipę. I życiowo byłoby to jakoś zrozumiałe, biorąc pod uwagę lansowaną groźbę zemsty.

7 „Zmiana władzy najpóźniej w 2027 r. jest przesądzona". To główny spin – matka wszystkich przekazów – „was już nie ma" – stale obecny w retoryce prawicy i słabo neutralizowany przez drugą stronę. Wypuszczane są przecieki, że ludzie PiS już układają przyszłe zarządy państwowych spółek i obsady ministerstw (ciekawe, czy z uwzględnieniem Konfederacji). Opinię o nieuchronności powrotu PiS do rządzenia, może z przystawkami, przyjęli z podobnym zapałem publicyści z wszystkich środowisk. To bez wątpienia największe osiągnięcie sztabu piarowców Kaczyńskiego: Platforma i PiS mają po ok. 30 proc. i wymieniają się na pierwszym miejscu, ale według obowiązującej interpretacji to Kaczyński jest mistrzem, a Tusk chyli się ku upadkowi. Strona liberalno-demokratyczna dała się tu zepchnąć do defensywy.

Wybory prezydenckie wygrał Nawrocki, ale z niewielką przewagą, znacznie mniejszą niż PiS pokonał Platformę w 2023 r. i Polska liberalna od tego nie zniknęła. To, że pod względem formalnym w wyborach prezydenckich zwycięzca bierze wszystko, nie oznacza, że w tym momencie także ogólna sytuacja kraju – społeczna i moralna – nagle radykalnie się zmienia. Wystarczy, że trochę zyska Lewica, PSL wygrzebie się ponad próg wyborczy albo wejdzie w koalicję wyborczą z Platformą, i bilans może się zmienić. Im dalej od momentu zwycięstwa Nawrockiego, tym szybciej będzie wracał rzeczywisty układ sił i ideowych sympatii. Wiele jednak będzie zależeć od wizerunku obozu władzy i samego Tuska. Tu nic nie będzie działać samo w sobie, bez narzucanej opowieści – ani osiągnięcia na polu międzynarodowym, ani wskaźniki gospodarcze, ani planowane inwestycje, ani „efekt flagi", jak po ataku rosyjskich dronów.

Zwolenników obozu demokratycznego, co widać w mediach społecznościowych, nieustannie dziwi, dlaczego tak niby nowoczesna, zasobna, europejska partia z głównego nurtu jak PO, została aż tak w tyle w technologii wpływu, budowania wizerunku, opowieści, reagowania na ataki, przykrywaniu i odwoływaniu wpadek. I w jaki sposób tak tradycyjna, prawicowa, przykościelna, mierząca w prowincję formacja jak PiS dopracowała się tak solidnego aparatu badawczego, marketingu, skoordynowanych działań w social mediach. Biorąc pod uwagę różnicę w profesjonalnym poziomie piaru obu stron, to i tak dziwne, że PiS i PO mają podobne notowania w sondażach. Ale to nie będzie trwało wiecznie. Jeśli Platforma chce nadal występować w tej samej lidze co PiS, to oprócz lepszego rządzenia musi w końcu zainwestować w zawodowych politycznych narratorów i twórców algorytmów, bo taka jest dzisiejsza polityka i innej na razie nie będzie.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 8b5cbd649a



Reżyser Władysław Pasikowski z Bogusławem Lindą (Konstanty „Bruno" Brusicki) na planie „Zamachu na papieża"

Władysław Pasikowski (ur. 1959 r.) – reżyser i scenarzysta. Studiował kulturoznawstwo ze specjalizacją filmoznawstwo na Uniwersytecie Łódzkim, a potem reżyserię w szkole filmowej w Łodzi. Trzykrotnie uhonorowany nagrodami za reżyserię w Gdyni. Zadebiutował w 1991 r. filmem „Kroll". Największą sławę przyniosły mu zrealizowane w 1992 r. „Psy", powszechnie uważane za jeden z najlepszych obrazów sensacyjnych w powojennej kinematografii, a jednocześnie będące gorzką refleksją nad przemianami ustrojowymi w Polsce. Ma też na swoim koncie jeden z najlepiej przyjętych polskich seriali kryminalnych „Glina" (2003–08).

Filmy ze wstydu

Powiem coś, a potem nastąpi atak z każdej ławki Sejmu od lewej do prawej, i jeszcze z galerii – zapowiada Władysław Pasikowski, autor filmu „Zamach na papieża". I mówi.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Gorzki bardzo ten pana film.**

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI: – Słodko-gorzki. Jak to w życiu jest. Żeby tego nie widzieć, trzeba być ślepym albo mieć bardzo silny mechanizm obronny. Zaczynamy od piaskownicy, wiaderka i łopatki, a kończymy niemal tak samo – przy grobach. Zaczynamy od lekcji religii i świąt, a kończymy jak ja – rozczarowaniem i niepodlegającym wahaniom zwątpieniem albo jak pewna znana piosenkarka – dramatycznie, z jęzorem zakonnicy w uchu.

Pesymistą pan się stał.

Może się tak wydawać, ale na pewno nie. Po pierwsze, zawsze byłem. Nie widzę i nie widziałem nigdy w przywódcach, ideologiach, a także historii niczego, co skłaniałoby mnie do optymizmu. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ten, kto mógł wskrzesić Łazarza, nie zrobił niczego więcej w tym kierunku. Za to z wiekiem mam coraz więcej wyrozumiałości dla ludzi i ich słabości. Nie żebym się usprawiedliwiał ze swoich. Więc nie pesymistą, ale fatalistą zostałem. Jest, jak jest, nic na to poradzić nie można. Można jedynie próbować samemu się nie skurwić do końca.

Oglądając pana „Zamach na papieża", w pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, co by czuł Clint Eastwood, gdyby przyszło mu żyć w „Domu złym" Smarzowskiego.

Ja wiem. Czułby gniew, którego by nie okazał z powodów taktycznych, a potem zrobiłby porządek z całą tą bandą. Po wielu ▶

© BARTOSZ MROZOWSKI (3)

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ filmach zarzucano Eastwoodowi skłonności faszystowskie. Szczególnie po „Brudnym Harrym" i „Sile magnum". Patrząc na „Grand Torino", on nadal zgłębia bardzo niebezpieczne rejony, szalenie pociągające dla ludzi rozczarowanych obecną demokracją i „lewackim" liberalizmem. Oczywiście autokratyzm nie jest fajną opcją. Ale postawmy w roli autokraty kogoś mądrego, sprawiedliwego i bezwzględnie po prostu dobrego i uczciwego. Czy wtedy nadal autokratyzm jest taki zły?

Długo przygotowywałem film według powieści „Stankiewicz" Eustachego Rylskiego i autor mi oświadczył niespodziewanie, że jest za absolutyzmem oświeconym. Wtedy myślałem, że zgłupiał, teraz pragnę go za ten pochopny osąd przeprosić. Jeśli połowa narodu od kilkunastu lat głosuje, jak głosuje, a ma do tego prawo, i nie wyciąga z tego żadnych wniosków, pogrążając państwo, gdy Hannibal *ante portas*, to może lepiej, żeby tego prawa nie miała? Kiedyś byłem za Voltaire'em – „Nie zgadzam się z panem, ale zginę, żeby pan mógł swoje poglądy głosić". Nadal za nim jestem. Problem jest, gdy na głoszeniu poglądów się nie kończy, tylko w dalszej kolejności następują działania destrukcyjne. Zacząć można niewinnie od gaszenia świec chanukowych. Odradza się na świecie prawica, a wszyscy dookoła boją się porównań z Rzeszą w 1933 r. Czemu, bo to za daleko idące porównanie? Nie! Nie jest za daleko idące. Na początku Adolf też się cieszył ogólną sympatią, a w najgorszym razie pobłażliwą akceptacją i za daleko idącą tolerancją (a przecież demokracja robi wyjątek i nie toleruje nietolerancyjnych). I co wyszło? Noc kryształowa, ustawy norymberskie, ostateczne rozwiązanie, irańskie nawoływanie do zagłady Izraela, hamasowskie rajdy lotniami na sąsiadów po drugiej stronie granicy.

Pan o geopolityce, a ja chciałem o filmie. Oglądając go, miałem nieodparte wrażenie, że bardzo panu zależy, by nawiązać dialog ze swoimi legendarnymi filmami: „Psami", „Pokłosiem", „Jackiem Strongiem". A nawet z „Przypadkiem" Kieślowskiego. Świadomie je pan cytuje, niektóre sceny wręcz parodiuje – ale nie po to, by się żegnać z reżyserią?

Istnieje szczególny rodzaj widza, zwany kinomanem, i szczególny rodzaj realizatora, też zwany kinomanem. Godard, Truffaut, Woody Allen – gdyby jeszcze wypadało go przywoływać jako przykład – bawią się z widzami w swoistą grę, ujmując rzecz nieco wulgarnie, w „puszczanie oka". Patrz, oto jesteśmy z jednego plemienia, rozumiemy się, mamy te same opowieści, tę samą wiarę w kino i te same totemy. W naszym przypadku ja i Bogusław Linda chcieliśmy też powiedzieć widzom, że wciąż jesteśmy razem. Cała ta więź – z jednego tylko powodu, bo kiedyś, 35 lat temu, udało nam się kilkoma obrazami, kilkoma słowami, kilkoma uczuciami przez chwilę dotknąć ich dusz (mówię to za Jamesem Jonesem w naiwnej wierze) i od tej pory ich nie opuściliśmy, tak jak oni nas nie opuścili. Choć szron na głowie, choć nie to zdrowie.

Zmierzam do tego, że nakręcił pan kolejny film o peerelowskim bagnie moralnym. O tym, jak zmieniał się nasz, Polaków, stosunek do patriotyzmu, romantyzmu, bohaterstwa, a przede wszystkim do roli Kościoła w naszym kraju – można tak powiedzieć, prawda?

Prawda. Nie wiem, czy to akurat ta prawda, co nas wyzwoli, ale prawda. Spędziłem w tamtym, już na szczęście minionym, kraju 30 lat życia. Nikt mi tego nie zwróci, tak jak Franzowi 25 lat odsiadki. Rozumiem tego gościa. Na tych bagnach, o których pan mówi, daleko, daleko tliło się jedno, jedyne światełko – Kościół rzymskokatolicki. Nigdy nie było mi z nim po drodze, ale poza



Kadry z „Zamachu na papieża": Zbigniew Zamachowski (Komendant)

tym światłem panowała ciemność, więc jak już trzeba było iść, to można było iść tylko w tym jedynym kierunku. No i dzięki Lechowi Wałęsie i innym, których nie wymieniam, aby nikogo nie pominąć, osuszyliśmy to bagno. Oni osuszyli, ja nie za bardzo. Zapalili mnóstwo świateł dookoła: wolną prasę, konstytucję, swobodę podróżowania po świecie, wolność przekonań i wyznań, kulturę liberalną, wolność seksualną i obyczajową, uczestnictwo w Europie. A jedyne niegdyś światełko sobie tam pozostało na tych moczarach w okopach Świętej Trójcy (dogmatu, nieomylności, wszechwiedzy), starzejąc się, blaknąc, rozpamiętując dawne czasy jedynej jasności na bagnie komuny i gorzkniejąc, knując, złorzecząc, puchnąc z zawiści i niemocy.

Dużą przyjemność w „Zamachu na papieża" sprawiło mi to, że nie potrafiłem rozróżnić, co w pana filmie stanowi fikcję fabularną, inspirowaną np. zamachem na prezydenta Johna F. Kennedy'ego, a co znajduje silne pokrycie w twardych, ustalonych np. przez historyków z IPN, faktach o roli polskiego i rosyjskiego wywiadu wojskowego w prowadzeniu Turka Mehmeta Ali Ağcy.

Cieszę się, że się udało, więc jest nas dwóch na razie, którzy tak uważają. Od 1963 r. Amerykanie zadają sobie pytanie, kto stoi za zamachem na JFK. I jest to pytanie żywotne. A u nas my wszyscy, którzy niby tak wielbimy Ojca Świętego, inicjatorów zamachu i ich motywacje mamy w nosie. Był co prawda jakiś jeden czy drugi reportaż telewizyjny, jednak na tym się skończyło ogólnonarodowe dochodzenie prawdy. Nie wiemy, co zaszło w rzeczywistości, i pewnie tak jak Amerykanie nigdy się tego nie dowiemy. Więc opowiadam historię, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna i pasuje do powszechnie znanych faktów. Nie mam, niestety, tej bezczelnej pewności jak Oliver Stone – i tego warsztatu – i nie idę w zaparte, że było wyłącznie tak, jak to pokazuję. Pozwoliłem sobie trochę pospekulować.

Szok budzi to, że ośmiela się pan podnieść w filmie rękę na największy autorytet większości Polaków, czyli na Jana Pawła II, który wiedział o wykorzystywaniu i molestowaniu seksualnym przez kler, lecz nic z tym nie zrobił. Pan chce o tym wszystkim przypomnieć i tak jak w „Pokłosiu" sprowokować?

Nikogo nie prowokuję. Tak jak w „Pokłosiu" robię to ze wstydu, nie ze złości.

eprasa.pl 8b5cbd649a



Adam Woronowicz (Klimas) i Roma Gąsiorowska (Klimasowa)

Kult Wojtyły jest wyrazem naiwności i niedojrzałości Polaków czy raczej formą samoobrony mającą podtrzymać nasze narodowe poczucie wyższości?

Jest on, papież Polak, tragiczną postacią, która niczego nie mogła za komuny, bo wtedy ręka podniesiona na Kościół byłaby działaniem ręka w rękę z bolszewikami. I niczego nie mogła po zamachu, bo zamach pogrążył go w słabości, demencji i starości. W 1959 r. także Fidel Castro był idealistą. 50 lat później nawet cygara mu nie pozostały z ideałów. Dziś nikt nie pamięta, ale cała Kuba poparła entuzjastycznie El Commendante. I cała Polska poparła papieża. Nadal go popiera, bo ci inni zawiadowcy Stolicy Apostolskiej to już nie byli nasi, a szczególnie ten bezczelny Niemiec, który miał czelność ustąpić przed zejściem. On w ogólnej świadomości Polaków nawet nigdy nie był papieżem. Wracając do pańskiego pytania, to raczej nie jest naiwność. To przeogromna, niedająca się okiełznać skłonność natury ludzkiej do wiary i nadziei, że skoro dookoła jest tyle gówna, w sumie prawie samo gówno, to gdzieś musi być coś czystego, dającego nadzieję, że może być lepiej, jaśniej, przepięknie. Jeszcze będzie przepięknie w wolności, w Kościele, w Irlandii, w Funduszu Odbudowy, w kinie. No, a potem się okazuje, że ciągle nie jest, i wtedy irracjonalna wiara przesłania nam prawdziwy obraz, bo wolimy ułudę od gorzkiej prawdy.

Po „Pokłosiu" oskarżano pana o „plucie na groby przodków". Jak dziś widzowie zobaczą scenę ze strzelaniem do portretu JP2, może być podobnie. I to również będzie świadczyło o słabości czy wręcz arogancji polskiej religijności?

Oskarżano mnie też, że jestem pół Żydem, pół pedałem, złodziejem i artystą. Przywykłem. Odpowiedź muzyczna: oto robimy przerwę w czytaniu i na Tidalu puszczamy sobie: „Polska, jestem z Polski" Kultu i Kazelota. Jest mnóstwo opracowań na temat polskiego odświętnego, pokazowego, obskuranckiego katolicyzmu. Posługuję się skrótami, tak jak Kazik Staszewski, bo one trafiają w punkt, i jeśli ktoś tę celność dostrzega, to nie potrzebuje rozpraw naukowych, choć oczywiście nie neguję ich zasadności w kontekście szerszej analizy. Na okoliczność wywiadu – powiedzmy, że znam około tysiąca osób. Z tego tysiąca osób 500 jest praktykujących i jedna jedyna Ewa B-K jest wierząca. Aha, no i kardynał Ryś. Czyli raczej słabo, ale ta niewielka prawdziwie wierząca część potrafi być albo arogancka, albo tolerancyjna jak wspomniany kardynał. Różnie.

Katolicyzm nie tyle prowadzi wiernych do moralności, ile dostarcza im alibi, żeby jej nie praktykować?

Sprzeciw. Sugerowanie odpowiedzi. Tak naprawdę etyka pojawia się dopiero na łożu śmierci w nadziei, że zaprowadzi nas do nieba. Na co dzień katolicyzm, judaizm, islam prowadzą do wojen, inkwizycji, terroryzmu, otępienia, nietolerancji i odpustów.

Co jest według pana większym grzechem – niewiara czy wiara, która pozwala odwracać wzrok od prawdy?

Nie są grzechami, tylko stanem świadomości. Grzech to według Kościoła obżarstwo i pycha, gniew i coś tam jeszcze... Same wygłupy. Napisaliśmy kiedyś z kolegą Christopherem Rurka serial „Siedem nowych grzechów głównych". Tytuły poszczególnych odcinków to były: „Rasizm", „Okrucieństwo", „Chamstwo", „Gwałt", „Wojna". To są grzechy, drodzy państwo, a nie że ktoś się cieszy seksem, jedzeniem, piciem. Wracając do meritum, jak śpiewa Neil Young, „Jak możesz odejść, kiedy wiesz?". Niewiedza jest tylko głupotą. Odwracanie wzroku to podłość, a w najlepszym przypadku słabość.

Z pana filmu wynika, że to odwracanie wzroku trwa nieprzerwanie od wielu dekad, a szanse, aby Kościół w Polsce stał się inicjatorem uczciwego rozliczenia z pedofilską przeszłością, wciąż są nikłe.

Musi się dokonać pokoleniowa zmiana w Kościele, o ile nowe pokolenie w ogóle zastąpi to obecne, co patrząc na liczbę powołań do stanu duchownego, nie jest takie oczywiste. Obecny episkopat, poza jednym czy drugim sprawiedliwym, nic z tym nie zrobi.

To odwracanie wzroku dotyczy również części rodaków mających problem z zaakceptowaniem tego, że „nasi chłopcy" to niekoniecznie anioły w polskich mundurach, tylko ludzie z krwi i kości o bardziej skomplikowanych życiorysach, jak Franz Maurer, pułkownik Kukliński czy właśnie Konstanty „Bruno" Brusicki, grany przez Bogusława Lindę w pana najnowszym filmie.

Taaa, powiem coś, a potem – jak na panią Barbarę Kurdej-Szatan – nastąpi atak z każdej ławki Sejmu od lewej do prawej, i jeszcze z galerii. Przyodzianie szaty liturgicznej albo munduru jeszcze z nikogo nie uczyniło i nie uczyni anioła. Nic nie wiemy o stanie polskiej armii i módlmy się do dowolnego ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ boga, żebyśmy nigdy się nie musieli przekonać. Amerykanie mogą dużo powiedzieć o swoich żołnierzach i mówią w takich filmach, jak „W dolinie Elah". Kiedy skończy się ta pier... wojna w Ukrainie, dużo do powiedzenia o swoich chłopcach i dziewczętach będą mieli zarówno Ukraińcy, jak i Rosjanie. Może ruscy nakręcą drugą część „Ładunku 200", powinni... My od czasu wprowadzenia stanu wojennego nic nie mamy do powiedzenia. Choć żałośnie brzmią te próby wybielania, że to ZOMO, a nie wojsko... Gdyby nie czołgi i osłona wojska, ZOMO dostałoby taki łomot od górników, że by nie było co zbierać. Chciałem nakręcić film „Atlantydzi" o Nangar Khel... Nikt się nie odważył podjąć produkcji.

Można odnieść wrażenie, że od czasu pierwszych „Psów" pan nieustannie gra z tym polskim mitem nieskazitelnego bohatera. Zastanawiam się, gdzie leży ta granica akceptowalności i czy gdyby nie miała twarzy Bogusława Lindy, to pana filmy spotkałyby się z tak pozytywnym odzewem?

Nigdy w życiu. Bogusław, firmując te opowieści swoją twarzą, ratuje nas przed wściekłym tłumem wieśniaków z grabiami i pochodniami. Wszyscy go lubią. Na potrzeby marketingowe filmu robiliśmy badania popularności i sympatii widzów do aktorów. Bogusław kręci wyniki w okolicach 90 proc. Następni koledzy albo koleżanki osiągają 15–20 proc. To jest przepaść. Warto się tylko zastanowić, czemu tak jest, skoro, jak pan mówi, gra tylko samych szubrawców. Może te postaci mają jedynie szubrawe życiorysy, a dusze czyste i piękne. Trudno było zresztą w PRL mieć fajny życiorys. Czy państwo uwierzą, czy nie, każdy kraj ma w służbie ludzi, którzy zabijają w partykularnym interesie rządu. Najczęściej są to mundurowi, choć nie mają specjalnych mundurów. Różne noszą: marynarki wojennej, służb kwatermistrzowskich, informacji, służb łączności. Nie wyróżniają się, dopóki nie dostaną rozkazu „Zabij".

Pana kino na ogół opowiada bardziej o przegranych niż o zwycięzcach, bo tylko w klęsce widać prawdziwe charaktery?

Nie tylko, ale bardziej. Trudniej jest wtedy człowiekowi i może się wykazać postawą. Z zachowaniem proporcji. Oglądam mnóstwo transmisji sportowych. Jest tam taki okropny zwyczaj, że po występie polskich sportowców ściąga się ich natychmiast przed kamery, prosząc o komentarz – a najczęściej to była sromotna klęska. I oni, uśmiechnięci od ucha do ucha, zawsze bardzo, ale to bardzo usatysfakcjonowani, opowiadają, że są zadowoleni z siódmego miejsca i że szykują się już na kolejne zawody z nadzieją, że tam będzie „jeszcze" lepiej. Co za żenada. Nigdy nie słyszałem nikogo, kto przyznałby się do porażki. Raz może Bednarka i raz Zielińskiego, ale gdy już było 0:5. Iga Świątek, trzeba jej oddać sprawiedliwość, potrafi się popłakać po klęsce. I podnieść po niej. To jest fascynujące. Moi bohaterowie w końcu jakoś tam wygrywają, płacąc za to najwyższą cenę. Nie zawsze jest nią własne życie. Czasami wyższą ceną jest życie innych.

Wierzy pan, że dla młodego pokolenia 20–30-latków Linda ma tak wielką charyzmę, że oni także bezwarunkowo polubią graną przez niego postać – twardziela zabójcę – mimo że atakuje najbardziej czczoną postać w polskiej historii najnowszej?

Pytanie, czy przez to pokolenie ta postać jest tak samo czczona. Nikt nigdy, mimo badań fokusowych, nie wie, jak film zostanie odebrany. Moim zdaniem „Reich", nie mówiąc o „Pokłosiu", zasługiwał na dużo lepsze przyjęcie, a spotkało film to, co spotkało, czyli nic. Liczę na to, że przyszła pora na przyjrzenie się na nowo pewnym utrwalonym wcześniej wartościom. Młodzi dostają je w spadku, ale niekoniecznie muszą przyjąć tę masę spadkową. Czasami im trudno uwierzyć, że Lech Wałęsa jest gigantem poprzedniego stulecia i wszystko mu zawdzięczają. W innych jeszcze trudniej uwierzyć.

Linda w „Zamachu na papieża" jest zimnym profesjonalistą trzymającym się swojego honorowego kodeksu, a jednocześnie człowiekiem wplątanym w historię większą od niego samego, co czyni z niego postać głęboko tragiczną.
Jak w gatunkowym kinie noir. Pan oczywiście bawi się tą konwencją bardzo świadomie, ale właściwie w jakim celu?

Dla umilenia widzowi czasu spędzonego w kinie. Mam do opowiedzenia historię, która musi zainteresować przez dwie godziny i trzy minuty. Te wszystkie cechy, które pan dobrze określił, przykuwają uwagę. Może z powodu tęsknoty za takimi niezłomnymi charakterami. Sam bym chciał być superbohaterem i może widzowie albo ich część przynajmniej – też. Natomiast żeby doprowadzić do nawrócenia albo wręcz zbawienia samej postaci, muszę ją najpierw przeprowadzić przez życie będące jedną wielką próbą niszczącą.

Poznał pan Lindę 35 lat temu. Czy już wtedy czuł pan powinowactwo dusz między wami i kiedy właściwie stało się dla pana jasne, że ta współpraca nie ograniczy się do jednego, dwóch filmów, tylko potrwa dłużej?

Po parach Allen–Farrow i Ford–Wayne, wraz z parą Scorsese–De Niro, zajmujemy *ex aequo* trzecie miejsce na świecie. Od razu się w nim zakochałem i nie przeszło mi do dziś. A miłość nie wątpi. Miłość wierzy do końca.

Jakie cechy aktorskie Bogusława Lindy sprawiły, że idealnie wpisał się w świat stworzony przez pana, co uczyniło go pańskim ulubionym aktorem?

Właśnie nie aktorskie. Podstawowa różnica jest taka, że Bogusław jest facetem, który czasami sześć tygodni w roku bywa aktorem. Inni aktorzy w przygnębiającej większości sześć tygodni w roku bywają facetami, ale ich pan w moich filmach nie zobaczy. Odpowiadając wprost, w jego grze jest prawda, nie widzę ani jednego fałszywego obrazu, nie słyszę ani jednej fałszywej nuty. On jest na ekranie jak wycięty z realności. Anthony Hopkins jest najlepiej grającym aktorem na świecie, ale „grającym". W tym kontekście Bogusław jest „będącym".

O czym świadczy uwielbienie polskiej widowni (szczególnie tej w kryzysie wieku średniego i starszej) dla tego aktora, którego to uczucia chyba nawet afera z reklamą alkoholu nie zgasi?

Cybulski, Olbrychski i Linda. Przed wojną Bodo, Dymsza i Żabczyński. Tylko tyle mieliśmy gwiazd filmowych. To nie jest łatwy status do osiągnięcia. Więc jak już mamy, to się ich trzymamy. Co robi mitologia gwiazd filmowych w życiu publiczności? Jak na to spróbuję odpowiedzieć, to już na pewno miejsca w tym numerze nie wystarczy. Bogusław jest gwiazdą, a kinomani potrzebują gwiazd. Nawet wrogowie go potrzebują, żeby hejtować w internecie. I tak będzie, dopóki ktoś go nie zastąpi. Peleton się zbliża, prowadzony przez Maćka Stuhra. Ale do mety mamy już niedaleko.

Film jest reklamowany jako ostatni wspólny występ Lindy i Pasikowskiego. Pan naprawdę w to wierzy?

Tak, ale jestem człowiekiem słabej wiary.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 8b5cbd649a

Od Polski za Polskę

Odszkodowania za działalność opozycyjną kosztowały państwo już setki milionów złotych. Im więcej czasu mija, tym skarżący wyżej wyceniają swoje krzywdy. Po pieniądze przychodzą nawet byli tajni współpracownicy.

JULIUSZ ĆWIELUCH



Warszawa, 1983 r., nielegalne obchody 3 maja, ZOMO rozbija manifestację

© JERZY KOŚNIK/FORUM

34 lata po upadku komunizmu Skarb Państwa wypłacił byłym opozycjonistom i ich rodzinom rekordowe 125 mln zł w ramach odszkodowań i zadośćuczynienia za krzywdy. Rok wcześniej 75 mln zł. Tylko w latach 2020–24 suma odszkodowań przekroczyła 385 mln zł. Ile zapłacono od lutego 1991 r., kiedy uchwalona została „ustawa o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego", nikt chyba nie policzył. – *Problem polega na tym, że pomimo 34 lat funkcjonowania ustawy lutowej ciągle nie ma jednego centralnego rejestru osób, które skorzystały z jej zapisów* – ubolewa prokurator Stanisław Wieśniakowski.

Ustawa wydawała się aktem ważnym i podniosłym, ale na swój sposób tymczasowym. Po serii wniosków do sądu miała wypalić się niejako w sposób naturalny. Tak się jednak nie stało. Pomimo upływu lat wypłacane kwoty nie maleją, a ostatnio wręcz geometrycznie rosną. Paradoksalnie rośnie również liczba spraw. – *Wydawało się, że z biegiem czasu będzie malała. Tak się jednak nie stało, bo w kolejce po odszkodowania ustawiły się teraz dzieci byłych działaczy, które również mają prawa, by ich dochodzić* – mówi sędzia Igor Tuleya z warszawskiego sądu okręgowego.

Będzie zapłacone

Bolesław Kurzępa jest autorem pierwszej książki o „ustawie lutowej", jak się mówi w środowisku. Lutowa, bo uchwalona została 23 lutego 1991 r. Ale prace nad nią trwały już od sierpnia 1989 r. Kwestia zadośćuczynienia tym opozycjonistom, których skrzywdził PRL, była w tamtym okresie żywo dyskutowana. Tyle że nie można było znaleźć kompromisu, czym to zadośćuczynienie miałoby być – satysfakcją moralną czy jednak finansowym konkretem. W drodze kompromisu uznano, że jednym i drugim. Stąd uchwalono procedurę dwustopniową, w której w pierwszej kolejności należało się zwrócić do sądu o uznanie nieważności wyroku z czasów PRL. Dopiero w drugim kroku można było ubiegać się o odszkodowanie od Skarbu Państwa. – *Wydawało się, że większość osób pójdzie do sądu po sprawiedliwość, a nie odszkodowania i zadośćuczynienia. Stało się jednak inaczej* – konstatuje po latach mec. Kurzępa.

Mec. Bolesław Kurzępa, który w latach 90. był prokuratorem w Prokuraturze Okręgowej w Rzeszowie, z urzędu angażowany był w sprawy zgłaszane z ustawy lutowej. – *Szczerze mówiąc, to nie pamiętam, żeby w latach 90. z jej zapisów próbowali korzystać jacyś znani i zasłużeni działacze, zwłaszcza jeśli chodziło o kwestie związane z drugim krokiem, czyli odszkodowaniami* – wspomina. Z tego, co podpowiada mu pamięć, to wiele wniosków składały osoby, które w ogóle nie łapały się na kryteria ustawy. – *W potocznym odbiorze ludziom wydawało się, że każdy, kto czuł się* ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ *zaangażowany w walkę o suwerenną Polskę, może przyjść do sądu i będzie miał zapłacone. A przecież warunkiem podstawowym był wyrok skazujący za działalność opozycyjną* – wspomina Kurzępa.

Zaintrygowany faktem, czy tylko na Podkarpaciu panuje takie niezrozumienie ustawy, zaczął szukać informacji, jak to wyglądało w innych sądach. – *Niestety mniej więcej wyglądało to tak samo. A czasem nawet gorzej. Zdarzało się, że zwracali się ludzie, którzy wyroki mieli za zwykłe rozboje czy napaści na władzę, niemające żadnego powiązania z walką opozycyjną* – dodaje. Spośród ponad 200 spraw, które przytacza w swojej książce Bolesław Kurzępa, są i takie, kiedy po odszkodowania przychodzili świadkowie Jehowy. Rzeczywiście represjonowano ich w PRL, ale trudno uznać, że ze względu na działalność niepodległościową. Byli i tacy, którzy domagali się odszkodowań za: słuchanie Radia Wolna Europa, powieszenie w domu mapy Polski z granicami II RP, szmugiel bielizny, w której – według wnioskującego – przenoszone były konspiracyjne listy. Zdarzało się i tak, że do sądu wpływały wnioski od osób, które z czasem okazywały się tajnymi współpracownikami Służby Bezpieczeństwa.

Palący problem „Ognia"

Kilka lat temu sędzia Tuleya napisał komentarz prawny do ustawy lutowej. – *To nie są sprawy łatwe zarówno pod względem prawnym, jak i moralnym. Działalność niektórych osób budzi wiele kontrowersji i skrajnych emocji* – tłumaczy autor komentarza. Z pewnością do grona spraw kontrowersyjnych zaliczyć można wniosek, jaki złożył do sądu Zbigniew Kuraś, syn Józefa Kurasia, ps. Ogień, który za działalność ojca domagał się 10 mln zł odszkodowania. – *Współczuję sędziom, bo będą musieli odpowiedzieć na pytanie, czy można być jednocześnie prześladowanym i prześladującym. Proszę pamiętać, że mówimy o człowieku, który w pewnym momencie był funkcjonariuszem komunistycznego aparatu bezpieczeństwa i zdaniem m.in. Marka Zapały przyczyniał się do zsyłek w głąb ZSRR podhalańskich akowców* – mówi prof. Rafał Wnuk, współautor monumentalnej historii polskiego podziemia antykomunistycznego „Niezłomni czy realiści?". W grę wchodziły też podejrzenia o zbrodnie przeciw ludności cywilnej, napaści na Słowaków i Żydów. To pewnie dlatego, pomimo kilku orzeczeń, ciągle nie ma w tej sprawie prawomocnego wyroku. Jednak w cieniu tej medialnej sprawy toczy się wiele innych. Mniej spektakularnych, ale nie mniej ważnych, bo w każdej z nich sądy próbują odpowiedzieć na pytanie, ile należy się za walkę o suwerenną Polskę. I za co tak naprawdę płacimy?

Jan S. w panteonie solidarnościowych sław to postać z drugiego, a może nawet trzeciego planu. Na pierwszym planie był w jednym z podwarszawskich miasteczek, gdzie po sierpniu 1980 r. zakładał Solidarność w zakładach stolarki budowlanej. Przetrwał w pamięci działaczy z tamtych lat. Ale już nie w pamięci nowych związkowych struktur. Po tragicznej śmierci w wyniku potrącenia w 1999 r. Solidarność nie ufundowała mu nawet wieńca.

W teczkach IPN też nie ma za wiele na jego temat. W jego wypadku jest raczej teczuszka. Kilka kart. Najważniejsza jest ta z internowania z lakoniczną sentencją „prowadził działalność sprzeczną z obowiązującymi przepisami prawa". Miejsce internowania – Zakład Karny Białołęka. S. poszedł siedzieć, kiedy wielu internowanych już wychodziło. Trzymając się dokumentów, zatrzymany został 6 listopada 1982 r. Do domu wrócił 11 grudnia. W sumie 36 dni. Żona w trakcie tegorocznego przesłuchania wspominała, że w czasie internowania miała widzenie z mężem. Do więzienia na Białołęce pojechała wraz z czteroletnim wówczas synem. „Mąż twierdził, że nie był bity. Nie narzekał na celę ani na jedzenie. Na nic się nie skarżył. Życiowo nie miał wielu potrzeb i oczekiwań" – zeznała po latach. Bezpośrednią przyczyną internowania było złożenie kwiatów pod pomnikiem ofiar walk z bolszewikami w czasie wojny 1920 r.

W suwerennej Polsce, o którą walczył, słabo się jednak odnajdywał. W 1990 r. rozpadło się małżeństwo państwa S. Według zeznań syna zaangażowanie polityczne ojca miało destrukcyjny wpływ na rodzinę i mogło się przyczynić do rozwodu. „Działalność mojego ojca negatywnie wpłynęła na moje życie i życie całej rodziny. Jego ciągła nieobecność w domu i ciągłe nasłuchiwanie czy wraca do domu, to dla nas był ciągły stres i poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Żadne pieniądze nie cofną czasu, jednak w ramach rekompensaty za krzywdę wnioskuję o odszkodowanie od Skarbu Państwa w kwocie 50 tys. zł. Za traumatyczne wspomnienia, które wciąż są żywe, za prześladowanie mojego ojca wnioskuję również o zadośćuczynienie w kwocie 20 tys. zł" – napisał we wniosku złożonym do sądu 48-letni syn. Ten sam, który jako czterolatek pojechał z matką na widzenie do internowanego ojca.

W trakcie przesłuchania syn opozycjonisty z trudem przywoływał daty i konkrety. W sumie trudno się dziwić. Większość z nas w ogóle nie pamięta pierwszych trzech lat życia. A pierwsze zapamiętane chwile są bardziej obrazami niż powiązanymi ze sobą ciągami zdarzeń. Z obrazów, które utkwiły w głowie syna S., jest przeszukanie mieszkania, podczas którego milicjanci grzebali również w jego zabawkach. Zapamiętał jeszcze ucieczkę ojca z domu, kiedy do drzwi zapukała milicja. – *To musiała być jesień, bo na drzewach już nie było liści. Ojciec uciekał, skacząc przez płoty. Dobrze go było widać, bo pomimo zimna biegł w samych majtkach. Pamiętam, że to były białe majtki* – wspomina syn byłego opozycjonisty.

Czy 70 tys. za odszkodowania to dużo czy mało? Prokurator Groszyk mówi, że ustosunkuje się do tego na sali sądowej. – *Mam taką refleksję, że gdyby sam S. czuł się pokrzywdzony, to miał prawie osiem lat na złożenie wniosku. Z tego, co sprawdziłem, nigdy tego nie zrobił* – mówi prokurator Wojciech Groszyk. Do sprawy przygotował się bardzo dobrze. – *Rodzina zeznawała, że za okres internowania nie została wypłacona pensja dla osadzonego. Zrobiłem intensywną kwerendę po archiwach i udało mi się znaleźć dowód, że pensja jednak została wypłacona, i to w kwocie porównywalnej do poprzednich miesięcy. To powinno mieć wpływ na ustalenie kwoty odszkodowania* – mówi prokurator Wojciech Groszyk.

Ile za ile

Wojciech Groszyk należy do tych prokuratorów, przez których ręce przechodzi sporo postępowań z ustawy lutowej. – *Czasem w jednostkowej sprawie roszczenie może sięgać nawet 20 mln zł. Już w 2007 r. wysokość wypłacanych kwot budziła tyle emocji, że parlament znowelizował ustawę lutową w ten sposób, że ustalono górne widełki wypłacanych kwot na maksymalnym poziomie 25 tys. zł. Ale zapis ten został zaskarżony do Trybunału Konstytucyjnego, który w 2011 r. nakazał jego usunięcie* – dodaje Groszyk. On sam nie polemizuje z kwotami. – *Czy 300 tys. zł odszkodowania za pobór do wojska, który był ukrytą formą internowania, to dużo czy mało? Ci, którzy w tym czasie również byli poborowymi, pewnie mogą poczuć ukłucie zazdrości, że za ich służbę żadne odszkodowanie im się nie należy. Z drugiej strony poborowy z kartą opozycyjną traktowany był podle i bez litości, o czym mówią w trakcie procesów osoby dochodzące odszkodowań* – dodaje prokurator Groszyk. Sprawa,

© MICHAŁ BUKOJEMSKI/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a



Ośrodek internowania w Uhercach, lata 80.

o której mówi, to pokłosie tajnej akcji Służby Bezpieczeństwa i Sztabu Generalnego. W październiku 1982 r. do wojska powołano działaczy Solidarności, żeby w ten sposób odseparować ich od kolegów i społeczeństwa. A przy okazji złamać. Przy 5. Pułku Artylerii w Chełmie stworzono specjalną kompanię dla „solidaruchów". A warunki służby były tam trudne.

Nie ma „Róży" bez kolców

Sprawa Janusza W. to właściwie materiał na niezły kryminał z jeszcze lepszym suspensem. Trudno się tylko zdecydować, kto powinien być głównym bohaterem – sam W. czy może jednak prokurator Stanisław Wieśniakowski, który go zdemaskował.

Trzymając się linii narracyjnej, na początku 2018 r. Janusz W. udał się do Słupska, gdzie w miejscowym sądzie zaczął szukać akt sprawy, w której został osądzony i skazany prawomocnym wyrokiem 16 grudnia 1971 r. Sprawa była z kategorii istotnych, bo W. sądzono za czynną napaść na milicjantów, co w latach 70. zeszłego wieku było poważnym przestępstwem. Co jednak nie uchroniło akt przed wysłaniem ich z czasem na przemiał.

W., mając już wiedzę i pewność, że dokumentów nie ma, zaczął tworzyć własną wersję zdarzeń. Zdaje się, że przekonującą, skoro udało mu się doprowadzić do uznania go za ofiarę systemu represji PRL. Trzeba od razu powiedzieć, że w pierwszym podejściu wymiar sprawiedliwości się nie popisał. Za to W. wykazał się dużym talentem narracyjnym. Niczym bohater sienkiewiczowski malował się na tle realnych wydarzeń i konkretnych faktów historycznych. Według własnej wersji był jednym z uczestników tzw. zajść słupskich, czyli zamieszek, do jakich doszło w tym mieście 16, a następnie 17 grudnia 1970 r., które nomen omen zaczęły się właśnie pod pomnikiem Henryka Sienkiewicza. 16 grudnia 1970 r. ok. godz. 19 pod pomnikiem pojawili się pierwsi demonstranci. Pół godziny później były tam też oddziały ZOMO, które ochoczo wzięły się do pracy. Ale wściekłości ludzi nie spacyfikowali. Dzień później protestująca młodzież próbowała podpalić siedzibę partii. Tym razem ZOMO lepiej przyłożyło się do katowania protestujących.

W., który pracował wtedy w Słupsku jako taksówkarz, mógł być świadkiem części tych scen. Tyle że w 2018 r. twierdził, że był ich aktywnym uczestnikiem. I za to osiem miesięcy później został zatrzymany przez milicjantów, podczas próby zatrzymania jednego z nich uderzył ręką w twarz, drugiego przewrócił, a wszystkich znieważał słownie. Wyrok, jak na postawione zarzuty, był łagodny – rok pozbawienia wolności, w zawieszeniu na dwa lata. Na poczet kary zaliczono również okres aresztowania. Co powinno dać do myślenia prokuratorowi z IPN, który po latach zajmował się sprawą. Ale nie dało.

Mało tego, prokurator przeoczył fakt, że Janusz W. w latach 1969–71 był tajnym współpracownikiem Milicji Obywatelskiej o pseudonimie Róża. Tę część historii znamy właśnie dzięki prokuratorowi Wieśniakowskiemu. – *Z ciekawości wpisałem nazwisko W. w powszechnie dostępną wyszukiwarkę IPN, czyli Inwentarz Archiwalny, i nic na jego temat się nie pojawiło, było to co najmniej zaskakujące, biorąc pod uwagę jego opowieści. Czytając akta sprawy, miałem wiele innych wątpliwości* – tłumaczy prokurator Wieśniakowski.

Kto go bliżej zna, wie, że ma słabość do motoryzacji. – *Pan W. podawał na przykład, że w czasie aresztowania jeździł Fiatem Mirafiori, a to auto weszło do sprzedaży w 1974 r., czyli trzy lata później* – dodaje prokurator. W. nie czuł jednak zagrożenia, bo pewien był, że po zmieleniu akt to on jest głównym źródłem informacji w swojej sprawie. Tyle że prokurator Wieśniakowski zwrócił się o akta, które w swoich archiwach mieli więziennicy. A tam, jak się okazało, niewiele się miele. – *Dostałem gotowy komplet akt, z których czarno na białym wychodziło, że do ataku na milicjantów doszło pod wpływem alkoholu. A W. w areszcie miał wiele przywilejów z racji swojej współpracy z milicją* – dodaje prokurator. Wyroku, który kasował peerelowski werdykt, nie dało się już cofnąć.

Prokurator Wieśniakowski próbował powstrzymać W. przed próbą sięgnięcia po odszkodowanie i zadośćuczynienie. Tym bardziej że W. sowicie wycenił swoje domniemane krzywdy i straty. Od Skarbu Państwa domagał się 300 tys. zł wraz z odsetkami tytułem zadośćuczynienia i kolejnych 569 tys. zł wraz z odsetkami tytułem odszkodowania. W sięganiu po pieniądze za kombatanctwo miał już przetartą ścieżkę, bo w międzyczasie uzyskał ponad 84 tys. zł zapomóg od Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Sprawa W. skończyła się sążnistym aktem oskarżenia. Tyle że W. nie był pierwszym i pewnie nie był również ostatnim TW, który próbował wyłudzić odszkodowanie, korzystając z ustawy lutowej. – *Po odszkodowanie zgłosiły się dzieci internowanego Ryszarda K. Ich ojciec rzeczywiście był internowany, ale w celu odbycia przeszkolenia jako TW Franek 2* – dodaje prokurator Wieśniakowski. Paliwa do ognia roszczeń od kilku lat dolewają również kancelarie prawne, które wyspecjalizowały się w tego typu postępowaniach. A które w większości pracują na procent. Czasem sięgający nawet 40 proc. zasądzonej kwoty. To stąd tak wysokie roszczenia, które spływają do sądów. Przy takiej stawce dla kancelarii musi coś jeszcze zostać dla klientów. W sumie walczyli za Polskę, to mogą teraz dużo od niej oczekiwać.

JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 8b5cbd649a

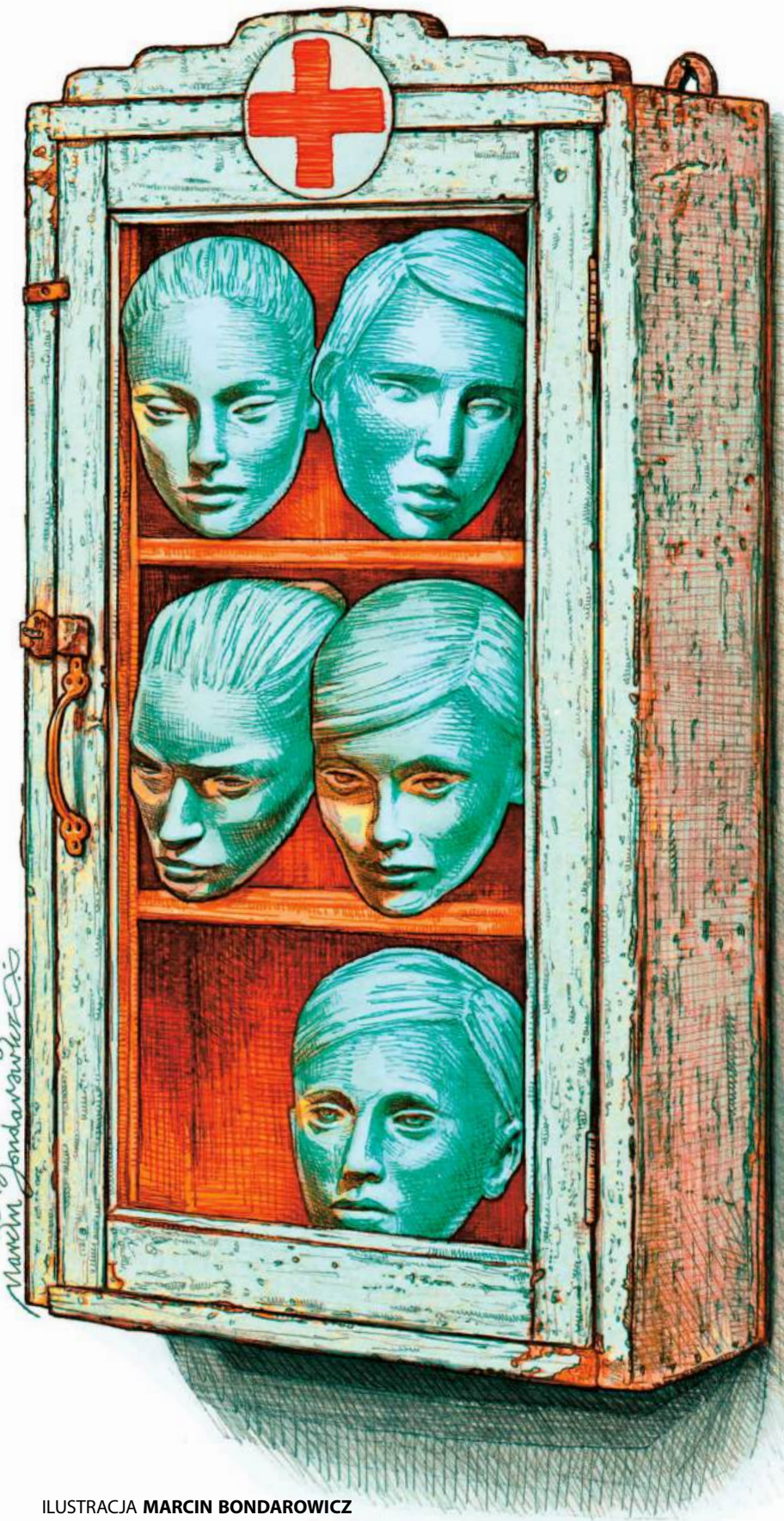

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Szklane ciała

Dla hipochondryków największą chorobą jest strach przed chorobą. Dziś główną postacią tej przypadłości jest cyberchondria.

PAWEŁ WALEWSKI

„Coś mnie kłuje w boku, to na pewno rak!” – rzuca koleżanka przy kawie, dramatycznie łapiąc się za brzuch, jakby właśnie odkryła, że jej dni są policzone. Śmiejemy się, bo przecież każdy z nas zna takiego wiecznego marudę, który z kaszlu robi gruźlicę, a z bólu głowy glejaka. W potocznym języku hipochondryk to ta irytująca ciocia, która przy niedzielnym rosole opowiada, że ma na pewno raka trzustki, bo od rana pobolewa ją lewy bok. To kolega z pracy, co znika z Teamsów, bo „czuje zawał”. To wreszcie my sami – kiedy dr Google prowadzi nas od niewinnego bólu głowy do raka mózgu w trzech kliknięciach.

Kruche istoty

W epoce, gdy powodów do zmartwień zdrowotnych jest w nadmiarze, a domowych testów na wszystko nie brakuje, hipochondryk to figura bardzo współczesna. Pestycydy, gluten, szczepionki, 5G, rakotwórcze teflony, cząstki PFAS w wodzie i *long covid*, który ponoć dopadnie nas wszystkich – kto przy zdrowych zmysłach nie zacząłby się bać? Problem w tym, że hipochondryk przy zdrowych zmysłach bywa rzadko.

– *Często mówimy sobie żartobliwie: O, jesteś hipochondrykiem! I to czasem nie jest aż tak bardzo odległe od prawdy* – zauważa dr hab. Sławomir Murawiec, który prowadzi w Warszawie prywatną praktykę psychiatryczną i jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Psychiatria

eprasa.pl 8b5cbd649a

Spersonalizowana". – *Bo jeśli ktoś dopatruje się poważnej choroby w każdym objawie, który tego nie uzasadnia, to faktycznie może chodzić o hipochondrię. Ale to nie znaczy, że możemy przestać sprawdzać – czasem jednak coś naprawdę się za tym kryje.*

Caroline Crampton, brytyjska dziennikarka, wie o tym aż za dobrze. Kiedy miała 17 lat, wykryto u niej chłoniaka Hodgkina. Przeszła chemioterapię, radioterapię, przeszczep komórek macierzystych, a nawet pobranie komórek jajowych, by nie stracić szans na macierzyństwo. Wygrała z rakiem. Ale jak sama przyznaje, od tego czasu widzi guzy wszędzie. W wydanej właśnie w Polsce książce „Ciało ze szkła. Historia hipochondrii" opisuje, jak zderzenie z prawdziwą chorobą na zawsze uwięziło ją w krainie lęku. „Jestem hipochondryczką. A przynajmniej martwię się, że nią jestem – co sprowadza się do tego samego" – wyznała.

Tytuł książki pochodzi z fascynującego średniowiecznego złudzenia: wiary, że ciało jest dosłownie ze szkła. Król Francji Karol VI był przekonany, że pęknie przy najmniejszym dotyku; inny delikwent spał w sianie, żeby nie stłuc się we śnie. Crampton widzi w tym idealną metaforę jej obecnego niepokoju: z jednej strony kruchość, z drugiej – obsesyjną przejrzystość, pragnienie ciągłego zaglądania do wnętrza swojego „mięsnego naczynia". Każdy hipochondryk skanuje je aż za dobrze, analizuje każdy szczegół, każdą kroplę potu i każde ukłucie.

Dr Murawiec podkreśla, że to w gruncie rzeczy zaburzenie lękowe. – *W angielskiej nomenklaturze nazywane jest illness anxiety disorder – lęk przed chorobą. Osoba odczuwa błahe dolegliwości, słyszy jakąś informację, coś skojarzy – i już jest przekonana, że ma zawał albo raka. Nie da się tego zbyć prostym „nic pani nie jest", bo to uspokaja na kilka godzin, najwyżej dni. Potem lęk wraca.*

Problem często zaczyna się od konkretnego wydarzenia, które wywraca świat do góry nogami. – *To osoby, które kiedyś zetknęły się z sytuacją zagrożenia życia, u siebie lub bliskich, i ziarno lęku kiełkuje w nich latami* – tłumaczy. Dla 52-letniej Anny z Warszawy wszystko zaczęło się od pierwszej ciąży. – *Była zagrożona, a lekarz, zamiast mnie uspokoić, rzucił: pani jest młoda, jak ta ciąża się nie uda, będą inne* – wspomina 23 lata później. – *To zdanie dźwięczy mi w uszach do dziś. Zostałam sama ze strachem.*

Dziecko urodziło się zdrowe, ale ginekolog niefrasobliwie rozniecił iskrę trwogi. Potem przyszła depresja poporodowa, nienazwana i nieleczona – wtedy nikt o tym nie mówił, to był po prostu *baby blues*. Kiedy jej trzyletni syn dostał kataru, Anna w wyobraźni widziała już zapalenie mózgu. – *Mój tata śmiał się, że ja zawsze brałam wszystko z górnej półki* – wyznaje. Z czasem lęki przerzuciła na siebie. – *Jak każda młoda matka byłam zmęczona, niewyspana, wypadały mi włosy, więc uznałam, że mam raka. Zaczęłam wyszukiwać badania, wymuszać kolejne testy. Na cystoskopię pęcherza położyłam się w szpitalu z powodu banalnej infekcji dróg moczowych – oczywiście nic nie wykazała, ale musiałam to zrobić.*

Wydatki na wizyty u lekarzy i badania, których nie refunduje NFZ, poszybowały kilkakrotnie, do ponad tysiąca złotych miesięcznie. Wyszukiwała coraz bardziej specjalistyczne metody i testy, i była tak przekonująca, że lekarze je posłusznie zlecali. Na forach internetowych znalazła wspólnotę podobnych sobie. – *To było jak ciasteczko, którego każdy kęs smakuje coraz lepiej. Wypisywaliśmy między sobą swoje objawy, wymienialiśmy nazwiska specjalistów, nakręcaliśmy się wzajemnie. Z czasem poczułam się jak kierowca rajdowy, który rozpędził bolid do 240 km/h, ale nie umiałam wyhamować i czułam, że na kolejnym wirażu się rozbiję.*

Problem polega na tym, że hipochondria rzeczywiście zabiera życie. – *To zaburzenie, które może rujnować ludzi – finansowo, rodzinnie, zawodowo* – ostrzega dr Murawiec. – *Mam pacjentów, którzy praktycznie nie wychodzą z gabinetów lekarskich. Albo wydają fortuny na badania, które uspokajają ich na kilka godzin.*

To udręka nie tylko dla nich samych, ale też problem dla systemu ochrony zdrowia. W poczekalniach przychodni i szpitalnych oddziałach ratunkowych przesiaduje bowiem wiele osób, które oceniają dostrzeżone u siebie objawy dużo bardziej dramatycznie, niż jest to w rzeczywistości. Wielu z nich, odprawionych z kwitkiem, uważa, że ich skargi zostały zlekceważone.

Lęki z internetu

Hipochondria to nie wynalazek XXI w. George Cheyne, szkocki lekarz, już w 1733 r. pisał, że to „choroba cywilizacji" – konsekwencja „ekscesów imperialnego i konsumpcyjnego społeczeństwa, które porzuciło prostotę wcześniejszej ludzkiej egzystencji na rzecz pobłażliwej diety i nieaktywnego stylu życia". A mogłoby się wydawać, że sprzyjające warunki do jej rozkwitu nastąpiły dopiero w naszych czasach, promujących zdrowy tryb życia, z otwartym dostępem do leksykonów medycyny (które kiedyś zarezerwowane były wyłącznie dla wąskiego grona cechu cyrulików). Z drugiej strony współczesna medycyna zamiast leczyć choroby, tworzy nowe – od cellulitisu i naturalnego łysienia po stan przedcukrzycowy czy zespół niespokojnych nóg. Skoro są na te wszystkie przypadłości jakieś leki, głupotą byłoby z nich nie korzystać, a wiadomo nie od dziś, że hipochondryk to ukochany klient przemysłu farmaceutycznego.

Od czasów Moliera, który w „Chorym z urojenia" drwił z hipochondryków, po Marcela Prousta, uważanego za wariata, bo unikał kaszlu jak zarazy, hipochondria ewoluowała wraz z kulturą. Dlatego nadal można ją śmiało nazywać chorobą cywilizacyjną, ponieważ – jak zauważa w swojej książce Crampton – im lepiej rozumiemy sposoby, w jakie nasze ciała mogą zawieść, tym bardziej możemy się tego bać. Kiedyś hipochondria dotyczyła elit, dziś – całej klasy średniej z dostępem do internetu. Psychiatrzy nazywają to cyberchondrią: googlowanie objawów, scrollowanie forów pacjenckich, szukanie ratunku, który zawsze okazuje się zagrożeniem.

Między troską a obsesją

Nawet wynajdowane w sieci informacje o zdrowym stylu życia czy zachęty do profilaktyki, które dla jednych są motywacją, dla hipochondryka stają się pułapką. – *Większość naturalnie i wprost skomentuje post pani Lewandowskiej „Zacznę tak jeść, aby być zdrowym", a osoba z hipochondrią zinterpretuje po swojemu: „Nie jadłem tak jak ona, w związku z tym na pewno zachoruję"* – przestrzega dr Murawiec. Granica między zwykłą troską o zdrowie a zaburzeniem jest cienka. – *Jeśli ktoś powie: chyba mam problem, muszę się zbadać – to normalne. Ale jeśli ktoś powie: na pewno to jest zawał i umrę – to już hipochondria* – tłumaczy psychiatra. Hipochondryk nie szuka potwierdzenia, on już wie.

Kiedy pani Anna zaczęła mieć przejściowe kłopoty z wypadaniem włosów, a do tego zaczęły ją męczyć nocne poty od razu rozpoznała – co to może być innego jak nie rak? Okazało się, że to tarczyca, ale dla niej autodiagnoza była zawsze ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a



Ilustracja Honoré Daumiera do „Chorego z urojenia" Moliera

▶ pewna i zawsze najgorsza. A minimalne odchylenie od normy stanowiło paliwo, by drążyć temat jeszcze mocniej.

Kluczowe okazało się też wychowanie. – *Mama była nadopiekuńcza, przewrażliwiona* – wspomina Anna. To dowód na to, że nic się nie dzieje bez przyczyny, a hipochondria nie rodzi się z dnia na dzień. U niej ten wzorzec, połączony z traumą ciąży i depresją, stworzył idealną podstawę do tego, by uwięzić ją w spirali niepokoju i resztę życia poświęcić na ciągłe obmacywanie węzłów chłonnych i wyszukiwanie objawów.

Gdzie kończy się naturalna troska o zdrowie, a zaczyna zaburzenie? U naszej rozmówczyni potrafiła to wychwycić laryngolog, która stanęła przed zadaniem wykrycia w błędniku przyczyny jej zawrotów głowy (wcześniej badało ją pod tym kątem kilku neurologów, więc Anna nabrała już przekonania, że ma stwardnienie rozsiane). – *Ta laryngolog pierwsza zasugerowała mi, że może coś u mnie z psychiką nie w porządku? Myślała, że się wystraszę – a ja się ucieszyłam, bo chciałam się lepiej czuć, więc niech mnie teraz zbada psychiatra!*

Dzięki temu od 2009 r. jest w trakcie leczenia, które pomogło ograniczyć lęk. Gdyby nie to, nie wyobraża sobie, jak przeżyłaby lockdown i pandemię w 2020 r. – *Dzięki psychoterapii miałam narzędzia: nauczyłam się ćwiczeń oddechowych, zbaczania myśli na inny tor. Mówiłam sobie: nic się nie stało, to tylko gorszy dzień* – opowiada. Swoją drogą pandemiczne doświadczenia dla hipochondryków niekoniecznie musiały oznaczać koniec świata. Dr Murawiec wspomina pacjenta, który powiedział mu wtedy: „Panie doktorze, jaka pandemia? Ja mam to na co dzień".

Co boli naprawdę

Leczenie hipochondrii/cyberchondrii to walka z wiatrakami – trudna, bo pacjent boi się nie tylko choroby, ale i samego leczenia. Zazwyczaj nie przychodzi po pomoc, by przyznać się do własnych obsesyjnych obaw. Trzeba mu dopiero pokazać i ostrożnie go przekonać, że jego strach przed chorobą działa poza jego świadomością. Wymaga to sporo cierpliwości i empatii. Dr Murawiec przyznaje: – *Powiedzenie pacjentowi, że nic mu nie jest, nic nie daje. Uspokaja na chwilę.*

Farmakoterapia, choć skuteczna, napotyka opór. Pacjenci biorą jedną tabletkę, czują się senni i myślą: „Stracę kontrolę, zwariuję, trafię do szpitala". Anna potwierdza: – *Leki pomogły, ale dopiero po czasie. Na początku bałam się, że mi zaszkodzą.*

Najskuteczniejsze bywa ich połączenie z psychoterapią poznawczo-behawioralną, która pomaga hipochondrykom ocenić siebie i objawy oraz zmienić opaczne wyobrażenia o swojej wyimaginowanej chorobie. – *Chodzi o rozłączenie skojarzenia między sygnałami z ciała a ich katastroficzną interpretacją* – mówi Sławomir Murawiec.

Problem w tym, że pacjent musi najpierw uwierzyć, że potrzebuje psychiatry, a nie onkologa czy kardiologa. No i niełatwo trafić na psychoterapeutę, który będzie wiedział, jak zająć się właściwie takim klientem, i od początku poświęci uwagę centralnemu problemowi, a nie – zgodnie z wyuczoną sztuką, przyporządkowaną określonemu nurtowi psychoterapii – zacznie rozkładać na czynniki pierwsze całe jego życie. Ale o tym, że warto skorzystać z fachowej pomocy, przekonują szwedzkie badania opublikowane w „JAMA Psychiatry" w 2023 r., w których udowodniono, że osoby z nieleczoną hipochondrią żyją średnio o pięć lat krócej niż populacja ogólna. Nie dlatego, że coś im dolega, ale dlatego, że chroniczny lęk, stres i samobójstwa zbierają swoje żniwo. To niepokojące odkrycie, które sprawia, że zaburzenie brzmi jak samospełniająca się przepowiednia – jak ujął to jeden z zaniepokojonych pacjentów: „Teraz nie wystarczy tylko mieć zmartwienia – odtąd muszę też martwić się o swoje zmartwienia, aby nie umrzeć z powodu wylewu lub zawału".

Inne obserwacje naukowców już dawno temu potwierdziły fenomen, że hipochondrycy odczuwają bardziej intensywnie niż inni typowe dolegliwości, występujące od czasu do czasu u każdego człowieka. I wielu z nich pozostanie przy swoich przekonaniach, mimo wysiłków innych, by je wykorzenić. Jednak historia Anny pokazuje, że wyjście jest możliwe. – *Wsparcie rodziny, samodyscyplina i psychoterapia uratowały mnie i dały mi kontrolę* – mówi. A Caroline Crampton podpowiada, że bliscy takich osób powinni stawać się ich sprzymierzeńcami w niepewności, a nie antagonistami. Obie strony próbują upewnić się, co naprawdę się dzieje, lecz muszą zmierzyć się z niepokojącą prawdą: wciąż tak wiele w naszych ciałach pozostaje tajemnicą.

PAWEŁ WALEWSKI

© ARCHIV GERSTENBERG/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

eprasa.pl 8b5cbd649a

Narzędzia do rzucania

Co to znaczy, gdy twój krasz jest tubylcem socjali, ale nagle zaczyna cię ghostować na wszystkich apkach naraz? To znaczy, że cię banuje, ignoruje. Dawniej mówiono na to: koniec związku uczuciowego.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Takie rzeczy doskonale wiedzą wszystkie zetki i starsze alfy. Przeważnie wiedzą o tym także igreki, choć są skłonne obracać sprawę w żart, bo jest im zwyczajnie, po ludzku przykro być ghostowanymi. Iksy są skłonne banować (od *ban*, zakazywać) krasza (od *crush*, obiekt westchnień) grubym firewallem, tylko jak się zdenerwują, jednak odczuwają z tego powodu niesmak. Natomiast boomersi nie rozumieją – wśród nich ghostować się nie godzi. Boomer wciąż uważa, że uczciwiej jest ładnie się ubrać, przynieść cięte kwiaty i dać się nazwać gnojkiem offline.

Powyższe opisy dotyczą człowieka współczesności, a konkretnie delikatnej sfery jego życia, zwanej kiedyś miłością.

Zetka Maria

Maria skończyła 17 lat, czyli przynależy do pokolenia Z. Nieznani bliżej ludzie, którzy zajmują się wymyślaniem nazw pokoleniom i przypisywaniem im cech, ustalili, że w 2025 r. zetki mają od 15 do 30 lat. Uchodzą za cyfrowych tubylców – internet jest ich środowiskiem naturalnym, ponieważ z nim dorastali. Mogą nie wiedzieć, jak sobie radzić z emocjami offline, ale online rządzą.

Maria, uczennica trzeciej klasy liceum, zanim dobiła do piętnastki, zdążyła być w kilkunastu związkach z chłopakami. Teraz już się z tego śmieje, ale wtedy była pewna, że związek uczuciowy to dwie osoby piszące do siebie krótkie wiadomości tekstowe w komunikatorach SoMe (social media, socjale). Dochodziło do scen mrożących krew: krasz, częsty i błyskotliwy korespondent onlinowy, ignorował Marię na korytarzach podstawówki. Nie to, że nie patrzył w oczy – on nie patrzył nawet w jej stronę. Kolejni krasze też milczeli do Marii w miejscach publicznych, natomiast w SoMe ożywiali się aż do słowotoków. Z czasem zetka zrozumiała, że tak właśnie wygląda bycie z kimś blisko.

Zrywała długie – dwutygodniowe i miesięczne – związki z chłopakami, których nigdy nie widziała. Zawsze wiązało się to z dramą rozstania dla którejś ze stron. Zwłaszcza nie radzili sobie chłopcy. Jeden straszył samobójstwem. Inny, który bardzo chciał uchodzić za rapera, disował (od *disrespect*) Marię na swoich socjalach niezdarnymi rymami. Dis bywa fajny, kiedy disuje cię ktoś zdolny – może nawet zwiększyć sieciową popularność disowanego jako osoby ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ interesującej, bo godnej dobrego disu. Ale w tym przypadku to był chamski hejt, w którym nigdy niewidziany nielat sugerował Marii źle prowadzone życie płciowe. – *Nie ma przestoju w internecie* – mówi dziś Maria. Wtedy zajęło jakieś pięć minut, by zdobyć przez sieciowe apki SoMe numer telefonu matki chama. Matka Marii, pokoleniowa igreczka, zadzwoniła do tamtej i jej nawtykała za synka w żywym stylu słownym, jaki dawniej przyjęty był na bazarach i targach końskich. Jednocześnie jako osoba nowoczesna zagroziła rozpętaniem w necie kampanii w stylu #MeToo, jeśli córka nie zostanie przeproszona. Diser/hejter przeprosił online, jak również offline. Po raz pierwszy dał się słyszeć jego głos i był to – śmieje się Maria – żenujący mutacyjny dyszkant.

Ale czas leciał, onlinowe związki rodziły się i umierały, aż przyszła kolej na Marię – to ją rzucił krasz. Było paraliżująco – rano Maria sięga jak zwykle po komórkę, by życzyć kraszowi miłego dnia, a jego nie ma. Wyparował z netu – z ich ulubionego TikToka, ale także z pomocniczej Insty (Instagram), a nawet z poważnego FB. A przecież pięli się po szczeblach apek, za ich pomocą wpuszczali się głębiej w swoje życia cyfrowe – poznali się na Yubo (francuska platforma znajomościowa z ideologią, że chodzi o coś głębszego niż flirt i seks), przeszli wspólnie na swoje TikToki, Insty, FB. Słowem – wszystkie etapy internetowego romansu były już za nimi, wiedzieli wszystko o swoich apkach. Aż tu nagle zniknął. Maria przekopała stos danych cyfrowych, szukała go kilka dni – dosłownie zero człowieka. Wydawało jej się, że maczują ze sobą (od *match*), a on ją zghostował (od *ghost*) jak pierwszą lepszą. – *To naprawdę straszne uczucie* – mówi dziś Maria. – *W pierwszej chwili wydaje ci się, że zostałaś oszukana, że ten ktoś nigdy nie istniał, że go sobie wymyśliłaś. Potem do ciebie dochodzi, że to koniec. Ale nie ma nawet kogo zapytać dlaczego.*

Od kilku miesięcy Maria jest w związku z chłopakiem, z którym poznali się przez Insta. Spotykają się, układa im się. Znają w swoim otoczeniu wiele par, które połączył internet. Poznać kogoś w sieci jest zupełnie naturalne dla zetek. Trzeba tylko uważać – jak mówi Maria – żeby nie trafić na zboczeńca, który siedzi gdzieś nad kompem w „żonobijce" (koszulka na ramiączka) uwalanej sosem i podaje się za pierwszoligowego piłkarza. Marii żal alf (pokolenie urodzone ok. 2010 r.), które właśnie wchodzą do sieci – tyle się muszą jeszcze nauczyć o życiu.

Igreczka Paula

Paula, pracownica promocji w dużej sieci handlowej, świeżo przekroczyła czterdziestkę, co sytuuje ją w pokoleniu Y, znanym także jako milenialsi. Cezurowo igreki sięgają od 1980 r. do połowy lat 90. Ludzie, którzy wymyślają nazwy i cechy pokoleń, opisali ich jako biegłych technologicznie świadomych konsumentów, którym na sercu leży własny dobrostan i ekologia. Igreki dorastały wraz z siecią i przeważnie znają jej język, a jeśli nie, to podpytują swoje dzieci – zetki. Paula sama o sobie mówi, że plasuje się na krawędzi między współczesnością a tradycją. Co w sferze uczuciowej oznacza, że ogłasza na portalach cyfrowych swoją gotowość do stworzenia związku analogowego, z domkiem w zieleni i dużym psem w tle.

Tu zaczyna się kłopot, bo na portalach randkowych nie ma godnych samców. Paula używa słowa „samiec" nie pejoratywnie, tylko sympatycznie-prześmiewczo; bliska jest jej również autoironia. Ma porobione screeny wszystkich maczów, które zasugerowały jej algorytmy internetowych dostawców usług swatowskich. Wszystkie uważa za nieudane. O: gruby Jan, nie ma nawet o czym mówić. O: rudy Sean, dość przystojny, Irlandczyk podobno, ale akcent miał raczej niemiecki, przyjechał się spotkać z Paulą, strasznie klął i dużo pił – zghostowała go zaraz po kolacji. O: Marek spod Płocka, podawał się za rolnika z w pełni zmechanizowanym gospodarstwem przynoszącym dochód, jednak nie potrafił dobrać marynarki do restauracji, w której się umówili – była granatowa, ale stębnowana wzdłuż krawędzi czerwoną nicią. Nim Paula go zghostowała, szczerze i z uśmiechem powiedziała mu, że nic z tego nie będzie. Rozpłakał się i upił. A pewien Piękny Roman roześmiał się na czacie lol (*laugh out loud*), kiedy go spytała, co ostatnio czytał.

Paula jest obiektywnie ładna i zarabia ładne pieniądze. Mówi, że jest zadowolona z życia, jednak z wiekiem chciałoby się czegoś stabilniejszego uczuciowo. Dziecko już raczej nie, ale ciepły partner na długie zimowe wieczory być może tak (śmiech). W mieszkaniu Pauli otwarty laptop stoi na szklanym stole w salonie, obok lampka po winie z wczorajszego wieczoru. – *Można śmiało powiedzieć, że jestem weteranką portali randkowych* – śmieje się igreczka. – *Zaczynałam z 10 lat temu, dla zabawy. Prócz tego były drobne flirciki na FB, Inście i TikToku, ale to jak każdy, prawda?*

Dziś stawia na asertywność. Przeszła przez ciemniejsze meandry relacji sieciowych, takie jak ONS (*One Night Stand*) czy FWB (*Friends With Benefits*), czyli próby bliskości bez miłości, jakim poddają się nawzajem współcześni ludzie-towary. „Ludzie-towary" to określenie Pauli. To takie osoby, na które wystarczy spojrzeć doświadczonym okiem tinderowca (apka randkowa Tinder), żeby wiedzieć, że wystawiają się na sprzedaż. Makijaż, filtr foto, rozmiar bicepsa i penisa – te rzeczy jako podstawowe info na swój temat.

Teraz uwaga! Ta historia nie przydarzyła się Pauli, a jej koleżance: umówiła się z facetem na ONS. Przyszedł. Zadbany, pachnący, w sam raz. Było w porządku, jeśli wiecie, jakie są granice zakontraktowanego cyfrowo ONS, ale rano facet zachował się jak buc. Wystarczyło, że wychodząc przekroczył próg, i już koleżanka była przez niego zghostowana. Jakby nic między nimi nie było! Po prostu ją skasował ze swego życia sieciowego. Koleżanka troszkę się zdenerwowała na takie traktowanie i nawet już – całkiem analogowo – szła zgłosić molestowanie seksualne na policję, ale zrezygnowała. Pozbierała się i obecnie kłusuje po necie bez zbędnych sentymentów dla facetów. Nawet ustawiła sobie popularną grafikę jako zdjęcie portretowe na jednym ze swoich socjali: piktogram przedstawia kobietę i mężczyznę jak na drzwiach ubikacji, z tym że głowa mężczyzny znajduje się pod stopą kobiety. Czyli FAM (*Fuck All Men*), bardzo popularny ruch internetowy wśród kobiet z pokolenia Y, ale i zetki się przyłączają.

Kolejna uwaga! – *To bardzo delikatna sprawa i każdy ma oczywiście inne powody* – zagaja Paula – *ale trzeba bardzo uważać, żeby z takim FAM nie pójść za daleko. Bo można przegrzać profilowo i zacząć uchodzić na SoMa za zgorzkniałą i samotną incelkę*. Paula twierdzi, że poznaje smutek po twarzach osób z apek. Jest coś takiego w oczach, czasem – jeśli dołączą dodatkowe fotki – również coś w pochyleniu pleców. Przegrywy.

eprasa.pl 8b5cbd649a

Arkadiusz ma pomysł na apkę do zrywania z partnerami, którzy nie rokują. Wybierałoby się opcję zrywu: kulturalnie, obcesowo, neutralnie itp. Dodawałoby się emotki lub cyfrowe bukiety.

Kiedy czegoś chcą od Pauli, ghostuje ich od razu, bo – jak uważa – przegrywalność jest zaraźliwa.



Boomer Arek

W czasach raczkującego internetu (lata 90.) boomer Arek uchodził za lamera (jołopa internetowego). Nie angażował się wtedy w nowe technologie, ponieważ sądził, że nie przetrwają próby czasu. W 1991 r. Arek skończył trzydziestkę, co w sztafecie pokoleń plasuje go w schyłkowym okresie boomerstwa (1946–1964). Załapał się na przewrót dziejowy lat 90. w tym sensie, że pracował już wtedy etatowo za dość niezłe pieniądze w instytucji państwowej, w której nagłe wakaty wynikły z czystki politycznej – zwalniano partyjnych, byłych członków upadłej PZPR. Partyjniacy odeszli, przyszły komputery. – *Pierwszy komputer przyniesiono nam do biura w połowie lat 90.* – wspomina Arek – *stał nieużywany i się kurzył. Maszyny do pisania wydawały się godniejsze zaufania.* (śmiech) *Ale potem nagle wszystkie gazety zaczęły się czepiać naszej instytucji, że nie mamy strony internetowej. Że jesteśmy zapóźnieni i nie dosiadamy kobyły czasu. Ale myśmy to zwyczajnie mieli w dupie.*

Instytucja państwowa nie miała wyjścia, zatrudniła specjalistę cyfrowego. Zjawił się w dostojnych wnętrzach 20-latek o wyglądzie hipisa, długowłosy, koraliki na szyi. I nawet mniejsza o to, że założył instytucji stronę internetową – on pokazał Arkowi i jego męskim rówieśnikom porno w internecie. Były to, wspomina Arek, zdjęcia, jeszcze nie filmiki. Spowodowały, że schyłkowi boomerzy z instytucji uwierzyli w przyszłość komputera i internetu. Komputery były już wówczas w sprzedaży pod dziwną nazwą „urządzenie multimedialne". Arek kupił.

Minęły dwa małżeństwa, z których urodziło się dwoje dzieci. Dziś Arkadiusz żyje sam, pozbierany życiowo, apdejtowany (od *update*) sieciowo – mówi o sobie per singiel, choć to określenie nieco już przestarzałe. Za rok emerytura w tej samej instytucji, co zawsze. Na stole w kuchni mieszkania w bloku laptop z najnowocześniejszej serii tych najdroższych, a w nim miłość i erotyka. Sukcesy – zaznacza boomer Arkadiusz i mruga okiem, jak w pubokawiarni Elegancki Bolek w 1995 r. Z zachowania Arek jest troszkę jak kolekcjoner motyli/erotyczny demiurg – ciężko z nim rozmawiać, nie przyjąwszy jego obrazu samego siebie za jedyny i obowiązujący. Więc: wachlarzowo otwierają się uczuciowe supermarkety internetowe z paniami: młode, dojrzałe, ONS-y i FWB-ty, w tym także SD (od *sugar daddy,* poszukiwaczki sponsoringu w zamian za ciało). Arek seksogawędzi aż do zmęczenia.

Demiurg cyfrowo-uczuciowy to, zdaje się, ulubiona z licznych osobowości Arka. Otóż boomer bardzo dużo kobiet zapoznaje, by następnie je porzucić. Nie ma zbyt wielu boomerów na randkowych i seksualnych apkach, a Arkadiusz gdzieś słyszał, że jest wśród igreczek ciąg na starszych facetów, więc kłusuje. Tu rzuci żartem z lat 80., tam staromodnie przyhejtuje, tu wyśmieje, tam jego wyśmieją. – *Co mam się ograniczać?* – uważa. – *Bo ile mi zostało tego dobrego?*

Arkadiusz ma pomysł na apkę do zrywania z partnerami, którzy się znudzili lub nie rokują. Wybierałoby się, powiedzmy, opcję zrywu: kulturalnie, obcesowo, neutralnie itp. Dodawałoby się emotki lub cyfrowe bukiety. Zbierałoby się punkty za kulturę rozstania. Pomysł bierze się stąd, że Arek nie jest przekonany co do ghostowania. Niby ghostowanie jest ogólnie przyjętą w sieci i skuteczną metodą rzucania, ale pozostawia niesmak. Po pierwsze: nikt nie chciałby być zghostowany, bo to może wpędzić w depresję. A po drugie, ważniejsze: kiedy ty kogoś ghostujesz, bo nie chce ci się już go oglądać online czy offline, to może się okazać, że ten ktoś jednak cię odnajdzie w sieci i zhejtuje online. Albo po złości – jak mówi Arek – doda cię do jakiegoś #MeToo lub rejestrów policyjnych. Sieć to systemy połączone, ludzie znają ludzi, którzy znają ludzi. – *Nie ma przestoju w internecie* – jak mówi córka znajomej, zetka.

Ta młoda zetka opowiadała, że sama też ma podobne odczucia co do zrywania ghostowego – niefajnie. Dlatego też pewnego razu udała się na realne spotkanie (offline) z poznanym w SoMa chłopakiem, zabierając ze sobą dwóch kolegów jako firewalle (od *firewall,* zapora). Kiedy się zbliżali do oznaczonego miejsca, zetka zobaczyła domniemanego macza i już wiedziała, że jest DOA (od *Dead On Arrival,* martwy w momencie przybycia). Jej firewalle dobrze się spisały i powiedziały od razu, tak głośno, żeby gość dobrze słyszał: zetka, miałaś szybko wyprowadzić psa. I to był majstersztyk grzecznego rzucania.

Boomer też ostatnio rzucał w realu internetową znajomość i wyszło nieoczekiwanie. Pani Magda była po pięćdziesiątce, pokoleniowo typowa ikska (pokolenie X: 1965–1980) – troszkę już cyfrowo nieporadna, początki smutku w oczach. Samotna, owdowiała, dorosła córka. Słowem: miała w sobie coś delikatnego, należał jej się szacunek. Arek założył garnitur, kupił kwiaty, udał się do kawiarni, w której się umówili. Magdy nie było. I dziwna rzecz – nie wyłączyła telefonu, nie zbanowała, nie zghostowała Arka w sieci. Po prostu przestała być. W Arku obudziła się bardzo staromodna troska – wytropił córkę Magdy przez internet, okazało się, że mama zemdlała na ulicy i wylądowała w szpitalu. Niby koniec, Arka sumienie by nie gryzło – nie jego wina.

Mimo to boomer Arek wybiera się w odwiedziny do ikski Magdy, już do domu, bo wyszła ze szpitala, ze słoikiem ogórków kiszonych własnej roboty.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 8b5cbd649a

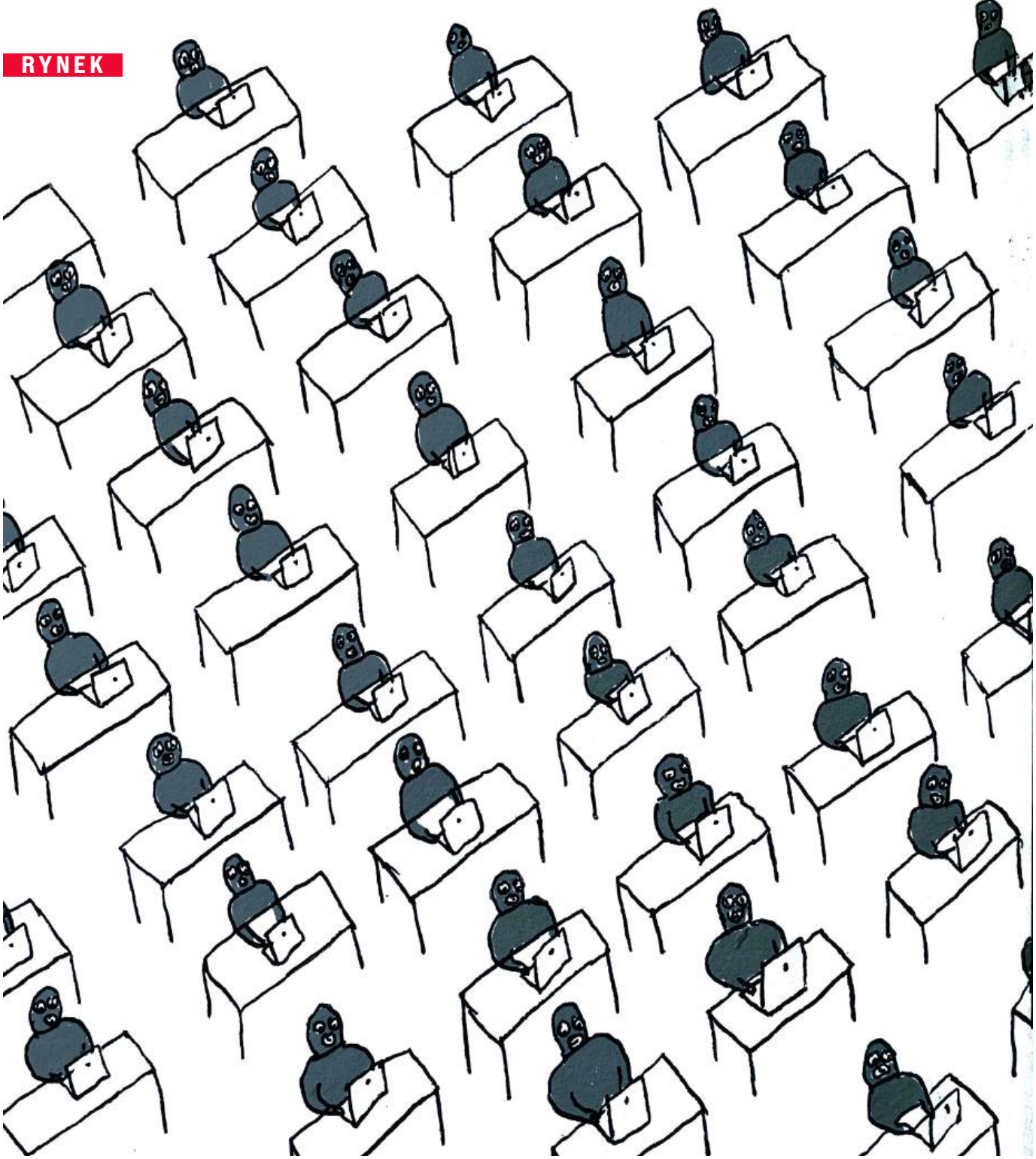

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Szyfrują i rabują

Rozmowa z Piotrem Ciepielą, ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa technologii, partnerem EY, o tym, jak obce cyberwojska atakują polską infrastrukturę i firmy.

eprasa.pl 8b5cbd649a

ADAM GRZESZAK: **– Rośnie liczba cyberataków na polską infrastrukturę, ostatnio szczególnym celem stały się wodociągi i oczyszczalnie ścieków. Pod względem ujawnionych ataków *ransomware*, czyli włamań do systemów komputerowych i szyfrowania danych w celu wymuszenia okupu, w pierwszym półroczu zajęliśmy pierwsze miejsce na świecie. Skąd ta zmasowana cyberagresja? I dlaczego właśnie Polska znalazła się na jej celowniku?**

PIOTR CIEPIELA: – Decydują o tym sytuacja geopolityczna oraz coraz skuteczniejsze możliwości obchodzenia zabezpieczeń systemów teleinformatycznych. Wciąż nie zdajemy sobie sprawy z zagrożeń, co jest bezwzględnie wykorzystywane. Dotychczas największym zagrożeniem byli cyberprzestępcy. I to nie młodzi hakerzy amatorzy, siedzący w kapturach w ciemnym pokoju przy laptopie, jak to się ich czasem w mediach pokazuje, ale duże zorganizowane grupy profesjonalistów wyspecjalizowanych we włamaniach do systemów komputerowych. Uznali, że zamiast ograbiać ludzi na ulicy, lepiej to robić w internecie, bo ryzyko mniejsze, a pieniądze większe. Niektóre państwa to dostrzegły i zamiast z nimi walczyć, postanowiły ich wykorzystać do własnych celów. Bo to jest niebywale lukratywny biznes generujący niewyobrażalne zyski.

Czyli jakie?

Ocenia się, że w skali globalnej może to być nawet 10 bln dol. rocznie. Gdyby porównać to do PKB państw, byłaby to trzecia gospodarka świata.

Wszystko idzie do kieszeni cyberprzestępców?

Muszą się tymi pieniędzmi dzielić, bo niektóre państwa uznały, że i one mogą czerpać z tego źródła, zasilając własny budżet, zwłaszcza wojskowy. Rozpinają nad cyberprzestępcami parasol ochronny, jednocześnie nakierowując ich na cele w wybranych krajach, wobec których nie żywią przyjaznych uczuć. Cyberprzestępczością zaczęła rządzić geopolityka. A ponieważ sytuacja w świecie robi się coraz bardziej napięta, cyberwojna eskaluje. Dlatego coraz trudniej odróżnić, co jest działaniem cyberprzestępczym, a co cyberwojennym, bo często robią to ci sami ludzie, raz działając na własny rachunek, a innym razem realizując cele państwa, dla którego pracują.

Które kraje rzuciły swoich cyberprzestępców do walki?

Większość państw rozbudowuje swoje armie, tworząc siły specjalne działające w cyberprzestrzeni. Chiny chwalą się, że 50 tys. ludzi służy w ich cyberarmii, a dodatkowo ma do dyspozycji 150 tys. współpracowników. Sądząc po tym, co się dzieje w darknecie, czyli w sieci niedostępnej dla zwykłych użytkowników, a chętnie odwiedzanej przez hakerską międzynarodówkę, najbardziej aktywni są Chińczycy, Rosjanie, Ukraińcy, Irańczycy i Koreańczycy z Północy. Te państwa uczyniły z cyberprzestępczości broń, która pozwala im penetrować inne kraje, prowadzić wywiad, uprawiać sabotaż, destabilizować sytuację wewnętrzną, wpływać na procesy demokratyczne i realnie kształtować postawy społeczne. Ale przede wszystkim maksymalizować zyski finansowe. Bo im bardziej scyfryzowany staje się nasz świat, im więcej naszej aktywności dzieje się w sieci, tym większe stają się możliwości dla rozwoju cyberprzestępczości i eskalacji cyberwojny.



Piotr Ciepiela – współautor książki na temat infrastruktury krytycznej, wykładowca akademicki, autor licznych publikacji. Doradzał wielu rządom w zakresie ochrony infrastruktury krytycznej, tworzenia przepisów, metod i standardów. Posiada liczne certyfikaty bezpieczeństwa, w tym m.in. poświadczenia bezpieczeństwa NATO SECRET, EU SECRET.

Czas się bać?

Na pewno najwyższy czas zacząć poważnie myśleć o cyberzagrożeniach i budowaniu na nie odporności.

Mamy przecież Wojska Obrony Cyberprzestrzeni z generałem Molendą na czele. Mamy policyjne Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości z nadinspektorem Cieślakiem. Jest wreszcie Ministerstwo Cyfryzacji z ministrem Gawkowskim. To chyba ich zadanie?

To zadanie dla nas wszystkich. Działania wojska i policji są na pewno bardzo potrzebne, Ministerstwo Cyfryzacji robi sporo i stara się reagować na pojawiające się zagrożenia. Najnowszym przykładem jest reakcja na ataki na wodociągi i stacje uzdatniania wody. W ramach programu „Cyberbezpieczne wodociągi" przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne mogą uzyskać dofinansowanie wzmocnienia zabezpieczeń cyfrowych i szkolenia pracowników. Ma na to pójść 300 mln zł. Ważna jest jednak rola samorządów i firm współpracujących z nimi, aby dobrze wykorzystać te środki.

Wodociągi to nie wszystko. Jest jeszcze energetyka, transport, ochrona zdrowia i wiele innych. Właściwie każde przedsiębiorstwo może stać się dziś celem ataku.

Niestety, tak się dzieje. Duże firmy na ogół starają się zabezpieczyć, choć nie zawsze skutecznie. Gorzej jest z małym i średnim biznesem. Duża jego część już doświadczyła ataków hakerskich.

Jak duża? Spotkałem się z danymi, że w Polsce do takich ataków dochodzi 250 razy dziennie.

Trudno o precyzyjne liczby, bo firmy zwykle nie zgłaszają takich incydentów, więc jest ich spora nieujawniona liczba. Najczęściej są to ataki typu ransomware, polegające na włamaniu do systemu komputerowego firmy i zaszyfrowaniu zawartości dysków. Zaraz po takim ataku przychodzi oferta: podamy klucz przywracający dostęp do dysków za taką a taką kwotę, często idącą w miliony.

Policja zaleca zgłaszać atak i nie płacić. Firmy płacą?

Nie powinny, a jednak najczęściej płacą i nie zgłaszają. Działa prosta kalkulacja: bez dostępu do zawartości dysków firma nie jest w stanie prowadzić swojej działalności, zwłaszcza jeśli ofiarą ataku padły też kopie zapasowe. Dlatego firmy zaciskają zęby i płacą z nadzieją, że odrobią straty, bo dłuższy przestój grozi bankructwem. Nie informują o tym, bo uznają, że przestępcy i tak nie zostaną złapani, albo obawiają się strat wizerunkowych. W końcu atak ujawnia ich zaniedbania, a przy okazji naraża na ryzyko kontrahentów, bo ich dane cyberprzestępcy również mogli przejąć.

Policja ostrzega: nawet jeśli zapłacisz, nie masz gwarancji, że odzyskasz dostęp do swoich danych.

Średnio w co piątym przypadku mimo zapłacenia okupu nie udaje się odzyskać danych. Jednak nawet jeśli klucz dostarczony przez sprawców zadziała, to przywrócenie systemu komputerowego w firmie do działania i tak może zająć dużo czasu. Dopiero wtedy przychodzi refleksja – musimy zadbać o cyberbezpieczeństwo i oby Polak stawał się mądry po szkodzie, bo hakerzy lubią wracać.

Jak się płaci okup? Paczki banknotów pakuje się do foliowej torby i wyrzuca przez okno? Czy może robi się przelew? ▶

© MP

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ Płaci się w kryptowalucie. Na całym świecie rozliczenia z cyberprzestępcami dokonywane są w bitcoinach, bo to środek płatniczy zapewniający anonimowość i będący poza kontrolą państw.

Czy takie interesy z cyberprzestępcami same w sobie nie są przestępstwem?

To zależy. Co do zasady – jeśli przedsiębiorca płaci okup, to jego decyzja, wolno mu. Jeśli jednak okazałoby się, że sprawcy pochodzą z kraju lub grupy objętej sankcjami, to pojawia się poważny problem.

Dlaczego firmy nie zabezpieczają się przed cyberatakami?

Duże firmy na ogół inwestują w cyberodporność. Zdają sobie sprawę, że wiele ryzykują, mają procedury, audyty, inwestują w sprzęt, oprogramowanie, angażują specjalistów od cyberbezpieczeństwa i wykupują polisy ubezpieczeniowe. Gorzej jest z małymi i średnimi firmami. Kiedy po ataku rozmawiam z szefem takiej firmy, zwykle słyszę: ale przecież nam się nigdy nic takiego nie zdarzyło. W tej sytuacji inwestycja w cyberbezpieczeństwo uznawana bywa za zbędny koszt, który może ograniczyć konkurencyjność. Bo walczy się ceną, która musi być najniższa.

Ale taka niezabezpieczona mała firma może być dostawcą albo kooperantem dużej i tak rozsiewa zagrożenie.

Wielokrotnie notowaliśmy przypadki wykorzystywania małych firm do ataku na duże. Wystarczy umiejętnie sfabrykowana wymiana korespondencji, fałszywych faktur czy umów i już można się dostać do cyberprzestrzeni dużej firmy. A tam można łamać kolejne zabezpieczenia. Cyberprzestępcy potrafią wykorzystać czasem niezauważalne szczeliny. Znany jest przypadek firmy niezwykle dobrze chronionej, która dla przyjemności pracowników postawiła w biurze akwarium. Był tam zamontowany termometr cyfrowy, który za pośrednictwem sieci przesyłał dane o temperaturze wody. I to okazało się niezabezpieczoną furtką, przez którą wtargnęli cyberprzestępcy, paraliżując kluczowe systemy firmy.



Do systemu komputerowego jednej z firm cyberprzestępcy włamali się poprzez połączony z siecią cyfrowy termometr akwarium

W systemie cyberbezpieczeństwa najsłabszym ogniwem są ludzie?

Niestety tak. Hakerzy sprawnie wykorzystują nasze słabości: lenistwo, nieuwagę, ciekawość i łatwowierność. Na tym budowane są niezwykle popularne ataki socjotechniczne – phishing, czyli fałszywe strony internetowe lub wiadomości wykorzystywane do wyłudzania haseł, pinów, nakłaniające do kliknięcia w linki, za których pośrednictwem sprawcy infekują komputer. I tak po nitce do kłębka docierają do wnętrza firmy. Czasem działają na ślepo, ale zwykle ustalają szczegóły dotyczące firmy i jej pracowników tak, by fałszywe maile czy esemesy brzmiały wiarygodnie. Z naszych obserwacji wynika, że najskuteczniejszym działaniem przestępców jest podszywanie się pod firmowego prawnika.

Pomaga im w tym sztuczna inteligencja?

Oczywiście, każda nowa technologia szybko pojawia się w świecie cyberprzestępców. Ale w przypadku AI jest to broń obosieczna, bo używają jej przestępcy, ale także może być użyteczna w ich tropieniu i wykrywaniu zagrożeń.

Podobno wykorzystywana bywa także technologia deepfake, czyli zmanipulowanych filmów, obrazów lub dźwięków tworzonych przy użyciu sztucznej inteligencji?

Słynny jest przypadek firmy z Hongkongu, która za pomocą tej technologii została okradziona. W firmie organizowano posiedzenia zarządu w formie wideokonferencji i podczas jednego z takich zdalnych posiedzeń prezes wydał polecenie szefowej finansów przelania dużej kwoty na określone konto. Ponieważ widziała na ekranie swojego zwierzchnika, rozmawiała z nim, słyszała jego głos, wykonała polecenie. Po kilku takich zdalnych kontaktach, zakończonych przelewami na tajemnicze konto, nabrała jednak wątpliwości. Wybrała się więc do firmy, by osobiście sprawę wyjaśnić. Wtedy okazało się, że żadnych posiedzeń zarządu nie było, nikt też nie wydawał poleceń dotyczących przelania pieniędzy. Na ekranie komputera oglądała tylko deepfake posiedzenia zarządu wygenerowany przez AI.

Jak tego dokonali?

Po prostu przechwytywano transmisje z prawdziwych posiedzeń zarządu, dzięki czemu zdołano wyszkolić AI tak, by potrafiła precyzyjnie odtworzyć wygląd i głosy uczestników. Stali się rodzajami masek, za którymi kryli się cyberprzestępcy, którzy mogli mówić to, co chcieli, głosami członków zarządu.

To przykład ze świata. Nam to chyba nie grozi?

Niestety grozi. Nie mogę podać szczegółów, ale znam firmy w Polsce, które zostały zaatakowane w bardzo podobny sposób, niestety skutecznie.

Nie zawsze zawodzą ludzie. Czasem winny jest sprzęt tzw. przemysłu 4.0, czyli sterowniki automatycznych procesów produkcyjnych, urządzenia oraz czujniki zbierające i przesyłające dane przez internet.

W naszym warszawskim biurze EY mamy laboratorium cyberbezpieczeństwa właśnie takich urządzeń automatyki przemysłowej czy internetu rzeczy (IoT). Na zlecenie firm odtwarzamy w laboratorium system z konkretnego zakładu i sprawdzamy, czy można się do niego włamać i np. zatrzymać produkcję albo odciąć zasilanie. Dotyczy to także instalacji krytycznych. Bywa, że udaje się nam to w ciągu kilkunastu minut. Na tej podstawie przygotowujemy zalecenia dotyczące dokonania niezbędnych zmian.

Niektórzy są zdania, że cyberprzestępcy i cyberwojownicy są jak nemezis: nie ma przed nimi ucieczki. Czy można się jakoś chronić?

Nie demonizujmy ich, bo przecież sporą część ataków udaje się wykrywać i neutralizować. Nie są też całkowicie bezkarni, bo czasem wpadają w ręce policji. Natomiast metod ochrony jest wiele: stosowanie silnych haseł i uwierzytelnianie wieloskładnikowe, szyfrowanie danych, tworzenie kopii zapasowych, aktualizowanie oprogramowania, stosowanie systemów wykrywania intruzji, które monitorują ruch sieciowy itp. Najważniejsza jest jednak stała świadomość, że w sieci mogą się czaić zagrożenia.

ROZMAWIAŁ ADAM GRZESZAK

© SOLARISYS/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8b5cbd649a



Już wkrótce RegioJet uruchomi połączenia Warszawa–Kraków. W planach dalsza ekspansja.

© SHUTTERSTOCK

Jedzie pociąg z daleka

Po latach politycznej blokady wreszcie pozwalamy wjechać na polskie tory konkurentom PKP Intercity. Pierwsi są Czesi. Jest nadzieja na tańsze bilety i więcej połączeń. I pewność sporów. Także o to, z jaką prędkością mają u nas jeździć pociągi.

CEZARY KOWANDA

Zamiast dwóch cztery klasy, w trzech z nich darmowa kawa, ale na razie bilety dostępne tylko przez internet – 18 września czeski RegioJet rozpoczyna, jak sam to podkreśla, kursy pilotażowe na trasie Warszawa–Kraków. Na razie trudno mówić o rewolucji: pojawia się jedna para połączeń, a czas przejazdu jest o ponad pół godziny dłuższy niż w przypadku Pendolino państwowej spółki PKP Intercity. Jednak sam fakt, że wreszcie na jednej z najważniejszych tras kolejowych w Polsce pojawia się konkurencja, zasługuje na uwagę.

Nie jest to co prawda debiut RegioJet w naszym kraju, ale do tej pory przewoźnik znany był niewielu pasażerom. Od trzech lat obsługuje nocne połączenie z Przemyśla do Pragi przez Kraków i Rzeszów. Jest ono jednak przeznaczone głównie dla pasażerów podróżujących między Czechami a Ukrainą, którzy w Przemyślu przesiadają się na pociągi kolei ukraińskich. Na ten pociąg nie da się kupić biletów na trasę wewnątrz Polski, na przykład z Krakowa do Rzeszowa. Tylko dzięki temu udało się kiedyś Czechom dostać zgodę na jego uruchomienie.

RegioJet obiecuje, że jedna para połączeń Warszawa–Kraków to dopiero początek. Od połowy grudnia żółtymi składami będzie można też podróżować ze stolicy do Trójmiasta i Poznania. Pojawią się również kursy z Warszawy do Pragi i Wiednia. To zresztą nie koniec czeskich nowości. Do podboju polskiego rynku przygotowuje się też drugi przewoźnik z tego kraju, Leo Express, który na razie jeździ tylko z Krakowa do Pragi. Co prawda ta firma planuje nowe połączenia dopiero od marca przyszłego roku, ale już rozpoczęła sprzedaż na nie biletów (najtańsze kosztują zaledwie 9 zł). Leo Express, tak jak RegioJet, połączy Warszawę z Krakowem (na początku dwa razy dziennie) i Pragą.

RegioJet i Leo Express planowały podbój polskiego rynku od dekady, jednak do niedawna nie było to możliwe. Zgodnie z obowiązującymi przepisami każdy przewoźnik, który chce jeździć po naszych torach na własny rachunek, czyli bez kontraktu z państwem albo samorządami wojewódzkimi, musi uzyskać zgodę Urzędu Transportu Kolejowego. Gdy ten otrzymuje stosowny wniosek, ma zbadać, czy nowe połączenia nie zaszkodzą już istniejącym, dotowanym ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ z publicznych pieniędzy. Do niedawna spółka PKP Intercity wykorzystywała ten mechanizm i przekonywała, że prywatne pociągi zabiorą pasażerów jej połączeniom IC lub TLK. Urząd Transportu Kolejowego nie miał w takiej sytuacji wyjścia i odmawiał zgody nowym graczom.

Na szczęście po odsunięciu PiS od władzy udało się zmienić sposób myślenia o kolei. Nowy wiceminister infrastruktury odpowiedzialny za kolej Piotr Malepszak uznał, że takie blokowanie konkurencji nie ma sensu. Tym bardziej że od 2030 r. spółka PKP Intercity nie będzie już mogła otrzymywać z budżetu automatycznie, bez przetargu, dotacji na uruchamianie pociągów IC i TLK. Gdy po odwołaniu zarządu z czasów PiS prezesem PKP Intercity został Janusz Malinowski, zapowiedział zmianę polityki. Teraz jego spółka nie próbuje już blokować wniosków prywatnych przewoźników, więc Urząd Transportu Kolejowego zaczął wydawać zgody na realizację ich planów.

– *Zauważmy, że to czescy przewoźnicy wjeżdżają do nas, a nie my do nich. Dlaczego? Bo Czesi otworzyli swój rynek kilkanaście lat temu i teraz zbierają tego owoce. Przez ten czas nauczyli się u siebie konkurencji. A my, blokując nasz rynek, zablokowaliśmy też rozwój polskich prywatnych przewoźników* – podkreśla Jakub Majewski, prezes Fundacji ProKolej.

RegioJet uruchamia zarówno autobusy, jak i pociągi. Zaczął kursować na najważniejszej czeskiej linii kolejowej, łączącej Pragę i Ostrawę, w 2011 r. Z czasem wydłużył część połączeń na Słowację, Węgry i do Austrii. Jego właścicielem jest czeski biznesmen Radim Jančura. W 2012 r. wystartował Leo Express – też na trasie z Pragi do Ostrawy. Początkowo również był wyłącznie w czeskich rękach, jednak kilka lat temu połowę akcji przejęły hiszpańskie koleje państwowe RENFE.

Wejście dwóch konkurentów na trasę Praga–Ostrawa wywołało prawdziwe trzęsienie ziemi na tamtejszym rynku. Dotychczasowy monopolista – państwowe České dráhy – przypuścił kontratak, obniżając znacząco ceny biletów i kierując na ten odcinek swój najlepszy tabor. Okazało się jednak, że wszyscy trzej przewoźnicy mają kogo wozić, bo znacznie wzrosła liczba pasażerów, zachęconych niższymi cenami i bardzo dużą liczbą kursów.

A jak będzie u nas? – *Na rewolucję porównywalną z Czechami nie możemy na razie liczyć, bo konkurencyjnych połączeń będzie początkowo niewiele. Czescy przewoźnicy wydają się trochę zaskoczeni faktem, że po latach niepowodzeń wreszcie mogą u nas swobodnie jeździć. Z góry przepraszają za ewentualne niedociągnięcia i zastrzegają, że na razie będą się uczyć polskiego rynku. Z pewnością na początku zaoferują atrakcyjne ceny biletów. Zobaczymy, jak zareaguje PKP Intercity. Pamiętajmy jednak, że obecnie ta spółka często nie jest nawet w stanie przewieźć wszystkich chętnych. Pojawienie się konkurencji może być dla niej dobrą informacją. Kto na przykład w jedną stronę pojedzie czeskim pociągiem, ten może wrócić składem PKP Intercity, bo tak będzie mu pasować* – mówi Karol Trammer, redaktor naczelny magazynu „Z Biegiem Szyn".

Podkreśla on, że dzisiaj część podróżnych, widząc, że nie ma miejscówek na interesujące ich połączenia, w ogóle rezygnuje z kolei i wybiera jazdę samochodem. W obie strony.

Zmiana nastawienia do konkurencji na kolei z pewnością okazała się łatwiejsza dzięki twardym liczbom. Spółka PKP Intercity bije kolejne rekordy. W ubiegłym roku przewiozła 78,5 mln pasażerów (15 proc. więcej niż w 2023 r. i aż o jedną trzecią więcej w porównaniu z 2022 r.). W tym roku liczy na wzrost liczby podróżnych przynajmniej o kolejne 10 proc. W najpopularniejsze dni wakacji PKP Intercity miała ponad 300 tys. pasażerów, a byłoby ich jeszcze więcej, gdyby przewoźnik był w stanie podstawić dodatkowe wagony. Dzisiaj zatem kilka czeskich pociągów z pewnością nie wyrządzi PKP Intercity żadnej krzywdy.

Poważniejszym zagrożeniem byłaby dopiero solidna oferta – na przykład konkurencyjne składy na trasie Trójmiasto–Warszawa–Kraków co godzinę przez cały dzień. Wówczas państwowy przewoźnik musiałby z pewnością zwiększyć pulę tańszych biletów w Pendolino, a być może nawet zupełnie zmienić taryfę, obniżając standardowe ceny z obecnych 169 zł za osobę. Jednak na taki przełom musimy poczekać, bo żeby zapewnić dobrą częstotliwość połączeń, czescy przewoźnicy potrzebują więcej taboru i pracowników. Tych dopiero szukają – na przykład RegioJet kusi maszynistów zarobkami w wysokości 16 tys. zł brutto miesięcznie.

Naszym rynkiem interesują się nie tylko Czesi. Połączenia z Warszawy do Berlina przez Poznań planuje FlixTrain, kolejowe ramię Flixbusa. Niestety, nie ruszą one zbyt szybko, bo w przyszłym roku niemieckie koleje zapowiadają uciążliwe remonty na odcinku przygranicznym. Z tego powodu FlixTrain postanowił odłożyć swój debiut. Na trasie ze stolicy do Berlina PKP Intercity nie ma się zatem czego obawiać. Jednak choćby homeopatyczne zetknięcie



Charakterystyczne czarne składy Leo Express już jeżdżą po polskich torach.

eprasa.pl 8b5cbd649a

z konkurencją jest tej spółce potrzebne. Na razie państwowy przewoźnik otrzymuje co roku dotację na pokrycie strat generowanych przez deficytowe pociągi IC i TLK. Ta rekompensata przekracza już 2 mld zł rocznie i nieustannie rośnie. Niestety, nie wiadomo, które pociągi rzeczywiście przynoszą straty, a które na siebie zarabiają. Zbiorcza dotacja, gwarantowana do 2030 r., pozwala co prawda na obsługę wielu peryferyjnych tras, ale publiczne pieniądze powinny być z pewnością wydawane w bardziej przejrzysty sposób.

Nowa polityka Polski przyjaznej dla prywatnych przewoźników mogłaby przynieść pozytywne efekty jak w Czechach. Tam po otwarciu rynku rząd zabrał dotacje z trasy Praga–Ostrawa, uznając, że nie są już potrzebne, skoro dzięki konkurencji ceny biletów spadły. Publiczne wsparcie przesunięto na mniej popularne trasy, gdzie prywatnym przewoźnikom nie opłaca się kursować, więc wsparcie państwa dla spółki České dráhy jest rzeczywiście potrzebne. Być może za kilka lat uda się zrobić podobnie w Polsce. Na głównych trasach mamy już tak dużo pasażerów, że wpływy ze sprzedaży biletów powinny wystarczyć na pokrycie kosztów PKP Intercity. Dzięki temu można by więcej zainwestować na bocznych liniach, gdzie dzisiaj często kursuje tylko po kilka pociągów dziennie.

O ile udało się wreszcie przełamać polityczną blokadę na kolei, o tyle pozostaje jeszcze jeden problem. Marzenia Czechów o ekspansji mogą rozbić się o brak miejsca na torach. W ubiegłym roku kolej w Polsce przewiozła łącznie ponad 407 mln podróżnych – aż o ponad połowę więcej niż dziesięć lat wcześniej. Efekt? Już teraz główne trasy są coraz bardziej zapchane, a pociągi dalekobieżne muszą konkurować o miejsce z towarowymi, regionalnymi i aglomeracjami. Najgorzej sytuacja wygląda w największych metropoliach, jak Warszawa, Kraków, a zwłaszcza Wrocław. – *Mści się wyznawana przez lata ideologia skromnego modernizowania kolei, która miała odgrywać marginalną rolę w naszym systemie transportowym. Teraz musimy przede wszystkim zwiększać przepustowość naszej sieci, budując dodatkowe tory, zwłaszcza w obszarze aglomeracji, oraz inwestować w zaawansowane systemy sterowania ruchem* – podkreśla Jakub Majewski z Fundacji ProKolej.

Jednak wiele będzie też zależało od prób porozumienia między samymi przewoźnikami. Trudne zadanie przypadnie zarządcy kolejowej infrastruktury, spółce PKP Polskie Linie Kolejowe. Chociaż w nazwie ma wciąż skrót PKP, musi być ona bezstronna i nie może w uprzywilejowany sposób traktować spółki PKP Intercity. – *Gdy chętnych będzie więcej niż miejsc na torach, pierwszeństwo mają, zgodnie z przepisami, pociągi dotowane, jak IC i TLK. Co jednak zrobimy, gdy o atrakcyjnej porze będą chciały odjeżdżać Pendolino i RegioJet, a przepustowość linii pozwoli tylko na kurs jednego składu? Jeżeli przewoźnicy się nie dogadają, to Polskie Linie Kolejowe będą musiały podjąć decyzję. I liczyć się z krytyką tego, kto poczuje się pokrzywdzony* – ostrzega Karol Trammer, autor książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej".

Na razie jednak jest nadzieja, że wreszcie dołączymy do dużego już grona krajów, gdzie pasażerowie korzystają na konkurencji między przewoźnikami. Wszędzie w chwili pojawienia się nowych graczy były te same polityczne obawy o los dotychczasowego państwowego monopolisty. I wszędzie okazały się nieuzasadnione. Nie tylko w Czechach, ale też we Francji, Hiszpanii, Włoszech czy Austrii nowi przewoźnicy oznaczali nie tylko niższe ceny biletów, ale też więcej pasażerów. Tak samo może być i u nas. Szkoda, że przez tyle lat politycy nie chcieli na to pozwolić, wykorzystując kruczki prawne do obrony monopolu PKP Intercity.

Może dlatego, że posłowie i senatorowie jeżdżą koleją za darmo, więc los pozostałych podróżnych specjalnie ich nie interesuje. A może dlatego, że wielu polityków uważa się po prostu za kolejowych ekspertów. Świadczy o tym najnowsza debata, z jaką prędkością powinny kursować pociągi po nowych trasach budowanych w ramach Kolei Dużych Prędkości (KDP) z Warszawy do Wrocławia i Poznania przez Centralny Port Komunikacyjny i Łódź. PiS założył, że składy pojadą z prędkością maksymalnie 250 km na godz. Jednak obecny rząd chce, by było to nawet 350 km na godz. w przypadku najszybszych połączeń. Argumentuje, że tylko w ten sposób uda się zaoferować znacznie krótszy czas przejazdu z Warszawy do Poznania w porównaniu z istniejącą linią. Tymczasem politycy opozycji – od PiS po partię Razem – przekonują, że 250 km na godz. wystarczy. W tle pojawiają się sugestie, jakoby lepiej było wybrać gorsze parametry, bo superszybkich pociągów nie będą w stanie zbudować polscy producenci. Tyle że wydawanie ogromnych pieniędzy (koszt KDP jest szacowany na 80 mld zł) na sztucznie spowolnioną szybką kolej wydaje się absurdalne. Tak samo jak niegdyś blokowanie czeskich pociągów. Ale przecież politycy kierują się swoją logiką, a nie interesem pasażera.

CEZARY KOWANDA



© ROBERT NEUMANN/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a

Bastion pada



Siedziba główna ONZ w Nowym Jorku

PATRYCJA SASNAL Z NOWEGO JORKU

Po co komu ONZ, która właśnie obchodzi swoje święto? Przez ostatnie lata ignorowana przez Zachód, który ją stworzył, stała się igraszką tyranów, którzy ją wykorzystują. Jeszcze za nią zatęsknimy.

Jak co wrzesień od 80 lat wszystkie państwa ONZ, przyjaciele i wrogowie, spotykają się w jednej sali w Nowym Jorku. Tym razem jednak atmosfera nie sprzyja celebracjom. Nie wiadomo nawet, czy ruchome schody w budynku przy East River w ogóle ruszą z miejsca – z powodu niepłacenia składek przez część państw sekretarz generalny António Guterres oszczędza, gdzie się da.

Tym razem dodatkowo Amerykanie nie dali delegacji palestyńskiej wiz, nie wiadomo też, czy wpuszczą Brazylijczyków, Irańczyków, Sudańczyków. Niedofinansowanie, wojna w Strefie Gazy, Ukrainie i nacjonalistyczna polityka USA zdominują posiedzenia plenarne. Główny punkt programu wyznaczono na 22 września – tego dnia na specjalnym spotkaniu Francja, Wielka Brytania, Kanada i inni mają uznać Palestynę za państwo.

W sercu amerykańskiej metropolii delegaci będą patrzeć na wielkie złote godło ONZ nad mównicą – świat w wieńcu laurowym – i zastanawiać się, ile jeszcze razy spotkają się w tym miejscu. Czy multilateralizm przetrwa egzystencjalny kryzys?

Statystycznie współpracy międzynarodowej jest dziś więcej niż kiedykolwiek. Powiększają się mandaty i mnożą misje ONZ. Jest coraz więcej państw, organizacji i tematów do omówienia. Ale to tylko statystyczne złudzenie nieprzekładające się na jakość. Trajektoria multilateralizmu po drugiej wojnie światowej

©SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8b5cbd649a

biegła w górę, by osiągnąć szczyt w latach 90. Ale od mniej więcej 20 lat już tylko spada.

Według Norweskiego Instytutu Badań nad Pokojem trwa dziś więcej konfliktów między państwami niż kiedykolwiek od 1946 r. Ostatnie lata biją rekordy w poziomie przemocy. Połowa Europejczyków i Amerykanów spodziewa się trzeciej wojny światowej już w nadchodzącej dekadzie. Na dodatek sama ONZ ma wiele wad i strukturą nie przystaje do współczesnego świata. Jak na przykład wytłumaczyć, że pośród stałych członków Rady Bezpieczeństwa nie ma najludniejszego państwa na świecie – Indii?

Ale to nie przywary ONZ pognębiły multilateralizm, tylko kolektywny Zachód. Pryncypia były na pokaz, stawialiśmy swoje interesy ponad prawem międzynarodowym, uczestniczyliśmy w wojnach niesprawiedliwych, głosowaliśmy kunktatorsko, ignorowaliśmy misje i cele ONZ. Inni patrzyli i się uczyli.

Wyrodni rodzice

Wyglądało to jak początek filmu dokumentalnego o wojnie, która dopiero nastąpi. 2 września tysiące chińskich żołnierzy w perfekcyjnych rzędach przeparadowało przez Pekin w 80. rocznicę zakończenia wojny z Japonią. Atmosferę grozy podbijali śmiercionośna broń i goście na trybunach: przywódcy agresywnej Rosji i nuklearnej Korei Północnej. Ale potem wystąpił prezydent gospodarzy Xi Jinping i napięcie opadło: „Tylko współpracując, możemy utrzymać bezpieczeństwo". Chwalił multilateralizm i obiecywał pokój. Brzmiał jak Barack Obama, a nie przywódca państwa, gdzie muzułmanów trzymano w zamkniętych obozach.

W marcu Chiny wraz ze 160 państwami ONZ ustanowiły Międzynarodowy Dzień Nadziei. Nakłaniali do tego eksperci zdrowia psychicznego. Sprawa wydawała się niekontrowersyjna. A jednak jedno państwo nie poparło pomysłu. „Już dawno trzeba było skorygować politykę gender i ideologię klimatu, które rozpleniły się po celach zrównoważonego rozwoju ONZ. Odrzucamy i potępiamy te cele" – nie, to nie była Arabia Saudyjska, ale Stany Zjednoczone. Pomysłodawca nazwy ONZ – główny fundator, najważniejsze państwo założycielskie – odrzucił swoje własne dziecko.

Zaraz po objęciu urzędu Donald Trump wyprowadził USA z Rady Praw Człowieka ONZ, Światowej Organizacji Zdrowia i zarządził „przegląd wsparcia USA dla wszystkich organizacji międzynarodowych". Praktycznie zlikwidował amerykańską pomoc rozwojową, nałożył sankcje na sędziów Międzynarodowego Trybunału Karnego i innych ekspertów ONZ za krytykę Izraela, zamroził środki dla Funduszu Ludnościowego, bo ta agenda ONZ używa aborcji jako metody planowania rodziny. W ten sposób Trump podjął aktywną walkę z – jak to nazywa – globalizmem.

Pieniądze wiele mówią. Chiny i USA powinny wpłacić po 20 proc. do budżetu ONZ, ale różnie z tym bywa. Amerykański przelew rokrocznie przychodzi za późno. W ostatnich latach Chiny też zaczęły się spóźniać. Trump przynajmniej mówi wprost, że nie da. A nawet jakby dał, to w USA na przelew musi się jeszcze zgodzić Kongres. Chiny pogrywają składkami – odkąd awansowały do piątki czołowych kontrybuujących, zaczęły się domagać wykreślenia praw człowieka z mandatów. Płacisz i wymagasz.

„Jeśli ONZ nie zapewni pokoju, to nikt go nie zapewni" – uważał Ralph Bunche, amerykański dyplomata, jeden z pierwszych wicesekretarzy Organizacji. 80 lat temu takie stwierdzenie nie brzmiało naiwnie. Szczególnie z ust Bunche'a, który z ramienia ONZ wynegocjował pokój w wojnie izraelsko-arabskiej w 1948 r. Jako pierwszy czarnoskóry dostał Nobla. Mówił: „Każdy człowiek rozumny musi pracować i modlić się, żeby to się powiodło. Narody Zjednoczone – największy projekt pokojowy w historii ludzkości".

Złota dekada

W okresie heroicznego multilateralizmu, wbrew zimnej wojnie, marka Organizacji nie miała sobie równych. Na dowód ambicji jej siedzibę projektowali mistrzowie: Oskar Niemeyer i Le Corbusier. Wiara w zorganizowaną współpracę potrafiła zapobiec największym tragediom.

Przykład: po upadku ZSRR Ukraina miała trzeci największy arsenał nuklearny na świecie. Żeby ją przekonać do oddania broni, Stany Zjednoczone, Rosja i Wielka Brytania zobowiązały się w memorandum budapeszteńskim do poszanowania jej suwerenności. Jaka ufność w zobowiązania międzynarodowe oraz stabilność sojuszy i systemu musiała towarzyszyć decydentom, że zgodzili się bomby oddać?

Z perspektywy czasu decyzja Ukrainy wydaje się tak zła, że nawet Bill Clinton wstydzi się dziś, że nakłonił Ukraińców do ugody. Rosja w końcu pogwałciła zobowiązania wynikające z memorandum. Razem z Chinami rozwija współpracę z reżimem Kim Dzong Una i wspiera Iran. Konsens nuklearny zanika.

Ukraina zgodziła się oddać bomby atomowe w złotej dekadzie multilateralizmu. W latach 90. wydawało się, że prawa narodów do samostanowienia i wolność jednostki zapanują na całym świecie. I ONZ stanęła wtedy na wysokości zadania.

W 1992 r. Organizacja przejęła rządy po ludobójstwie w Kambodży, które pochłonęło ponad 2 mln ofiar. Po raz pierwszy i jedyny w historii suwerenne państwo oddało władzę organizacji międzynarodowej. Do kraju posłano 16 tys. żołnierzy z 46 krajów, a jego de facto władcą na 18 miesięcy został japoński dyplomata Yasushi Akashi. Wiele udało się zrobić: państwo się zjednoczyło, przeprowadzono wybory, choć siły międzynarodowe, zamiast rozbroić Czerwonych Khmerów, rozbroiły ich przeciwników.

Wielonarodowe misje pokojowe wymyślił wspomniany już Bunche. Pierwsza taka misja pojechała do Palestyny i Izraela pilnować zawieszenia broni w 1948 r. Od tamtej pory ONZ zakończyła z różnym powodzeniem ponad 60 mandatów, ciągle prowadzi 11. I mimo kilku spektakularnych porażek dwie trzecie tych przedsięwzięć należy uznać za sukces. Największy blamaż spotkał błękitne berety w Srebrenicy – pod ich okiem Serbowie popełnili ludobójstwo na muzułmańskich Bośniakach w 1995 r.

Po zimnej wojnie wybuchło tyle konfliktów, że popyt na błękitne hełmy rósł wykładniczo. Rezolucje o wysłaniu wojsk pisały państwa zachodnie, a żołnierze ONZ mieli nieść liberalne wartości i symbolizować współpracę. Demokracje nadal kontrybuowały, ale niedemokracje wysyłały coraz więcej żołnierzy i cywilów, aż w 2002 r. przegoniły demokracje. Dziś kontrybuują prawie dwa razy tyle co demokracje na rzecz, bądź co bądź, upowszechniania prawa międzynarodowego. Zachód zaczął dezerterować od zobowiązań członkowskich.

Złoty wiek multilateralizmu symbolicznie zakończyło porozumienie klimatyczne z 2015 r. Wtedy w Paryżu 195 stron zgodziło się zapobiec zmianom klimatu w ramach oenzetowskiego procesu. Do porozumienia doszło tylko dlatego, że oprócz dobrowolnych deklaracji państwom niczego specjalnie nie narzucono i najwięksi – USA i Chiny – się porozumieli. Dekadę później oddalamy się od celów tamtej umowy. Antyekologiczne ruchy zyskują na sile, Zieloni przegrywają, a główne koło zamachowe – USA – zupełnie wycofało się z porozumienia. ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ Nasz wirus

W Pałacu Narodów w Genewie – drugiej po Nowym Jorku siedzibie ONZ – ciągle wiszą papierowe książki telefoniczne. Budki dla delegatów z lat 70. pozasłaniano bannerami reklamującymi korzyści z wielojęzyczności. Nie sposób jednak ukryć, że organizację trapi kryzys.

W Pałacu obraduje Rada Praw Człowieka. Powołana w 2006 r. ma dwa cele: promować i chronić nasze prawa. Jednak, mimo że sesje Rady wydłużyły się z dwóch do pięciu tygodni, powołano ponad stu specjalnych przedstawicieli ds. badania konkretnych naruszeń i przyjęto tysiące raportów, prawo międzynarodowe i prawa człowieka są dziś łamane powszechnie i bezkarnie.

Przykład przyszedł z góry. Mniej więcej od wojny z terrorem Zachód spektakularnie gwałci ustanowione przez siebie pryncypia ONZ i prawo międzynarodowe. Przykłady można mnożyć. Po pierwsze, wojna w Iraku. Niesprawiedliwa agresja amerykańska, przy udziale Wielkiej Brytanii, Australii i Polski, zabrała ponad pół miliona ludzkich istnień. Jej pokłosie – wojna z terrorem, nakłanianie państw Bliskiego Wschodu i Azji do wprowadzenia drakońskich ustaw antyterrorystycznych – utrwaliło autorytaryzm na świecie i rozjątrzyło antyzachodnie nastroje.

Po drugie, politycy w Europie i USA zaczęli używać migracji, szczególnie tej uchodźczej – naturalny proces, chroniony prawem międzynarodowym – by wzbudzać w ludziach lęk i nienawiść do nie swoich. W ten sposób przygotowali ściółkę dla antydemokratów i przemocy. Pozwolili ludziom ginąć na morzu i na pustyni. Wciąż bez wstydu dzielą świat na lepszych i gorszych.

Po trzecie w końcu, Zachód przyzwala Izraelowi na likwidację Strefy Gazy, co ma znamiona zbrodni wojennych, przeciw ludzkości i ludobójstwa. Przyzwala głodzić i zabijać cywilów, ludzi bezbronnych, pod pretekstem prawa Izraela do samoobrony.

W ten sposób pozbawiliśmy się wyższości moralnej i zdeprecjonowaliśmy własne instytucje. Skompromitowani, nie umieliśmy przekonać reszty świata, że Rosję trzeba powstrzymać. Bo jeśli liderzy sami kalają swoje gniazdo, to kto ma je pielęgnować?

– *Strukturalne sprzeczności, oskarżenia o podwójne standardy, ciężar coraz liczniejszych obowiązków, wszystko to nadwerężyło prawa człowieka* – żałuje Eric Tistounet, wpływowy francuski dyplomata, były szef oddziału praw człowieka ONZ w Genewie. Mówi się, że to on w praktyce stworzył Radę Praw Człowieka. – *Żyliśmy w iluzji, że system jest mocny, ale te dwa wielkie kryzysy i odmienne, sprzeczne sposoby radzenia sobie z nimi, ujawniły kruchość budowli*. Tistounet ma tu na myśli Ukrainę i Gazę.

Rosję zawieszono w Radzie Praw Człowieka w 2022 r. Izraela podobna kara nie spotkała – sam się z tego ciała wycofał razem z USA, aktywnie deprecjonuje ONZ i jej agencje, zdelegalizował UNRWA, podsłuchuje sędziów MTK, a izraelska organizacja UN Watch szuka haków na pracowników ONZ.

Do tego doszła pandemia, która unaoczniła pustosłowie współpracy. Międzynarodowe konsorcjum COVAX miało dostarczyć potrzebującym 2 mld dawek szczepionki, ale nawet połowy nie dowieźli. Państwa pozamykały granice, produkowały i magazynowały szczepionki dla siebie, nie pozwoliły produkować ich biednym. W literaturze naukowej powszechnie używa się terminu „apartheid szczepionkowy". Wskaźnik wydanych szczepionek w państwach bogatych wyniósł 133 dawki na 100 osób, a w państwach biednych: 4 dawki na 100.

Jak daleko od ideałów odeszliśmy, widać w statystykach mordów na obrońcach praw człowieka. W 2022 r. ponad 400 zostało zabitych w porównaniu ze 136 osobami w 2014 i 50 w 2004 r. Rosną represje państw wobec NGO-sów, żeby społeczeństwo obywatelskie uciszyć. Tendencja nie dotyczy tylko państw autorytarnych – również demokracji. Globalnie pomoc rozwojowa też się zwija. Zaczęło się jeszcze przed Trumpem i likwidacją USAID. Francja, Szwecja i Niemcy ograniczyły wydatki. Wielka Brytania w 2020 r. praktycznie zamknęła departament rozwoju międzynarodowego.

Dziecko cud

W oświadczeniu USA przeciw zrównoważonym celom rozwoju ONZ pada jedno bardzo prawdziwe zdanie: „Globalistyczne przedsięwzięcia, jak Agenda 2030 i cele ONZ, przegrały przy urnach". To nie Trump narzucił Amerykanom izolacjonizm i wsobność. Potrafił sprawnie wyartykułować emocje, ale to ludzie wybrali. Czy to z relatywnej deprywacji, frustracji, samotności, czy to z popandemicznego strachu i nieufności, Amerykanie nie chcą przewodzić ani współpracować.

Świeże badanie Pew Research Center o postrzeganiu ONZ pokazuje dwie tendencje. Dobra opinia o Organizacji generalnie rośnie – spada jednak w państwach spolaryzowanych, szczególnie wśród wyborców prawicowych, co widać również w Polsce, która akurat ma tu swoje pięć minut: zwołała Radę Bezpieczeństwa. Uśredniając, 61 proc. respondentów w 25 krajach ma o ONZ pozytywne zdanie – to więcej niż rok temu. U Amerykanów widać ostry podział polityczny: tylko 37 proc. Republikanów myśli o ONZ pozytywnie, w przeciwieństwie do 81 proc. Demokratów. W Polsce dysproporcja jest mniejsza: 61 proc. „za", 26 – „przeciw", ale aż 13 proc. ankietowanych odmówiło odpowiedzi.

Choć multilateralizm ma złote lata za sobą, za wcześnie na wieczne odpoczywanie. Po pierwsze, to jest nasz kryzys: przywództwa i integracji zachodniej. Globalne Południe odgrywa coraz większą rolę w ONZ. Widzi w problemach Zachodu szansę na reformę, która lepiej odzwierciedli znaczenie biedniejszych państw świata. Może sesje Zgromadzenia Ogólnego i Rady Bezpieczeństwa z Nowego Jorku przeniosą się do Genewy, Nairobi i Wiednia? Jak w 1988 r., gdy USA nie dały wizy Jaserowi Arafatowi, więc Zgromadzenie Ogólne obradowało w Szwajcarii.

Po drugie, młodzi ankietowani bardzo dobrze myślą o Organizacji. Dzięki aktywności w sprawie izraelskiej wojny w Gazie różne agencje ONZ odzyskują widoczność – wielu dowiaduje się o nich po raz pierwszy. Uczą się o prawie międzynarodowym. Geriatryczna, nudna ONZ zmienia się w ostatni bastion sprawiedliwości.

Przy obecnym stanie świata ONZ to cud. Zaistniał w wyjątkowym momencie historii. Dziś nikt nie zgodziłby się na taką organizację. Państwa nie mogą nawet ustalić ograniczenia produkcji toreb plastikowych, a co dopiero zaakceptować skomplikowany niby-rząd światowy – sparaliżowany w decyzjach wielkich, ale aktywny w debacie i przypominaniu, co ważne.

Stefan Zweig w „Świecie wczorajszym" pisał z nostalgią: „Ale jeśli nawet iluzją tylko było to, czemu służyli nasi ojcowie, była to jednak iluzja wspaniała i szlachetna, bardziej humanistyczna i płodna niż hasła dnia dzisiejszego". Trzeba się tej iluzji trzymać, bo alternatywa nie pociąga.

PATRYCJA SASNAL

Autorka jest profesorką Kolegium Europy w Natolinie, analityczką Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i ekspertką w Komitecie Doradczym Rady Praw Człowieka ONZ.

eprasa.pl 8b5cbd649a



© MICHEL EULER/AFP/EAST NEWS

Męka władzy

Prezydent Emmanuel Macron ma nowego premiera Sébastiena Lecornu, przed którym postawił zadanie niemożliwe: naprawić to, co sam zniszczył.

JAROSŁAW KUISZ

Z wyżyn Pałacu Elizejskiego Emmanuel Macron widzi właśnie rozpad własnego projektu politycznego. Jeden premier zastępuje drugiego. Od początku 2025 r. sondaże są dla prezydenta bezlitosne. Według jednego z nich blisko 77 proc. Francuzów nie popiera działań głowy państwa. Większość zarzuca mu wyniosłość, arogancję oraz sprzyjanie bogaczom.

Prezydent Emmanuel Macron z Sébastienem Lecornu, jeszcze jako ministrem obrony

Tę agonię macronizmu widać jakby w zwolnionym tempie. Tym bardziej że źródła dzisiejszych trudności i porażek biorą się poniekąd z dawnych sukcesów. Przypomnijmy, że w 2017 r. młody polityk przebojem wdarł się na polityczne salony V Republiki. Technokrata założył ruch społeczny i znokautował w wyborach prezydenckich Marine Le Pen. To był powiew świeżości. Tama postawiona globalnej fali narodowego ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ populizmu. Pomimo potknięć, Macron w 2022 r. ponownie pokonał liderkę skrajnej prawicy.

Gdy teraz, we wrześniu 2025 r., zastanawiamy się nad kolejnym kryzysem politycznym, który trawi Francję od środka, nad szefami rządu, którzy zmieniają się jeden po drugim – za każdym razem wracamy właśnie do początków idei makronizmu. Bez tego nie sposób zrozumieć, dlaczego kolejne misje kończą się klapą, na ulice zaś wychodzą nowe fale protestujących obywateli.

Głód nowego

W 2017 r. młody Macron wyczuł, że wielkie partie centrum są wydrążone od środka. W gruncie rzeczy są bezideowe i wypełnione po brzegi konformistami, którzy tylko strzegą swoich posad jak pies ogrodnika. Zarówno centroprawica, jak i centrolewica prowadziły coraz bardziej rytualne spory o to, kto będzie dzierżyć stery kraju. W ustach polityków, jak choćby prezydenta François Hollande'a, pojawiały się co prawda hasła „zmiany", ale w oczach obywateli nic się nie zmieniło.

Francuzi tak naprawdę odczuwali coraz większe zniecierpliwienie i wyglądali czegoś nowego. Dlatego Macron porzucił protektorów, w tym niepopularnego Hollande'a, u którego był ministrem, i zaproponował likwidację dotychczasowych podziałów politycznych. Potężna partia centrowa Macrona miała w założeniu doprowadzić do marginalizacji groźnych dla kraju radykałów z prawicy i lewicy.

I to właśnie odbija się czkawką w 2025 r. Otóż pierwszy punkt planu się powiódł koncertowo. Rozbicie partii centroprawicy (Republikanie) i centrolewicy (socjaliści) poszło zdumiewająco łatwo. Oba ugrupowania nadal nie podniosły się kadrowo ani ideowo po ciosach otrzymanych od Macrona. Tymczasem to do nich prezydent musi zwracać się teraz o poparcie, by kierować krajem. Wraz z resztkami podzielonego obozu prezydenckiego to właśnie umiarkowani politycy mają dziś zapewnić chwiejne podstawy dla kolejnego gabinetu.

Dlaczego? Bo drugi punkt planu Macrona okazał się kompletną klapą. Obecnie to właśnie partie skrajne są najpotężniejszymi siłami nad Sekwaną. W dodatku siłami, które pragną wyłącznie odejścia Macrona i wszystkiego, co z nim związane.

Na prawicy ugrupowanie Le Pen, Rassemblement National (Zjednoczenie Narodowe) sondażowo jest dziś pierwszą partią w kraju. W przyspieszonych wyborach parlamentarnych mogłoby liczyć na 33–34 proc. głosów (najnowszy sondaż IFOP). Na lewicy sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana, ale gdyby doszło do zjednoczenia ugrupowań pod przewodnictwem skrajnie lewicowej partii La France Insoumise (Francja Niepokorna) Jean-Luc Mélenchona, taka koalicja mogłaby liczyć na ok. 24 proc. głosów. Z kolei w wyborach prezydenckich faworytami są dziś niezmiennie politycy Zjednoczenia Narodowego, sama Le Pen (o ile sądy pozwolą jej na start) i jej zastępca/następca Jordan Bardella.

> Nowy premier Sébastien Lecornu nie ma ani miesiąca miodowego, ani nawet dnia. Wychwalane przymioty charakteru kompromisowego polityka nie mają żadnego znaczenia dla niezadowolonych Francuzów.

Umarł premier, niech żyje premier

Po ostatnim kryzysie stanowisko premiera objął wierny współpracownik Macrona, Sébastien Lecornu, lat 39. To polityk, który raczej trzyma się w cieniu. Od 2017 r. nieprzerwanie pełnił funkcje ministerialne, zajmował się relacjami rządu z władzami lokalnymi, terytoriami zamorskimi Francji, wreszcie został ministrem obrony. Na tym stanowisku dał się poznać jako mistrz cichej dyplomacji, działania ponad podziałami i osiągania zamierzonych celów. Teoretycznie zatem to wymarzona postać na czasy kryzysowe i niestabilne rządy. Jednak tylko teoretycznie.

W czerwcu 2024 r. – po beznadziejnie słabym wyniku listy popieranej przez Macrona w eurowyborach – prezydent nagle rozwiązał parlament. Był to ruch nieoczekiwany. Zdaniem wielu kompletnie nieprzemyślany politycznie, ba, niezakomunikowany nawet własnym zwolennikom. Bo oto prezydent, zamiast spokojnie przemyśleć porażkę w wyborach do Parlamentu Europejskiego i przygotować korzystny grunt do następnych wyborów, postanowił zagrać va banque. I przegrał.

W ten sposób Macron – w żaden sposób nieprzymuszony – pozbawił się większości parlamentarnej. A radykałowie Le Pen i Mélenchon osiągnęli historycznie wysokie wyniki. W tamtych wyborach z lata 2024 r. pierwsze miejsce na podium formalnie zajęła zjednoczona lewica. Ostatecznie jednak więcej mandatów przypadło ugrupowaniom prawicowym i skrajnie prawicowym. I tak się zaczął obecny cyrk polityczny, jakiego na dobrą sprawę od początku V Republiki nigdy nie było. Posada szefa rządu stała się stanowiskiem prekaryjnym.

Ponad rok temu w chwili rozwiązania Zgromadzenia Narodowego premierem był młody Gabriel Attal. Nie dociągnął nawet roku na swoim stanowisku, ewidentnie z powodu przedwczesnego rozwiązania parlamentu przez Macrona. Później od września do grudnia 2024 r. próby wykrzesania w ławach poselskich poparcia dla rządu podejmował Michel Barnier. Po jego porażce przyszedł François Bayrou, wobec którego Marine Le Pen nie odczuwała akurat wielkiej niechęci, bo to polityk umiarkowany, katolik. Skrajna prawica zatem powstrzymywała się przed wywróceniem rządowej łódki do spółki ze skrajną lewicą. A Bayrou aż do początku września usiłował kleić i lepić zaplecze, co udawało się, dopóki na stole nie pojawiły się tematy poważne, w tym reforma budżetu i ograniczenie zadłużania się państwa.

Bayrou i ulica

Macrona nazywano kiedyś „Mozartem finansów". Do lewicowego rządu prezydenta Hollande'a przyszedł z biznesu – miał doprowadzić do sanacji bizantyjskich wydatków państwa. Gdy już sam został prezydentem, oddelegował do tego zadania jako ministra finansów Bruno Le Maire'a, który wydawał się znakomicie przygotowany do tej roli. Po latach jego pracy, od 2017 do 2024 r., okazało się jednak, że zamiast oszczędności, odkryto dziury w budżecie. Ministra Le Maire'a bardziej zajmowało chyba pisanie kolejnych powieści ze śmiałymi wątkami

eprasa.pl 8b5cbd649a

erotycznymi niż uczciwe zajmowanie się pieniędzmi państwa.

Na początku 2025 r. dług publiczny Francji sięgnął 114 proc. PKB i od tamtego czasu nadal szybko rośnie. Były już premier Bayrou poczuł się w obowiązku zaradzić temu problemowi. W ostatnich tygodniach w mediach rozpaczał nad stanem finansów kraju, lekkomyślnością rodaków oraz nad potrzebą ratowania *grandeur* Francji, gdy patrzy na nich Historia.

Rodacy mieli na ten temat jednak inne zdanie. Po ostatniej reformie emerytalnej, zgodnie z którą niemal wszyscy Francuzi stracili część przywilejów, pozostało ogromne rozgoryczenie społeczne. Ludzie wyszli masowo na ulice, ale nic to nie dało. Podniesiono wtedy wiek przejścia na emeryturę z 62 do 64 lat. Wybrany ponownie Macron nie ugiął się pod presją gwałtownie spadającego poparcia – on także uważał, że podejmuje się misji ważnej. Jak gdyby zakładał, że w demokracji rację przyznaje właśnie Historia, a nie protestująca ulica.

Coraz bardziej zmęczony Bayrou w tym duchu zaproponował cięcia budżetowe warte ok. 44 mld euro. I znów się zagotowało. 10 września na francuskie ulice wyszli protestujący pod nieumiarkowanymi hasłami „zablokowania wszystkiego". I chociaż ta kontestacja w stylu „żółtych kamizelek" z lat 2018–19 nie przyjęła tak masowej formy, jak oczekiwano, jest kolejnym wyraźnym ostrzeżeniem: naprawdę mamy dość macronowskiego establishmentu!

Nowy premier Sébastien Lecornu nie ma zatem ani miesiąca miodowego, ani nawet dnia. Wychwalane przymioty charakteru kompromisowego polityka nie mają żadnego znaczenia dla niezadowolonych Francuzów. Na ulicach od razu i jednym tchem wymieniano jego nazwisko z nazwiskami Bayrou i Macrona jako osoby do odesłania na emeryturę polityczną. Czy uda mu się skompletować poparcie w centrum, kiedyś rozbitym przez Macrona? Być może. Nie zmieni to jednak faktu, że byłaby to znów koalicja krucha jak lód na wiosnę.

Ulga po męce

Centrolewica chce rozmontowania reform emerytalnych Macrona oraz opodatkowania majątków najbogatszych Francuzów. Dalej po lewej stronie posłowie od Mélenchona żądają natychmiastowej dymisji prezydenta. Po prawej zaś Zjednoczenie Narodowe domaga się ekspresowego rozpisania nowych wyborów. O żadnym kompromisie politycznym nie ma mowy. Na 18 miesięcy przed kluczowymi wyborami prezydenckimi Macron raczej nie rozpisze wyborów parlamentarnych. Sondaże dobitnie pokazują, że mogłoby dojść do jeszcze większego rozproszenia głosów umiarkowanych i skokowej radykalizacji parlamentu.

Zatem we wrześniu 2025 r. Lecornu znów musi mozolnie kleić plankton, czyli poparcie w centrum. A w tym czasie prezydent bryluje na międzynarodowych salonach i proponuje kolejne inicjatywy pokojowe – a to dla Ukrainy, a to dla Palestyny. Prowadzi jednak ambitną politykę „na kredyt", zarówno (braku) poparcia społecznego, jak i (pustych) kieszeni. Za każdym razem z niepokojem Paryż wygląda ocen agencji ratingowych, które – jeśli zostaną obniżone – mogą sprawić, że francuski dług stanie się jeszcze droższy.

Warto zauważyć jedną prawidłowość związaną z karuzelą na francuskich stanowiskach rządowych. Otóż po chwilowym entuzjazmie przy obejmowaniu wymarzonych najwyższych funkcji w państwie u kolejnych polityków bardzo szybko przychodzi niebywałe zmęczenie. Kompromisy demokratyczne w obecnych okolicznościach parlamentarnych okazują się udręką, a budowanie planktonowego poparcia – łożem boleści. Pouczanie przez prezydenta Macrona bywa co najmniej irytujące.

Od dwóch lat nawet władza premiera w Paryżu nie daje nikomu radości. Daje ją dopiero oddanie steru rządów komuś innemu. Ulga po rządach jest widoczna tak, jak w ubiegłym tygodniu niespodziewany powrót życzliwego uśmiechu na niemłodą twarz Bayrou – właśnie wtedy, gdy oddawał władzę nowemu premierowi. Zupełnie tak, jakby mimowolnie mówił Francuzom: „A niech teraz męczy się ktoś inny". Niebezzasadnie. W tym czasie przecież na ulicach trwały starcia demonstrantów z policją. A kolejne manifestacje przed nami.

JAROSŁAW KUISZ

Autor jest redaktorem naczelnym „Kultury Liberalnej".

REKLAMA



eprasa.pl 805cbd649a

Śmierć agitatora

Dramaturgii zabójstwa Charliego Kirka nie wymyśliliby najlepsi scenarzyści politycznych thrillerów. Obóz Trumpa zyskał męczennika.

TOMASZ ZALEWSKI
Z WASZYNGTONU



Ideowy przywódca młodej amerykańskiej prawicy przemawiał na campusie uniwersytetu w stanie Utah. Jeden ze słuchaczy zapytał go, czy wie, ilu transseksualistów popełniło w ostatnich 10 latach morderstwo i ile było w tym okresie „masowych zabójstw". Kiedy mówca odpowiadał, padł strzał. Ugodzony w szyję Kirk zmarł kilka godzin później. Zabójcą okazał się 22-letni Tyler Robinson, syn policjanta. Motywy jego czynu, kiedy zamykamy te kolumny, nie są całkiem jasne, choć wiele wskazuje na to, że uważał Kirka za „faszystę" i siewcę nienawiści. Wydał go policji ktoś z rodziny, być może jego ojciec.

Wieczorem w dniu zamachu telewizja pokazała nagrane przez Donalda Trumpa czterominutowe przemówienie na cześć ofiary zamachu. Chociaż Kirk nie pełnił żadnego urzędu, prezydent nakazał opuszczenie flag na budynkach rządowych do połowy masztu. Zapowiedział też, że zabójcę czeka kara śmierci.

Prawdopodobnie zawdzięcza Kirkowi zwycięstwo w zeszłorocznych wyborach. Do niedawna młodzi Amerykanie, statystycznie biorąc, wyrażali poglądy bardziej liberalne i lewicowe niż ich rodzice i dziadkowie. Częściej niż starsze pokolenia deklarowali dystans wobec zorganizowanej religii i w wyborach głosowali w większości na kandydatów Partii Demokratycznej. Kilkanaście lat temu zaczęło się to zmieniać, w czym ogromny udział miał Charlie Kirk. Przedstawiciele generacji Z mówią, że zamordowany 10 września działacz przekonał ich, że wyznając konserwatywne ideały, „można być cool".

Kirk był wschodzącą gwiazdą amerykańskiej prawicy. Urodzony w 1993 r. na przedmieściach Chicago, już jako nastolatek, w ostatnich latach liceum, zaangażował się w promowanie tradycyjnych wartości i w kampanie republikańskich kandydatów w wyborach. W wieku 18 lat założył Turning Point USA (Punkt Zwrotny), największą dziś organizację konserwatywnych studentów. Studiował w prowincjonalnym Harper College, ale go nie ukończył, gdyż za bardzo pochłaniała go polityka. Przemawiał na wiecach, w campusach uniwersyteckich i megakościołach, głosząc pochwałę tradycyjnego heteroseksualnego i wielodzietnego małżeństwa, potępiając przerywanie ciąży i agresywne kampanie środowisk LGBT na rzecz równouprawnienia alternatywnych stylów życia. Piętnował ateizm, lewicowy ruch woke i promowaną przez niego pedagogikę wstydu za niewolnictwo i segregację rasową. Był antyszczepionkowcem, zwolennikiem teorii wielkiego spisku i autorem opinii, że „islam jest mieczem wykorzystywanym przez lewicę do podrzynania Ameryce gardła". Takie poglądy powielał w dotowanych przez zamożnych sponsorów broszurach.

Swoją organizację Kirk założył w 2012 r. i początkowo nie ufał Trumpowi, ale z czasem uznał, że nie ma lepszego przywódcy w walce z liberałami i kosmopolityczną lewicą. Rzucił jej rękawicę tam, gdzie jest najsilniejsza – na wyższych uczelniach. Przemawiając do studentów, przekonywał ich w zeszłym roku do poparcia powrotu Trumpa do Białego Domu. Jego adresowane do młodzieży radiowe audycje w cyklu „The Charlie Kirk Show" zyskały setki tysięcy słuchaczy, a powielane w cybersieci, na Instagramie i w podkastach docierały do milionów. Agitował za kluczowymi wątkami programu MAGA – deportacjami nielegalnych imigrantów, wetem dla aborcji, walką z „zieloną gospodarką", znoszeniem obowiązku szczepień i eliminacją preferencji dla mniejszości rasowych i seksualnych w zatrudnieniu i zawodowych awansach.

Uwielbiał i potrafił się spierać z dyskutantami z przeciwnego obozu. Jego charyzma i zdolność nawiązywania kontaktu ze słuchaczami zapowiadały wielką karierę politycznego przywódcy. Podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej proponował w swym programie radiowym wywiad Kamali Harris, ale kandydatka Demokratów odmówiła. Trump i J.D. Vance rozmawiali z nim wielokrotnie. Rozumieli, że zdobędą dzięki niemu głosy młodych wyborców, zwłaszcza mężczyzn. Influencerów na prawicy było i jest wielu, ale żaden nie miał na nich tak silnego wpływu jak Charlie Kirk. Może też dlatego, że 31-letni lider potrafił przeciwstawić się prezydentowi, kiedy poparł wezwania niektórych działaczy MAGA, by ujawnić detale „kartoteki Epsteina", finansisty, seksualnego drapieżcy i przyjaciela Trumpa. Wyczuwano w Kirku uczciwość i autentyzm przekonań, inaczej niż u wielu trumpistów.

Według chrześcijańskiej organizacji Intercessors for America zmarły tragicznie Kirk to „współczesny Martin Luther King", zamordowany w 1968 r. przywódca walki Afroamerykanów o prawa obywatelskie. Amerykańscy konserwatyści zyskali męczennika za sprawę.

© GAGE SKIDMORE/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a

Prawicowe media znalazły już sprawców zabójstwa – nie bezpośrednich, ale moralnie odpowiedzialnych. To liberalni publicyści i demokratyczni politycy demonizujący Trumpa i cały obóz MAGA. To za sprawą toksycznej atmosfery, jaką wytworzyli, dwóch zamachowców próbowało go zabić, kiedy kandydował do Białego Domu.

Jak napisał w „National Review" Jim Geraghty, ekstremalna retoryka lewicy przyzwala na przemoc, bo chodzi rzekomo o ratowanie amerykańskiej demokracji albo obronę słabszych przed niesprawiedliwością. Konserwatywny publicysta zacytował dziennikarkę Taylor Lorenz, która w rozmowie z telewizją CNN nazwała Luigiego Maggione, zabójcę dyrektora UnitedHealthcare Briana Thompsona, „moralnie dobrym człowiekiem". I przytoczył wypowiedź demokratycznego senatora Chrisa Murphy'ego, który oświadczył: „Nie powstrzymamy Trumpa przed zniszczeniem naszej demokracji przez politykę deeskalacji. W obliczu ognia musimy walczyć ogniem". Podobnych słów użył demokratyczny gubernator Kalifornii Gavin Newsom.

Frazeologia nienawiści i pogardy jest w USA widoczna na lewym skraju liberalno-demokratycznego obozu. W cyberprzestrzeni mnożą się porównania Trumpa do Hitlera. Jeden z umiarkowanych demokratycznych kongresmenów stał się obiektem nagonki, kiedy poparł zakaz udziału kobiet trans w damskich konkurencjach sportowych – grupy demonstrantów pod jego domem okrzyknęły go „nazistą". Już po zabójstwie Kirka publicysta „LGBT Nation" Daniel Villareal napisał, że nie zasługuje on na żałobę, bo „uważał, że geje powinni być kamienowani", nie podając żadnych cytatów na poparcie tego oskarżenia.

„Lewica prowadzi z nami wojnę", grzmi czołowy komentator Fox News Jesse Waters i wtóruje mu były główny strateg Trumpa Steve Bannon. Tak jakby konserwatyści byli jedynie ofiarami agresji i jakby przemoc groziła tylko liderom prawicy. Celem politycznego terroryzmu byli w ostatnich latach także politycy Partii Demokratycznej. W styczniu religijno-prawicowy ekstremista zastrzelił demokratyczną przewodniczącą parlamentu stanu Minnesota i jej męża oraz zranił dwoje stanowych senatorów. W kwietniu podpalono dom demokratycznego gubernatora Pensylwanii Josha Shapiro, który ocalał, bo w porę wykrył ogień i uciekł. W 2012 r. Gabby Giffords, kongresmenka z tej partii, stała się ofiarą zamachu w Arizonie, a 10 lat później w 2022 r. mąż demokratycznej przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi został ciężko pobity w swym mieszkaniu w Kalifornii.

Kirk zagorzale bronił dostępu do broni, uważał, że cena wolności „warta jest kilku zgonów rocznie". Zamach na niego wpisuje się w długi ciąg politycznych zabójstw w Stanach, od początku ich 250-letniej historii. Po tragedii w Utah przypomina się morderstwa czterech prezydentów: Lincolna, Garfielda, McKinleya i J.F. Kennedy'ego oraz nieudane zamachy na życie kilku innych, w minionym stuleciu na Harry'ego Trumana, Geralda Forda i Ronalda Reagana. Jak na modelową podobno demokrację to sporo. Czy ma to związek z kulturą przemocy rodem z zachodniego pogranicza? Przegląd wspomnianej listy ofiar dowodzi w każdym razie, że nie ma na to monopolu żadna polityczna partia ani ideologiczna orientacja. Po obu stronach obecnej zimnej wojny domowej w USA na jej marginesach pojawiają się psychopaci zdolni do wszystkiego.

W ostatnich latach, co potwierdzają statystyki, liczba incydentów politycznie motywowanej przemocy rośnie. Wzrasta wraz z nasilaniem się ekstremalnej retoryki nienawiści, demonizującej przeciwnika jako zło absolutne. Spirala tejże nakręca się wskutek przenoszenia się politycznych debat do internetu, gdzie algorytmy premiują sądy skrajne, wyraziste i emocjonalne. Nikogo to nie cieszy, po zabójstwie Kirka mnożą się głosy, by się opamiętać. „Musimy spojrzeć w lustro i obniżyć temperaturę sporów, aż przestaniemy widzieć się nawzajem jako wrogowie", powiedział były republikański senator Jeff Flake. Do wyciszenia kłótni wzywają, potępiając mord w Utah, prominentni politycy z obu partii. Polityczny terroryzm, ostrzegają, stłumi normalną debatę, jeśli nie będziemy rozmawiać w obawie przed kulą zamachowca.

Apele te prawdopodobnie trafią w próżnię. Jeśli powiada się, że retoryka nienawiści jest zaraźliwa (Ezra Klein w „NYT"), to główne ognisko zarazy mieści się w Białym Domu. W swym przemówieniu po śmierci Kirka Trump nie wezwał do stonowania języka sporu, jak republikańscy liderzy w Kongresie Mike Johnson i John Thune. O moralną odpowiedzialność za mord oskarżył „radykalną lewicę", podpowiadając propagandzistom z Fox News, jak mają tragedię interpretować. Zamiast obniżać temperaturę, dolał oliwy do ognia. Pozostał sobą, taki był i jest od początku swej prezydenckiej przygody. Cała jego strategia zasadzała się zawsze na dzieleniu społeczeństwa, judzeniu jednych przeciw drugim. To jego żywioł. Operując skrajną antagonistyczną retoryką, rozmyślnie prowokował drugą stronę, by odpowiadała tym samym, bo mógł dzięki temu argumentować, że ma rację.

Zachowanie demokratycznej opozycji jest reakcją na jego politykę w drugiej kadencji. Łapanki na latynoskie babcie i dzieci bez papierów, czystki w administracji według kryterium lojalności, odwet na przeciwnikach, wojny taryfowe i drastyczne cięcia państwowych programów zdrowotnych zrażają do prezydenta nawet „Wall Street Journal", który krytykuje go mimo sądowego pozwu. Wskutek lęku przed prezydentem kongresmenów i senatorów z republikańskiej większości i opanowania Sądu Najwyższego przez prawicę demokratyczna opozycja jest bezsilna. Pozostają jej słowa. Demokratyczni politycy, jak senator Murphy i gubernator Newsom, upominani przez konserwatywnych publicystów za ostre wypowiedzi o Trumpie, używają ich, bo domagają się tego ich wyborcy.

Michelle Obama wzywała kiedyś Demokratów, by na uderzenia poniżej pasa odpowiadali grą fair play (*If they go low, we go high*). Dziś – ostrzegają stratedzy partii – byłoby to jednostronnym rozbrojeniem w obliczu bezwzględności wroga. Dlatego trudno liczyć na stonowanie agresywnej retoryki z tej strony i deeskalację amerykańskiej wojny kulturowo-ideologicznej. Szok po zabójstwie w Utah może skłaniać do zawieszenia broni, ale rozejm będzie chwilowy. W sieci mnożą się już pogróżki i zapowiedzi zemsty za śmierć Kirka. Stąd też obawy, że jego mord może być początkiem serii, jak w 1968 r. Do obstawienia dachów na eventach z udziałem ważnych polityków nie starczy federalnych agentów, zajętych tropieniem nielegalnych imigrantów i czyszczeniem miast z bezdomnych. Zimna wojna nie skończy się, dopóki w Białym Domu urzęduje podpalacz. ■

eprasa.pl 8b5cbd649a



Strefa oryginałów

Williamsburg, kiedyś przemysłowe zaplecze Manhattanu, padł ofiarą gentryfikacji i jest dziś najmodniejszą dzielnicą Nowego Jorku. Zapłacił za to duszą.

MARIUSZ ZAWADZKI

Gentryfikacja to słowo, które moi znajomi z Nowego Jorku wymawiali z ironią albo ze złością. Od lat przeczuwali, że oni – pionierzy gentryfikacji – niedługo staną się jej ofiarami. Scenariusz jest zawsze taki sam: ludzie twórczy, artyści albo choćby tylko artystyczne dusze, osiedlają się w jakiejś zapyziałej, zdemolowanej dzielnicy. Żeby ją zmienić, dokonują cudów inwencji i wkładają masę pracy. Po latach osiągają sukces, ale przyciąga on najpierw hipsterów, czyli rzekomych oryginałów, w istocie zawsze podążających za modą, a potem – jeszcze gorzej – wielkich inwestorów z całego świata. Każda kolejna fala gentryfikacji coraz bardziej zalewa jej pionierów, aż wreszcie toną.

Nigdzie ten scenariusz nie był bardziej dramatyczny niż w Williamsburgu, najmodniejszej obecnie dzielnicy Nowego Jorku.

Zanim dotarłem do Williamsburga, musiałem przejść drogę przez mękę, która wiodła przez dolny Manhattan. Tam, na rogu ulic Broad St. i Water St., wynająłem swoje pierwsze nowojorskie mieszkanie – tylko na dwa tygodnie – żeby poszukać czegoś na stałe. Znalazłem je i zarezerwowałem zdalnie jeszcze przed przylotem. Ogłoszenie na Craigslist, czyli amerykańskiej wersji OLX, było bardzo zachęcające: duży apartament na piątym piętrze historycznej kamienicy, z widokiem na Statuę Wolności, za jedyne 1 tys. dol. tygodniowo. Biorąc pod uwagę manhattańskie realia – prawdziwa okazja.

Przezornie sprawdziłem właściciela mieszkania w internecie. Był to inżynier w wieku lat 40. Pracował w urzędzie miasta, gdzie zajmował się optymalizacją sygnalizacji świetlnej, czyli ustawiał zmiany świateł tak, żeby przepustowość ulic była jak największa. Uznałem, że takiemu człowiekowi można zaufać, i wysłałem mu certyfikowany czek (bo taka przedpotopowa metoda rezerwacji jest w Ameryce wciąż preferowana).

Po długim i wyczerpującym locie stanęliśmy przed drzwiami kamienicy – ja z bagażami, moja żona z dwuletnią córką na rękach – i zadzwoniliśmy domofonem. Inżynier zszedł do nas wyraźnie zażenowany i oświadczył, że nie może nas na razie wpuścić do mieszkania, bo jego honey, czyli ukochana, niespodziewanie nie zgodziła się wyprowadzić. – Zostawcie bagaże w mieszkaniu i dajcie mi kilka godzin, a ja przekonam honey i wszystko będzie dobrze.

A zatem zostawiliśmy bagaże i kilka godzin błąkaliśmy się po dzielnicy Wall Street, gdzie znajduje się owa absurdalna kamienica z XVIII w., otoczona ze wszystkich stron wieżowcami. Kiedy wróciliśmy, inżynier jeszcze bardziej przepraszającym tonem wyjaśnił, że honey, niestety,

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8b5cbd649a



Williamsburg, za rzeką East River widok na Manhattan

nie dała się przekonać do wyprowadzki, ale na szczęście zgodziła się, żebyśmy przez pewien czas zamieszkali razem.

Nie był to optymalny scenariusz, szczególnie uwzględniając wysokość czynszu, ale cóż było robić? Nawet najpodlejsze hotele w okolicy kosztowały kilkaset dolarów za noc.

Kohabitacja była technicznie możliwa, ponieważ mieszkanie składało się z dwóch pokoi – małej sypialni, w której mieszkali inżynier z honey, oraz dużego salonu z kuchnią, chyba z 50 m kw., w którym mieszkaliśmy my. Sypialnia i salon wychodziły na przedpokój, w którym znajdowały się drzwi wejściowe i drzwi do łazienki. Nigdy nie widzieliśmy honey, czuliśmy jedynie woń marihuany, która nieprzerwanie dochodziła z sypialni, oraz słyszeliśmy jej krzyki do inżyniera: – Jak im się nie podoba, to niech się wynoszą!

Po dwóch dniach honey wreszcie zgodziła się wyprowadzić. W korytarzu zobaczyłem ją pierwszy i jedyny raz w życiu – była zjawiskowo piękna, ale wychudzona i wyniszczona jak pacjenci w zaawansowanym stadium AIDS.

Odetchnęliśmy z ulgą, ale przedwcześnie! Trzeciego dnia spotkałem w naszej łazience niewysokiego, młodego mężczyznę z Bangladeszu, jak się później okazało – dilera marihuany i zarazem naszego sąsiada z mieszkania obok. Kiedy oburzony zadzwoniłem do inżyniera i zażądałem wyjaśnień, odparł zdziwiony: – Przecież nigdzie w ogłoszeniu nie było napisane, że łazienka jest prywatna. Sąsiad ma klucze do mieszkania i korzysta z łazienki, bo u niego łazienka się zepsuła!

Zajrzałem ponownie do ogłoszenia i musiałem przyznać inżynierowi rację: faktycznie nie napisał, że „łazienka jest prywatna". W następnych dniach często wychodziliśmy na dach kamienicy, skąd istotnie widać było Statuę Wolności. Ale była bardzo daleko i wydawała się malutka w porównaniu z wielkimi dziwactwami inżyniera, honey i dilera z Bangladeszu.

Na szczęście dwa trudne tygodnie na Wall Street nie poszły na marne. W tym czasie znaleźliśmy – również na Craigslist – naszą stałą przystań w Nowym Jorku. Był to loft w dawnej fabryce makaronu w Williamsburgu, pod adresem 475 Kent Ave, nad samym brzegiem rzeki East River. Znajdował się na przedostatnim, dziewiątym piętrze budynku. Ściany i podłoga z surowego, szlifowanego betonu podkreślały industrialny rodowód mieszkania. Ale największą jego atrakcją były wielkie okna od podłogi do sufitu, z których rozciągał się niesamowity widok na cały Manhattan (widok z daleka to najlepsze, co Manhattan ma do zaoferowania).

Nie wynajęliśmy tego mieszkania bezpośrednio od właściciela, tylko od lokatorów, którzy sami je od kilkunastu lat wynajmowali. Było to małżeństwo artystów. Mieli letni domek w górach i co roku spędzali tam całe wakacje. W tym czasie, czyli od połowy czerwca do września, zawsze podnajmowali loft za cenę znacznie wyższą, niż sami płacili.

Taki układ – lokatorzy, którzy na kilka tygodni podnajmują mieszkanie sublokatorom – jest dość popularny, choć nielegalny. Prawie połowa mieszkań w Nowym Jorku (w tym lofty w fabryce makaronu) ma tzw. czynsz stabilizowany, tzn. właściciele nie mogą go podnosić o więcej niż 3 proc. rocznie. To chroni lokatorów, ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ ale szkodzi właścicielom, bo rynkowe ceny wynajmu rosną znacznie szybciej. Teoretycznie lokatorzy nie mają prawa podnajmować mieszkania sublokatorom, ale w praktyce trudno ten zakaz egzekwować. Lokatorzy zawsze mogą stwierdzić, że zaprosili do siebie znajomych. Artyści poinstruowali nas, że tak właśnie mamy mówić właścicielowi budynku, gdyby nas wypytywał.

Konspiracja nie była potrzebna, bo właściciel budynku nigdy nas o nic nie wypytywał, choć widywaliśmy go często. Był to archetypiczny Żyd, jakby żywcem przeniesiony z musicalu „Skrzypek na dachu". Nazywał się Nachman Brach. Postawny, z dużym brzuchem i siwą brodą, w jarmułce, w drucianych okularach, białej koszuli i spodniach zwisających na szerokich szelkach. Początkowo brałem go za dozorcę, bo czasami kręcił się przy wejściu budynku ze szczotką i zamiatał (uprzedzając fakty – kilka lat później sprzedał swój budynek za 56 mln dol.).

Fabryka została zbudowana jakieś sto lat temu przez rodzinę imigrantów z Sycylii, którzy stworzyli La Rosa and Sons Macaroni Company. Protoplasta rodu Vincenzo La Rosa uchodził za innowatora, bo jako pierwszy w Nowym Jorku sprzedawał makaron pakowany, a nie luzem. W tamtych czasach Williamsburg był przemysłowym zapleczem Manhattanu, zamieszkanym głównie przez robotników z Europy i ortodoksyjnych Żydów, którzy uciekli przed pogromami w carskiej Rosji na przełomie XIX i XX w. Po wojnie dołączyli do nich imigranci z Portoryko, którzy stali się najtańszą siłą roboczą.

Kiedy w latach 80. Nachman Brach odkupił budynek od rodziny La Rosa, tamte dobre czasy były już odległą przeszłością. Williamsburg był wtedy jedną z najgorszych dzielnic Nowego Jorku. Przemysł upadł, dawne fabryki zamieniły się w opuszczone rudery, które straszyły powybijanymi szybami w oknach. Przestępczość biła rekordy. Na ulicy stały spalone samochody.

Początkowo Brach wykorzystywał budynek jako magazyn. Ale w 1997 r. podpisał umowę z grupką artystów, którzy zaproponowali, że zamienią przestrzeń magazynową w swoje pracownie i mieszkania. Sami układali rury, wstawiali ściany działowe, uzupełniali brakujące szyby w oknach i montowali kaloryfery. Pionierzy ściągnęli znajomych, dla których czynsze w artystycznej dzielnicy Soho na Manhattanie były za wysokie. Po trzech latach w dawnej fabryce makaronu mieszkało już 200 osób. – *Stworzyliśmy wertykalną wioskę artystyczną* – mówi Eve Sussman, reżyserka awangardowych filmów krótkometrażowych, która była moją sąsiadką.

11 września 2001 r. mieszkańcy wertykalnej wioski zebrali się na dachu i z przerażeniem patrzyli, jak walą się wieżowce Twin Towers, w które uderzyły samoloty pasażerskie przejęte przez terrorystów. Był tam też Robert Clark, fotograf „National Geographic", wtedy lokator budynku, który zrobił serię zdjęć drugiego samolotu zbliżającego się do wieży.

Z biegiem lat Williamsburg stawał się modny. Masowo osiedlali się tutaj hipsterzy, szczególnie w północnej części dzielnicy, gdzie dochodzi metro. Robiło się bardzo gwarno i... coraz drożej. Południowa część dzielnicy, gdzie stoi 475 Kent Ave, zawsze była spokojniejsza. Artyści byli otoczeni przez osiedla ortodoksyjnych Żydów, ale również tutaj dotarły zmiany. Z nimi pojawiło się napięcie na tle finansowym. Czynsze, które Brach pobierał od artystów zaludniających jego budynek, coraz bardziej odstawały od rynkowych realiów.

W styczniu 2008 r. przed 475 Kent Ave zajechało kilka wozów straży pożarnej, policji i jeszcze kilku innych służb miejskich. Funkcjonariusze oświadczyli, że wszyscy muszą natychmiast opuścić budynek, bo przebywanie w nim grozi śmiercią. Artyści zostali wyrzuceni na mróz, niektórzy z małymi dziećmi. Ich lofty zaplombowano, podobnie jak główne wejście. Zrobiła się z tego wielka drama, masową eksmisję transmitowały nowojorskie lokalne telewizje, a Eve Sussman udzielała wywiadów jako rzeczniczka lokatorów.

Przyczyną eksmisji była nielegalna piekarnia macy, którą Brach utrzymywał na parterze. Prawie zawsze stała nieczynna, uruchamiał ją tylko raz do roku przed żydowskim świętem Paschy, żeby wypiec macę dla ortodoksyjnych dziewczynek z pobliskiej szkoły. Akurat tamtej zimy ktoś złożył donos, przyjechała inspekcja, która stwierdziła, że piekarnia nie spełnia wymogów bhp, a dwa wielkie silosy na pszenicę mogą – jak twierdzili strażacy – eksplodować.

Bezpieczniej byłoby, gdyby pszenica była przechowywana w mniejszych zbiornikach, ale Brach uważał, że to kłopotliwe, bo przed ugnieceniem mąki pszenicę musi poświęcić rabin. Dzięki temu, że były tylko dwa wielkie silosy, rabin odprawiał ceremonię jedynie dwa razy.



© CAROLYN COLE/LOS ANGELES TIMES/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

Część mieszkańców 475 Kent Ave podejrzewa, że anonimem, który złożył donos, był... Nachman Brach. W ten sposób doprowadził do opróżnienia budynku.

Wyrzuceni lokatorzy przez kilka miesięcy składali petycje i podania do najróżniejszych urzędów, aż wreszcie – po zainstalowaniu nowego systemu spryskiwaczy na wypadek pożaru – dostali pozwolenie na powrót do mieszkań. Potem już zawsze żyli w niepewności.

Na Kent Ave wracaliśmy co roku; artyści spędzali lato w górach, a my w ich mieszkaniu. Nie wszystkim się to podobało. Moja teściowa, kiedy przyjechała nas odwiedzić, narzekała, że zmuszam jej córkę do mieszkania w fabrycznym magazynie. Ale inni byli raczej nastawieni pozytywnie. W sierpniu 2013 r. przez kilka tygodni naszym sąsiadem był Bill Murray, aktor znany z takich filmów, jak „Łowcy duchów", „Dzień świstaka" czy „Między słowami". Podobnie jak my podnajął loft

eprasa.pl 8b5cbd649a





Od lewej: **Williamsburg upodobali sobie artyści, pełno tu murali i graffiti. Stara fabryka cukru – niegdyś dzielnica była przemysłowym zapleczem Manhattanu.**

od któregoś z lokatorów. Często spotykaliśmy na korytarzu jakieś modelki, które miały sesje zdjęciowe na dachu.

Zawsze czułem się tam jak na planie filmu. Najbardziej wtedy, kiedy psuła się winda i musieliśmy używać towarowej, znajdującej się na tyłach budynku. Jej operatorem, a jednocześnie dozorcą budynku, był Jose, niski mężczyzna z wielkim garbem na plecach, z pochodzenia Portorykańczyk, który wyglądał jak asystent Frankensteina z pastiszowej komedii Mela Brooksa „Młody Frankenstein".

Winda towarowa nie miała żadnych drzwi ani przycisków, a jedynie wajchę, którą Jose przechylał w górę albo w dół. Miał w tym dużą wprawę, ale był dość nonszalancki, dlatego jazda z nim zawsze była emocjonująca i nigdy nie było pewne, czy zatrzyma windę równo z poziomem piętra.

W 2017 r. Brach sprzedał budynek wielkiej izraelskiej firmie deweloperskiej. Nowy właściciel próbował się pozbyć artystów, ale chroniło ich prawo. Lokatora, który płaci czynsz, nie wolno wyrzucić, a czynszu nie wolno podnieść o więcej niż 3 proc. Artyści dostawali więc oferty w rodzaju: „Wyprowadź się, a damy ci na pożegnanie 100 tys. dol. w prezencie". Niektórzy się skusili. Właścicielowi to się opłacało, bo opuszczone mieszkania odnowił i wynajął po cenach rynkowych – niektóre nawet po 12 tys. dol. za miesiąc.

Pionierzy, tacy jak Eve, nie dali się jednak wykurzyć, co jest trochę zwycięstwem pyrrusowym, bo wszystko dookoła się zmieniło. Fasada budynku i korytarze zostały odnowione. Pojawili się nowi sąsiedzi. Eve pisze mi o tym w mailach: „Publiczne przestrzenie zostały zamienione w białe pudełka pseudoluksusu, które poukładano, żeby przyciągnąć specyficzny typ ludzi: boty i cyborgi w ubraniach athleisure, z ich stylem życia z kolorowych magazynów i z ich wymodelowanymi pieskami. Są wszędzie, czasami czuję się jak statystka w animowanym katalogu wizualizacji architektonicznych".

Williamsburg stał się chyba już droższy niż Manhattan, ma swój Apple Store i ekskluzywny sieciowy supermarket Whole Foods z organiczną żywnością. Jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, po drugiej stronie ulicy Kent Ave zbudowano dwa 22-piętrowe przeszklone bloki mieszkalne, które zasłoniły mieszkańcom dawnej fabryki widok na Manhattan.

Za to wszystko artyści obwiniają władze Nowego Jorku, które oferują wielkim firmom budowlanym ulgi – np. zwolnienie z podatku od nieruchomości na 20 lat – i w ten sposób stymulują powstawanie megabloków. Tę politykę zapoczątkował miliarder Michael Bloomberg, który był burmistrzem w latach 2002–13. Jej skutek jest taki, że Williamsburg traci swój unikatowy charakter. Został poddany, jak mówi Eve, „bloombergizacji". Niektórzy z pionierów rozważają wyprowadzkę do Bushwicku, sąsiedniej dzielnicy, w której proces bloombergizacji jeszcze się nie rozpoczął.

Zapewne mają rację: Nowy Jork szybko się zmienia i często na gorsze, ale coś jednak pozostaje w nim niezmienne. Nadal jest największym na świecie skupiskiem oryginałów. Nigdzie indziej nie spotkacie we własnej łazience dilera z Bangladeszu ani garbusa nonszalancko sterującego waszą windą czy multimilionera, który zamiata przed wejściem do swojego budynku.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 8b5cbd649a

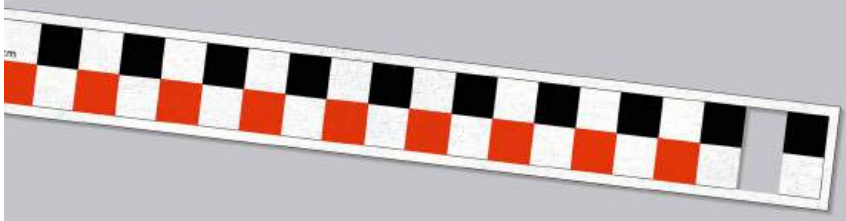

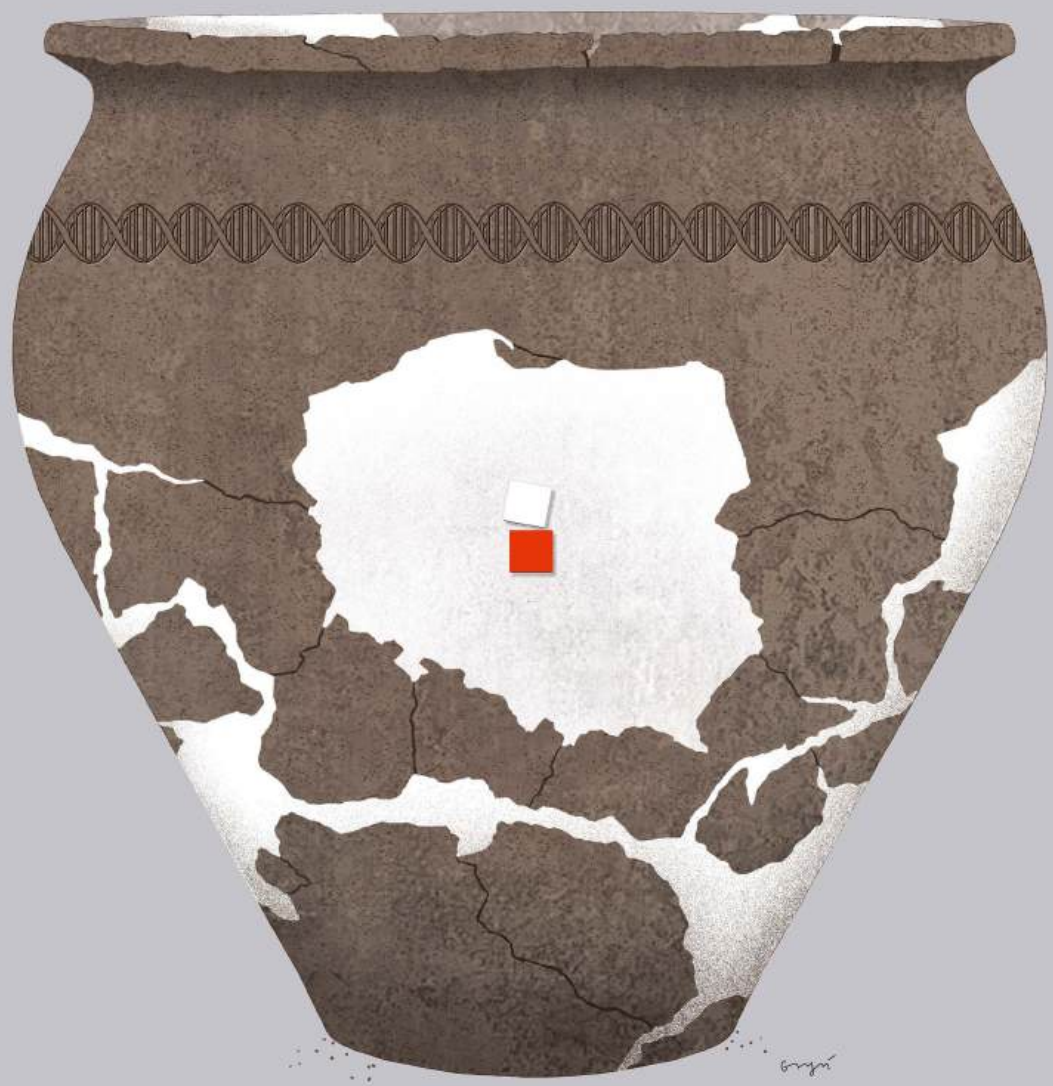

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Słowiańskie zwierciadło

„Historię trzeba napisać na nowo”, „A jednak migracja”, „Badacze rozwikłali trudną zagadkę”. Takie nagłówki pojawiają się w mediach. Tymczasem „sensacyjne” badania wyjaśniające pochodzenie Słowian jedynie odświeżyły toczony od XIX w. spór.

eprasa.pl 8b5cbd649a

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Gdy w Gródku nad Bugiem w 2019 r. archeolodzy odkryli jamę ze szczątkami małych dzieci, chcieli po prostu dowiedzieć się, dlaczego zmarły i czy były spokrewnione. Ponieważ szef tego zespołu prof. Marcin Wołoszyn z Uniwersytetu Rzeszowskiego pracuje również w Leibniz-Institut w Lipsku, próbki trafiły od razu do znajdującego się po sąsiedzku słynnego Instytutu Maxa Plancka. – *Nie myśleliśmy wówczas o wędrówkach Słowian, choć miejsce było doskonałe* – tłumaczy archeolog. – *Do V w. mieszkała tu ludność germańska, co dokumentuje niemal 200 pochówków szkieletowych. Dopiero później Słowianie zbudowali tu twierdzę Wołyń, u której stóp w 1018 r. Bolesław Chrobry pokonał Jarosława Mądrego.*

Datowania radiowęglowe z trzech laboratoriów wykazały jednak, że dzieci żyły w VIII/IX w., w czasach dominacji Słowian, którzy przecież swoich zmarłych palili. Dlatego pozostałościami ich ciał zainteresowali się badacze z HistoGenes.

Nie stąd nasz ród

Ten międzynarodowy projekt rekonstruuje dzieje Europy Środkowej w okresie wędrówek ludów, czyli między 400 a 900 r. Najnowsze wyniki ich badań zostały opublikowane 3 września w „Nature". Do Lipska trafiło w sumie 555 genomów, z czego 359 z kontekstów wczesnosłowiańskich. 154 datowane na X–XII w. pochodziły z kilku cmentarzysk w Turyngii. Joscha Gretzinger, Zuzana Hofmanová i Johannes Krause porównali je z DNA wcześniej żyjących w regionie Germanów. Okazało się, że różnią się one w ponad 80 proc. W Turyngii musiało zatem dojść do radykalnej wymiany ludności. Co więcej, w grobach spoczywali obok siebie krewni, co oznacza, że migrowały całe rodziny.

Przeanalizowano też szczątki z grobów w Líbivá i Pohansko na Morawach. I w tym przypadku ustalenia potwierdzają podobny charakter wymiany ludności. Nieco inaczej było na Bałkanach. Próbki pobrane z chorwackiego stanowiska Velim wskazywały na pojawienie się nowych populacji, ale też procesy asymilacji ze starymi mieszkańcami wybrzeża Adriatyku. – *Napływający Słowianie musieli postrzegać świat rzymski jako atrakcyjny, więc woleli się weń wtopić, niż zniszczyć go do cna* – tłumaczy Hofmanová.

A co z ziemiami dzisiejszej Polski? Ponieważ nie ma u nas wczesnosłowiańskich szkieletów, te znalezione w Gródku były szczęśliwym zrządzeniem losu. Nie dość, że pochodzą ze stanowiska tuż przy granicy z Białorusią i Ukrainą, gdzie lokalizuje się kolebkę Słowian, to jeszcze udało się pozyskać z nich DNA. Okazało się, że ich geny różnią się od tych ludności wcześniej zamieszkującej okolice Gródka, i to nawet nieznacznie bardziej niż w Turyngii czy na Morawach. Według autorów tekstu w „Nature" potwierdza to allochtoniczną wersję dziejów: Słowianie nie byli odwiecznymi mieszkańcami Europy Środkowej, lecz przybyli ze wschodu i nadali jej nowe oblicze kulturowo-językowe. I to szybko, bo analizy segmentów genomu służących do sprawdzania pokrewieństwa (*Identity by Descent,* IBD) wykazały, że geograficznie odległe grupy z Turyngii, Polski, Czech i Chorwacji miały wspólnych przodków zaledwie kilka pokoleń wstecz.

Nie damy pogrześć bytu

Rezultaty tych badań nie zelektryzowałyby tak polskich mediów, gdyby nie praca zespołu prof. Marka Figlerowicza z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, opublikowana w 2023 r. w „Genom Biology". Nasi badacze przekonywali w niej, że do ukształtowania się ludności ziem polskich w czasach Piastów migracja Słowian nie była potrzebna. Poznańscy genetycy przeanalizowali dane genomowe niemal 200 osób z 27 stanowisk – cmentarzysk kultury wielbarskiej (utożsamianej z Gotami) oraz nekropolii z X–XIII w. I stwierdzili, że wczesnośredniowieczne populacje powstały na bazie komponentu miejscowego. W ich DNA są ślady po Gotach, a zapewne i innych ludach germańskich zamieszkujących ziemie polskie w pierwszej połowie I tysiąclecia. Poznańscy badacze nie wykluczyli co prawda napływu ludności w VI–VII w. Natomiast autorzy artykułu w „Nature", którzy wykorzystali uzyskane przez polskich badaczy dane, twierdzą, że doszło do masowej migracji Słowian.

Dr Ireneusz Stolarek, jeden z autorów publikacji sprzed dwóch lat, podkreśla, że w genetyce populacyjnej nie ma możliwości weryfikowania hipotez. – *Wyniki przedstawione w tabelach w artykule w „Nature" są zbieżne z naszymi. Można je jednak dopasować do założeń badawczych poprzez podkreślanie jednych danych i pomijanie innych* – stwierdza. – *My chcieliśmy sprawdzić, czy Goci, niebędący lokalnymi mieszkańcami tych ziem, posiadali lokalną domieszkę genetyczną i czym ta domieszka mogła być.* Ale wnioskiem podkreślanym w mediach była obecność starych genów u mieszkańców państwa Piastów. Z tym, że udowodnienie kontynuacji genetycznej nie jest zaskoczeniem: nie wszyscy Germanie zniknęli, zwłaszcza w Wielkopolsce czy na Kujawach – podkreśla dr hab. Dariusz Błaszczyk z Wydziału Archeologii UW. – *Tam komponent germański jest silniejszy niż na południu Polski, a od XII w. dodatkowo napływali osadnicy z Niemiec. Inkorporację tzw. Restgermanów widać w materiale archeologicznym: na południu występuje czysto słowiańska kultura praska z prostą ceramiką lepioną ręcznie, podczas gdy w Meklemburgii i na Pomorzu rozwija się kultura Sukow-Dziedzice z garnkami toczonymi na kole, czyli w technice, którą wcześniej stosowały ludy germańskie.*

Poznańskie badania sugerowały też, że kobiety były miejscowe, a potencjalnymi przybyszami byli głównie mężczyźni. Wnioski oparto jednak na DNA mitochondrialnym, a to marker o znacznie mniejszej rozdzielczości niż chromosom Y czy dziedziczone po dwojgu rodzicach DNA autosomalne – zauważa Michał Golubiński, genetyk z UW i od niedawna współpracownik zespołu prof. Figlerowicza. – *Rozkład makrohaplogrup mitochondrialnych H, U czy J jest do dziś niemal taki sam w całej Europie. Są zbyt ogólne, by wskazywać na lokalne pochodzenie. Dopiero analiza młodszych mutacji pozwala uchwycić subtelniejsze różnice geograficzne i czasowe.*

Oczywiście w dyskusji pojawia się słynna haplogrupa R1a na chromosomie Y. Linia ta występuje w całej Europie ▶

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ i Azji – od Indii po Afganistan. Powstała ponad 20 tys. lat temu i zmutowała już 2 tys. lat później. Za słowiańską uchodzi gałąź M458, ale i to jest uproszczenie, bo wyodrębniła się ok. 5 tys. lat temu, kiedy jeszcze żadnych Słowian nie było. – *Od 50 do 60 proc. Polaków to nosiciele haplogrupy R1a, a słowiańską mutację ma zaledwie 20–25 proc. z nich. Moja rodzina po mieczu może się wywodzić z Restgermanów, bo ma uważaną za germańską haplogrupę R1b-Z17913, co nie znaczy, że nie czujemy się Polakami* – podkreśla Golubiński. A dr Błaszczyk, który sam ma na chromosomie Y haplogrupę R1a M458, dodaje: – *Nie interesuje mnie udowadnianie, że Słowianie są tu od zawsze. Jestem badaczem i ciekawi mnie po prostu, jak było, a archeologia pokazuje, że kiedyś mieszkali tu Germanie, a później zastąpili ich Słowianie.*

Czy w takim razie istnieje gen słowiański? Nie, bo każdy genom jest mozaiką informacji genetycznych pochodzących od różnych przodków i pewne jest, że ludzie o różnym pochodzeniu kulturowym zawsze się ze sobą mieszali. – *Zaobserwowaliśmy jednak, że szczątki osobników z kultur wczesnosłowiańskich mają podobne*



Szczątki dzieci z Gródka nad Bugiem to najstarsze kości z czasów słowiańskich, z których udało się pozyskać DNA

składniki genomu, który nie występował w dużych ilościach w Europie Środkowej we wcześniejszych epokach, tylko wywodzi się z obszarów nadbałtyckich – tłumaczy Hofmanová. – *Porównując współczesne i kopalne DNA, doszliśmy do wniosku, że ten „słowiański miks" ukształtował się na terenie dzisiejszej Ukrainy i Białorusi. Jednak by tę hipotezę zweryfikować, potrzebujemy tamtejszych próbek, których jest jak na lekarstwo. W dodatku trwa wojna.*

Królewski szczep dyskusyjny

Badania genetyków ożywiły spór o allochtonizm i autochtonizm Słowian. Toczy się on od ponad stu lat, czyli od czasów, kiedy archeologia była mocno uwikłana w geopolitykę i ideologie narodowe. Po jednej stronie stał Niemiec Gustaf Kossinna, który utożsamiał zasięgi kultur archeologicznych z obszarami zamieszkania konkretnych „ludów". Według niego ziemie dzisiejszej Polski od wieków należały do Germanów, co wpisywało się w roszczenia i koncepcję „Drang nach Osten". Po drugiej stronie sytuował się uczeń Kossinny Józef Kostrzewski. Według niego to Słowianie byli odwiecznymi mieszkańcami ziem polskich – doszukiwał się ich śladów w istniejącej już w I tysiącleciu p.n.e. kulturze łużyckiej i w badanym przez siebie Biskupinie.

Po drugiej wojnie światowej, a zwłaszcza w ostatnich dekadach, okres wędrówek ludów przestano sobie wyobrażać jako przemieszczanie się całych populacji. Pojawiła się narracja o transformacji świata rzymskiego. W Polsce spór między allochtonistami a autochtonistami jednak trwał. Podczas gdy krakowski archeolog prof. Kazimierz Godłowski twierdził, że Słowianie przybyli nad Wisłę w VI w. znad Dniepru i Prypeci, archeolodzy poznańscy kontynuowali tradycję Kostrzewskiego, starając się dowieść ciągłości osadniczej od epoki brązu po średniowiecze. Badania zespołu prof. Figlerowicza wpisują się zaś w nurt podkreślający wagę transformacji. Taka interpretacja pasuje tym badaczom, którzy w słowiańskości widzą niepowiązany z genami sposób życia, doskonale sprawdzający się w ciężkich czasach. W Polsce jest nim choćby prof. Przemysław Urbańczyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, który za jedną z głównych przyczyn zmian kulturowych uważa ochłodzenie klimatu wywołane erupcjami wulkanów w VI w.

Prof. Wołoszyn jak większość archeologów powątpiewa, by tak wyraźna zmiana kulturowa mogła się odbyć bez udziału nowych ludzi. – *Jesteśmy dużo bardziej sceptyczni co do wiarygodności archeologii w zakresie studiów nad etnicznością* – tłumaczy. – *Wiemy o zmianach klimatycznych i epidemiach VI w., niektórzy wskazują na rolę Bizancjum jako ośrodka, który „wymyślił" Słowian. Według nas napływ ludzi był ważniejszy. Co ciekawe, wśród autorów naszego artykułu jest emerytowany prof. Walter Pohl z Österreichische Akademie der Wissenschaften i Patric Geary z Princeton University, którzy zawsze ostrożnie podchodzili do wizji masowych wędrówek. Artykuł zaś poprzedza komentarz Steffena Patzolda z Eberhard Karls Universität Tübingen, historyka młodszej generacji, znanego z ograniczonej wiary w proste rekonstrukcje wędrówek przez paleogenetyków. Naprawdę nie ma wśród nas apologetów Kossinny.*

Czy wizja przybycia Słowian w miejsce Germanów dopiero w VI w. jakoś nas boli? Czy neguje nasze prawo do ziem zachodnich? A może słowiańskość obrazi Niemców? Dla Alternative für Deutschland (AfD) tożsamość etniczna twórców kultury przeworskiej nie ma większego znaczenia – przekonuje prof. Wołoszyn – choć nasza radykalna prawica może uznać polskich autorów tekstu w „Nature" za zdrajców. – *Co jest zabawne, ponieważ prof. Godłowski, twórca koncepcji o pojawieniu się Słowian w germańskiej Europie Środkowej w VI w., raczej nie byłby dziś gościem liberalnych salonów. Zarzut ulegania niemieckiej narracji miałby więc w jego przypadku posmak groteskowy* – śmieje się prof. Wołoszyn. – *Zgadzam się z tym, co pisze Michał Bilewicz w „Traumalandzie" o skutkach traumy rozbiorów i drugiej wojny – myślę, że nasza obsesyjna chęć bycia na terenie ziem polskich od zawsze to jej pochodna. Aby na nasze granice patrzeć ze spokojem, nie potrzeba nam innej archeologii czy genetyki, tylko pokoleń dorastających w wolnej i bezpiecznej Polsce.*

Większym problemem może być instrumentalizacja Słowiańszczyzny i konstruktu, jakim jest odwieczna jedność Słowian, w wykonaniu Putina. Łatwo sobie wyobrazić, że rosyjski autokrata, który lubi wykorzystywać w swojej agresywnej polityce własną, opartą na mitach, wizję historii, mając „twarde dowody naukowe", obierze sobie za cel już nie tylko chęć kontroli kolebki Słowian (Ukraina), ale i całej Słowiańszczyzny. A to położy się cieniem na naszym poczuciu bezpieczeństwa. Jeśli jednak Władimir Władimirowicz dobrze wczytałaby się w artykuł w „Nature", bardzo by się zawiódł. Z analiz genomów z cmentarzysk z późnego antyku i wczesnego średniowiecza z dorzecza Wołgi i Oki wynika, że słowiańska wymiana genetyczna wynosiła tam ok. 65 proc. Czyli region ten stanowił raczej

eprasa.pl 8b5cbd649a

strefę kontaktu i mieszania się populacji, w której elementy lokalne utrzymały się znacznie silniej niż na zachodzie – głównym kierunku migracji Słowian.

Poczucie bycia Słowianinem nigdy tak do końca nie było tylko kwestią genów – dzieci polskich migrantów, które urodziły się i żyją za granicą, zazwyczaj lepiej mówią językiem kraju, w którym mieszkają i z nim się identyfikują. – *Znaleziona parę lat temu w słowiańskiej chacie w Břeclav-Lány na Morawach kość z germańskimi runami dowodzi, że w okresie wędrówek ludów bariery językowe i granice także były stale przekraczane, a podział na homogeniczne grupy Awarów, Germanów czy Słowian w dużej mierze wydaje się konstruktem powstałym w XIX w.* – zauważa Hofmanová, która zajmuje się też badaniem Awarów w Kotlinie Karpackiej i ich roli w procesie slawizacji.

Nie zabrzmi złoty róg

Autorzy prac z 2023 r. i tej najnowszej są pewni, że wyniki ich badań będą wielokrotnie oceniane, krytykowane i uzupełniane. Na tym polega nauka, która stale się rozwija i dysponuje coraz lepszymi narzędziami. – *Błędy w starych publikacjach wynikają z niedoskonałych metod, czasami złych interpretacji* – mówi Michał Golubiński. – *Dobrze opracowane, surowe dane żyją dalej i kolejni naukowcy będą je wykorzystywać. Dlatego nawet jeśli gdzieś ktoś wyciągnie błędne wnioski, można je wyprostować, badając to samo zagadnienie nowszymi metodami, na większych zbiorach próbek.*

Trzeba się przygotować, że prostych i pewnych odpowiedzi nigdy nie uda się udzielić. Co rusz będą się zaś pojawiać nowe ustalenia, które mniej lub bardziej radykalnie będą zmieniać ustaloną już wizję przeszłości. Na pewno jednak nie należy genetyki uważać za nieomylną wyrocznię – jest ona tylko jednym z narzędzi w badaniu dziejów. – *Nadal jest tak, że łatwiej w „Nature" czy „Science" opublikować artykuł paleogenetyczny niż archeologiczny. I nawet jeśli czasopisma te to nie biblie, to czas najwyższy, by archeolodzy uczyli się, jak czytać dane dotyczące DNA czy klimatu, bo inaczej będą się gubić w tym, co im przynoszą genetycy, biolodzy czy fizycy* – przestrzega dr Wołoszyn. Zbliżenie się do prawdy może być możliwe tylko dzięki interdyscyplinarności, współpracy i zrozumieniu specjalistów i języka różnych dziedzin. W projekcie HistoGenes poza genetykami byli też archeolodzy, antropolodzy, mediewiści i politolodzy. Wyniki analiz zostały wspólnie wielokrotnie omówione, bo wszyscy byli zaskoczeni ich jednorodnością. Dr Hofmanová podkreśla jednak: – *Wobec ubóstwa danych historia wczesnych Słowian zawsze pozostanie tylko bardziej lub mniej prawdopodobną rekonstrukcją. Genetyka nigdy nie odpowie, jakim językiem ktoś się posługiwał albo z jaką kulturą się utożsamiał.*

Dzieje Słowian to lustro, w którym przeglądamy się od ponad stu lat. Każdy widzi w nim to, co chce: ciągłość albo migrację, kolebkę albo wędrówkę. Spór trwa i pewnie długo się nie skończy, bo dotyczy nie tylko dawnych szczątków, lecz także naszej współczesnej tożsamości i potrzeby zakorzenienia. Nawet jeśli nauka coraz bardziej zbliża nas do poznania odpowiedzi, przeszłość dla wielu to nadal opowieść życzeniowa. Może właśnie dlatego pytanie o początki Słowian nigdy nie przestanie być ważniejsze od samej odpowiedzi.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© BARTŁOMIEJ BARTECKI

REKLAMA



eprasa.pl 8b5cbd649a



Jeden z trzydziestu

Wiedza jest po nic, jeśli się jej nie przekazuje. I nie wspiera tych, którzy ją tworzą. Także dlatego już 25. raz przyznajemy Nagrody Naukowe POLITYKI. Kapituła Profesorska właśnie wyłoniła – spośród prawie pół tysiąca zgłoszeń – 15 młodych badaczy, z których pięcioro otrzyma nasze stypendia.

KATARZYNA CZARNECKA

Dlaczego moje badania są ważne? – pyta (retorycznie) jedna z tegorocznych finalistek. Zajmuje się psychologią moralności. Docieka, w jaki sposób ludzie rozpoznają dobro i zło oraz co (alkohol? opinie wyrażane przez innych w sieci? presja otoczenia?) sprawia, że niekiedy postępują wbrew własnym zasadom.

Zależy mi na praktycznym wdrażaniu efektów badań w systemach ochrony zdrowia – deklaruje wyróżniony lekarz. I swoje zamierzenie realizuje. Wyniki jego niedawnych prac zostały uznane za przełomowe. Mają kluczowe znaczenie dla profilaktyki niewydolności serca u osób po zawale. A także zmniejszają ryzyko ich hospitalizacji.

Sensem moich działań jest sprawienie, by niewidzialna bariera rozwojowa stała się widoczna – mówi kolejny wybrany przez Kapitułę naukowiec geograf-socjolog. W centrum jego zainteresowania są peryferie, czyli przestrzenie naszego kraju uważane za marginalne i tak też traktowane. Te, gdzie autobus jeździ raz dziennie. Jak zwalczać takie wykluczenie? Badać je, owszem – mówi naukowiec – ale też być głosem tych, których mało kto słucha, i wpływać na decydentów.

Słowem: nie poprzestawać na teorii.

Znajduję korzyści tam, gdzie pozornie są tylko straty – mogły powiedzieć badaczki nominowane w kategorii Nauki o życiu. Jedna pracuje nad substancjami wycieka-jącymi ze składowisk odpadów. Zamierza opracować tanią, skuteczną i jednocześnie ekologiczną metodę ich oczyszczania. Dowiodła jednak także, że mogą one np. działać stymulująco na wzrost roślin.

Druga naukowczyni postawiła sobie za cel uświadamianie, jak ważną funkcję w życiu każdego człowieka pełnią bakterie. Na przykład te zamieszkujące układ pokarmowy. Co się z nimi dzieje, kiedy dochodzi do niedożywienia? Jak o nie dbać? Poznanie mikroświata w obu tych przypadkach przekłada się na likwidację problemów makro.

„Czy oni na pewno są ludźmi, a nie robotami? – zastanawiał się pół żartem, pół serio członek naszego jury podczas dyskusji o kandydatach. – Bo jak znajdują czas na wszystkie swoje aktywności? Doba jest przecież za krótka". Praca naukowa, publikacje w prestiżowych światowych czasopismach naukowych, zdobywanie grantów, zajęcia akademickie, mentoring, popularyzacja. Tak wygląda codzienność naszych finalistów.

Kapituła Profesorska miała trudne zadanie: do finału mógł trafić tylko jeden na 30 startujących. Członkowie Kapituły Społecznej, którzy będą wyłaniać piątkę laureatów głównych Nagród Naukowych POLITYKI, otrzymali znakomite kandydatury. Listę finalistów naszej nagrody i składy kapituł podajemy obok.

Nagrody Naukowe POLITYKI zostaną wręczone 19 października.

©SHUTTERSTOCK

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
TVP info
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 8b5cbd649a

Finaliści 25. edycji Nagród Naukowych POLITYKI

NAUKI HUMANISTYCZNE

dr KRZYSZTOF SĘKOWSKI – Wydział Filozofii, Uniwersytet Warszawski – FILOZOFIA

dr PIOTR OLECHOWSKI – Wydział Humanistyczny, Uniwersytet Śląski w Katowicach – HISTORIA

dr EMIL SOWIŃSKI – Wydział Filologiczny, Uniwersytet Łódzki – KULTUROZNAWSTWO

NAUKI SPOŁECZNE

dr hab., prof. UŚ MARIOLA PARUZEL-CZACHURA – Perelman School of Medicine, University of Pennsylvania (USA) oraz Wydział Nauk Społecznych, Uniwersytet Śląski w Katowicach – PSYCHOLOGIA

dr ŁUKASZ FIEDEŃ – Wydział Geografii i Geologii, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie – GEOGRAFIA

dr PAWEŁ BUKOWSKI – Instytut Nauk Ekonomicznych, Polska Akademia Nauk – EKONOMIA

NAUKI O ŻYCIU

dr inż. MONIKA JANIK – Wydział Elektroniki i Technik Informacyjnych, Politechnika Warszawska – BIOLOGIA

dr AGNIESZKA RAZIM – Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN we Wrocławiu – BIOLOGIA

lekarz, dr hab. n. med., profesor AWSB TOMASZ GĄSIOR – Wydział Medyczny – Collegium Medicum, Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej – MEDYCYNA

dr hab. n. med. i n. o zdr. PAULINA A. KRAWIEC – Wydział Lekarski, Uniwersytet Medyczny w Lublinie – MEDYCYNA

NAUKI ŚCISŁE

dr inż. SZYMON J. ZELEWSKI – Wydział Podstawowych Problemów Techniki, Politechnika Wrocławska – FIZYKA

dr inż. ALEKSANDRA WDOWCZYK – Wydział Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu – CHEMIA, BIOTECHNOLOGIA

dr hab. inż., prof. P. Wr. ANDRZEJ M. ŻAK – Wydział Chemiczny, Politechnika Wrocławska – CHEMIA, BIOTECHNOLOGIA

NAUKI TECHNICZNE

dr inż. MAREK WODZIŃSKI – Wydział Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Inżynierii Biomedycznej, Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie – NAUKI TECHNICZNE, INFORMATYKA

dr inż. MONIKA TOPA-SKWARCZYŃSKA – Wydział Inżynierii i Technologii Chemicznej, Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie – NAUKI TECHNICZNE

Kapituła **Profesorska** (I etapu)

BIOLOGIA **prof. dr hab. Ewa Bartnik** – Wydział Biologii UW (na emeryturze); **dr hab. Marcin Grynberg** – Instytut Biochemii i Biofizyki PAN, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2004

FILOLOGIE, LITERATUROZNAWSTWO, JĘZYKOZNAWSTWO **prof. dr hab. Grażyna Borkowska** – Instytut Badań Literackich PAN

KULTUROZNAWSTWO **red. Bartek Chaciński** – POLITYKA

FIZYKA **prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow** – Wydział Fizyki UW, rektor UW w latach 2005–12

SOCJOLOGIA **prof. dr hab. Henryk Domański** – Instytut Filozofii i Socjologii PAN

NAUKI PRAWNE **prof. dr hab. Tomasz Giaro** – Wydział Prawa i Administracji UW

NAUKI TECHNICZNE **prof. dr hab. Michał Kleiber** – Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN, prezes PAN w latach 2007–15

ARCHEOLOGIA **red. Agnieszka Krzemińska** – POLITYKA

GEOGRAFIA **dr hab., prof. UW Sylwia Kulczyk** – Wydział Geografii i Studiów Regionalnych UW

ARCHITEKTURA, URBANISTYKA **prof. dr hab. inż. arch. Ewa Kuryłowicz** – Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, Kuryłowicz&Associates

FILOZOFIA **prof. dr hab. Paweł Łuków** – Instytut Filozofii UW; recenzentka zewnętrzna **prof. dr hab. Katarzyna Kijania-Placek** – Instytut Filozofii UJ

MATEMATYKA, INFORMATYKA **prof. dr hab. Jan Madey** – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW (na emeryturze)

CHEMIA, BIOTECHNOLOGIA **prof. dr hab. Marcin Pałys** – Wydział Chemii UW, rektor UW w latach 2012–20; **prof. dr hab. Artur Krężel** – Wydział Biotechnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2010

HISTORIA SZTUKI **prof. dr hab. Maria Poprzęcka** – Wydział „Artes Liberales" UW

MEDYCYNA **prof. dr hab. n. med. Aleksander Sieroń dr h. c. multi** – Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie (prorektor ds. medycznych i nauk o zdrowiu)

PSYCHOLOGIA, PEDAGOGIKA **prof. dr hab. Krystyna Skarżyńska** – Wydział Psychologii Uniwersytetu SWPS w Warszawie

EKONOMIA i ZARZĄDZANIE **prof. dr hab. Tomasz Szapiro** – Kolegium Analiz Ekonomicznych SGH w Warszawie, rektor SGH w latach 2012–16, przewodniczący Kapituły

RELIGIOZNAWSTWO, TEOLOGIA **red. Adam Szostkiewicz** – POLITYKA

MUZYKOLOGIA **red. Dorota Szwarcman** – POLITYKA

HISTORIA, NAUKI POLITYCZNE, MEDIOZNAWSTWO **prof. dr hab. Wiesław Władyka** – Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, POLITYKA

Kapituła **Społeczna** (II etapu)

Marek Belka
były premier, wicepremier i minister finansów, prezes NBP w latach 2010–16, poseł do Parlamentu Europejskiego IX kadencji

Andrzej Jacek Blikle
profesor matematyki i informatyki, członek Europejskiej Akademii Nauk, przedsiębiorca i trener biznesu, udziałowiec firmy A. Blikle

Henryka Bochniarz
założycielka i prezydent Konfederacji Lewiatan (w latach 1999–2019), obecnie przewodnicząca Rady Głównej tej organizacji, ekonomistka, była minister przemysłu, jedna z animatorek Kongresu Kobiet

Sylwia Chutnik
kulturoznawczyni, feministka, działaczka społeczna, pisarka, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii Literatura za 2008 r.

Irena Eris
doktor farmacji, współwłaścicielka i dyrektor ds. badań firmy Dr Irena Eris SA, laureatka wielu nagród dla przedsiębiorców, menedżerów i społeczników

Robert Firmhofer
historyk filozofii, współtwórca i dyrektor Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, uznany popularyzator nauki

Michał Komar
scenarzysta, wydawca, publicysta, pisarz; zastępca przewodniczącego Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, profesor Collegium Civitas

Tomasz Nałęcz
historyk, publicysta, polityk, w latach 2010–15 doradca Prezydenta RP ds. historii i dziedzictwa narodowego

Mieczysław Poniewski
profesor nauk technicznych, przewodniczący zarządu Stowarzyszenia KOPIPOL, był wieloletnim członkiem Komitetu Termodynamiki i Spalania PAN, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski

Krzysztof Smolarski
prezes Zarządu Consultronix SA, wydawca magazynu medycznego CX News, mecenas kultury i sztuki

Cezary Szczylik
ordynator Oddziału Onkologii Europejskiego Centrum Zdrowia Otwock, prezydent Fundacji Onkologii Doświadczalnej i Klinicznej, w latach 1993–2017 szef Kliniki Onkologii Centralnego Szpitala Klinicznego MON

Krzysztof Zanussi
reżyser, scenarzysta filmowy, publicysta, felietonista

W pracach Kapituły II stopnia uczestniczy również przedstawiciel Kapituły Profesorskiej oraz redaktor naczelny POLITYKI **Jerzy Baczyński**

eprasa.pl 8b5cbd649a

Dzięki teleskopowi Jamesa Webba pierwszy raz udało się uchwycić narodziny krzemowych kryształów w dysku wokół młodej gwiazdy – moment, który zapowiada powstawanie planet.

Narodziny w albumie rodzinnym



HOPS-315, młoda gwiazda, w której astronomowie zaobserwowali dowody na najwcześniejsze etapy formowania się planet. Obraz wykonany za pomocą interferometru ALMA.

ŁUKASZ TYCHONIEC

Zacznijmy tę opowieść nad morzem. Piasek na bałtyckiej plaży to w zdecydowanej większości kwarc – dwutlenek krzemu (SiO_2) ułożony w regularnej, krystalicznej strukturze. Kwarc znajduje się również w większości zegarków i urządzeń elektronicznych. Jego potraktowany prądem elektrycznym kryształ drga bardzo regularnie, co pozwala elektronicznie wyznaczać równy, mierzalny puls czasu.

Przyjrzymy się bardziej odległym krzemowym kryształom. Przenieśmy się aż 1,3 tys. lat świetlnych w kierunku konstelacji Oriona (której niestety próżno szukać na letnim niebie). Tam właśnie astrofizyczka z Uniwersytetu w Leiden Melissa McClure wraz ze współpracownikami przyłapała młodą gwiazdę na gorącym uczynku. Dzięki obserwacjom prowadzonym przy użyciu niezastąpionego duetu – interferometru na pustyni Atakama w Chile (ALMA) i Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba (JWST) – zaobserwowała sam początek procesu powstawania planet. I to właśnie wykrycie krzemowych minerałów w różnych krystalicznych formach pozwoliło jej stwierdzić, że tak właśnie wygląda „moment zero" – początek formowania się ziaren przyszłych globów.

Lord despotyczny

Gdy chłodny i ciemny obłok molekularny zapada się pod własnym ciężarem, warunki w jego wnętrzu diametralnie się zmieniają. Energia opadającej materii podgrzewa otoczenie, mimo że sama (proto)gwiazda jeszcze nie rozpaliła swojego jądrowego źródła ogrzewania. W tym pierwszym gwiezdnym ognisku, będącym zaledwie zalążkiem prawdziwego pożaru, którym jest dorosła gwiazda, topi się jednak niemal wszystko: molekuły rozpadają się na atomy, a ziarna nieregularnego, amorficznego pyłu wyparowują. Gdy jednak tylko mają szansę nieco się ochłodzić, tworzą dużo bardziej zorganizowaną krystaliczną strukturę. Te pierwsze minerały w Układzie Słonecznym datuje się na 4,567 mld lat, i od tego momentu zwykło się mierzyć wiek naszego kosmicznego domu.

Młoda, rodząca się gwiazda HOPS-315 była dla obserwatorów bardzo łaskawa. Ustawiła się pod idealnym kątem. Teleskop Kosmiczny Jamesa Webba mógł dojrzeć zarówno gorący gaz wyparowującego dwutlenku krzemu, wyraźny znak, że ziarna gwiezdnego pyłu się roztapiają, jak i pochłanianie światła przez nowo powstałe kwarcowe kryształy, które stanęły na drodze między blaskiem gwiazdy a nami. Obserwując te minerały niejako na żywo, kondensujące się z gorącego krzemowego deszczu w odległym dysku w Orionie, zobaczyliśmy obrazki podobne do tych z Układu Słonecznego w okresie jego niemowlęctwa (czyli w ciągu pierwszych 100 tys. lat od swojego powstania).

Skąd jednak znamy wiek tych prehistorycznych minerałów? Skąd wiemy, jak

eprasa.pl 8b5cbd649a

stara jest sama Ziemia? Już Isaac Newton wykonywał eksperymenty logiczne, dochodząc do wniosku, że schłodzenie planety z rozgrzanej kuli żelaza, jak wyobrażano sobie jej pierwotny stan, potrwałoby ok. 50 tys. lat. To było jednak przed sformułowaniem podstawowych praw termodynamiki, teorii ciepła i przewodnictwa cieplnego w XIX w., które pozwoliły na pomiary nieco bardziej poparte teorią naukową. Lord Kelvin, brytyjski fizyk, niekwestionowany autorytet termodynamiki, który przyczynił się do jej uporządkowania, w drugiej połowie XIX w. wyliczył, że jeśli Ziemia jest stałą bryłą emitującą równomiernie energię, jej wiek powinien wynosić pomiędzy 24 a 96 mln lat.

Na podstawie ówczesnej wiedzy Brytyjczyk stwierdził również, że jedynym możliwym „napędem" Słońca jest jego wewnętrzna energia skumulowana w czasie procesu zapadania się obłoku molekularnego w gwiazdę. Na tej podstawie oszacował wiek gwiazdy na 100 mln lat, zbieżny ze zmierzonym podobną metodą wiekiem Ziemi. Dziś już wiemy, że oba są dramatycznie niedoszacowane, o rząd wielkości za małe. Kelvin nie popełnił błędu w obliczeniach, lecz pominął istnienie dodatkowych źródeł energii, takich jak reakcje jądrowe i radioaktywność.

To, co wyliczył, stało w sprzeczności z wnioskami, do których dochodzili współcześni mu geologowie, postulujący, że procesy erozji i górotwórstwa muszą być bardzo powolne. Nie przykładali oni jednak szczególnej wagi do precyzyjnego datowania, skłaniając się raczej ku teoriom, że Ziemia mogła istnieć po prostu od zawsze. Stało to w oczywisty sposób w sprzeczności z rodzącą się termodynamiką i zasadą entropii, według której chaos jedynie się zwiększa. O trwaniu od nieskończoności w nieskończoność nie może być więc mowy. Samą swoją siłą charakteru brytyjski uczony chciał wymóc na Ziemi tak młody wiek. Jak komentował w 1903 r. Mark Twain: „Lord Kelvin jest największym żyjącym naukowym autorytetem, myślę więc, że musimy mu ulec i zaakceptować jego punkt widzenia".

Energia wewnętrzna

Żaden autorytet nie oprze się jednak solidnym danym. A te dostarczyła, oczyszczając bez mała osiem ton rudy uranu, Maria Skłodowska-Curie, nie zdając sobie sprawy, jak przełomowe będą jej badania.

Zjawisko, które pierwszy zaobserwował Francuz Antoine Henri Becquerel w 1896 r., Skłodowska-Curie nazwała radioaktywnością i wytłumaczyła jako wewnętrzną własność atomu, a nie reakcję chemiczną. Szokujące dla niej było to, jak ogromnej energii mogą dostarczyć nawet niewielkie ilości radioaktywnych pierwiastków. Zgromadzone wewnątrz Ziemi mogą utrzymywać więc jej jądro w stanie ciekłym, co z kolei powoduje aktywne ruchy tektoniczne i istnienie pola magnetycznego.

To dwa z kilku absolutnie kluczowych warunków koniecznych do rozwinięcia się życia. Odkrycie radioaktywności w pewnym sensie obaliło oba założenia Kelvina. Jeśli Ziemia nie jest litą bryłą, ale ma płynne, gorące jądro, dystrybucja energii wewnątrz odbywa się w diametralnie inny sposób niż w jego modelu, a ponadto istnieje dodatkowe radioaktywne źródło energii.

Zasługi Skłodowskiej-Curie łatwo z perspektywy czasu sprowadzić do odkrycia dwóch nowych pierwiastków. Jednak miały one dużo bardziej fundamentalne znaczenie. Radioaktywność to bowiem samoistny rozpad jądra atomowego, w którym atom de facto zamienia się w inny. Uświadomienie sobie istnienia tej zagadkowej transmutacji było rewolucyjne. Atom, choć nie wiedziano jeszcze, czym dokładnie jest, od zawsze uznawano za niezmienną, najmniejszą część materii (stąd wszak jego nazwa od gr. atomos – niepodzielny).

Spontaniczny rozpad atomu pomaga w pomiarach czasu. Pierwiastki mają bowiem swoje charakterystyczne czasy życia. Dzięki nim możemy precyzyjnie określić wiek badanego obiektu – mierząc proporcje ilości radioaktywnego pierwiastka i produktów jego przemiany. Dla przykładu, uran poprzez serię rozpadów zamienia się w stabilny ołów, co sprawia, że wraz z wiekiem ilości tego drugiego w stosunku do pierwszego będą się zwiększać.

Naukowcy szybko zaprzęgli tę metodę do szacowania wieku skał. Bertram Boltwood opracował podstawy tej metody już w 1907 r. Jednak skały na Ziemi ulegają przeobrażeniom i ich wiek często jest tożsamy raczej z erą geologiczną niż „punktem zero". To dlatego, mimo że oceniamy wiek Ziemi na 4,5 mld lat, najstarsze skały znalezione w Kanadzie okazały się mieć ok. 4 mld lat. Skąd więc wiemy, że Ziemia jest starsza? Z kosmosu!

Metodę rozpadu radioaktywnego można zastosować również do meteorytów – najczęściej pozostałości po pierwotnym materiale, z którego uformowały się planety Układu Słonecznego. Najstarsze fragmenty – inkluzje wapniowo-aluminiowe, które w nich znajdujemy – mają właśnie 4,5673 mld lat. Co ciekawe, wszystkie one są praktycznie w tym samym wieku, z dokładnością do kilkuset tysięcy lat. Wyznaczają precyzyjnie moment początku formowania się zalążków przyszłych planet.

Wyjątkowe zdjęcie

Jedną z czołowych ekspertek w dziedzinie symulowania tych zjawisk jest Polka Joanna Drążkowska, pracująca w Max Planck Institute for Solar System Research w Getyndze. W ubiegłym roku wraz z Peterem Woitkem z Uniwersytetu w Graz i współpracownikami przewidzieli istnienie mechanizmu tworzenia inkluzji wapniowo-aluminiowych przy jednoczesnym topieniu pozostałych minerałów. Dokładnie ten proces zauważono przy użyciu JWST w protogwieździe HOPS-315. – *Cieszy mnie, że udało się zaobserwować tak wczesny etap formowania się dysku protoplanetarnego, i szkoda, że nie damy rady przyglądać się temu samemu obiektowi przez kolejny milion lat* – komentuje to przełomowe odkrycie Joanna Drążkowska.

No właśnie, bo procesy planetotwórcze rozgrywają się powolnie. System HOPS-315 poczeka teraz przynajmniej pół miliona lat na swoją pierwszą gazową planetę i być może kilka kolejnych milionów lat na planety skaliste. Na szczęście powstających gwiazd w naszej galaktyce znamy kilka tysięcy i patrząc na różne z nich, możemy obserwować wszystkie etapy planetotworzenia. HOPS-315 to jednak pierwszy taki system, gdzie udało się ową chwilę „zero" dokładnie uchwycić.

Każda młoda gwiazda, na którą patrzymy, to w zasadzie zamrożony w czasie fragment uniwersalnej historii, także Słońca i Ziemi. Patrząc na różne obiektyw różnym wieku, możemy poskładać ją całą. To niczym odtwarzanie albumu rodzinnych zdjęć na podstawie innych, już obejrzanych. Kwarcowe kryształki, wszechobecne w naszych zegarkach, stały się czasowym punktem odniesienia, a protogwiazda HOPS-315 – wzorcem początku powstawania planet. W ten sposób do naszego albumu trafiło wyjątkowe zdjęcie: samego momentu narodzin. ■

© ALMA/ESO/NAOJ/NRAO

eprasa.pl 8b5cbd649a

Prywatna

„Kto nie z Mieciem, tego zmieciem” – mówiono w latach 60. o Mieczysławie Moczarze, wpływowym ministrze spraw wewnętrznych. O jego ówczesnej polityce historycznej opowiada prof. Paweł Machcewicz, autor książki „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara”.

MARCIN ZAREMBA: **– Komuniści byli antypolscy – to wizja historii PRL serwowana nam od lat przez prawicę. Niesuwerenni, promoskiewscy, nie działali zgodnie z interesem narodowym. Tymczasem z pana książki o latach 60. wyłania się inny obraz. Opisuje pan zwrot w stronę komunizmu narodowego. Był nieuchronny?**

PAWEŁ MACHCEWICZ: – Przed wojną Komunistyczna Partia Polski, konspiracyjna, elitarna, nie sprawowała władzy, nie zabiegała o szerokie społeczne poparcie. Rzeczywisty punkt odniesienia stanowiła dla niej Moskwa. Po zdobyciu władzy musiało się to zmienić. Polscy komuniści zdawali sobie sprawę, że „wprowadzenie na bagnetach” im nie służy. Zaraz po wojnie wykorzystywali więc antygermanizm, podkreślali odwieczny konflikt z Niemcami, chwalili się powrotem państwa na ziemie piastowskie.

Antygermanizm był wtedy jedyną oficjalną formą nacjonalizmu. Później już nie wystarczył? Budowanie zagrożenia ze strony militaryzmu NRF przestało działać na Polaków?

Strach przed Niemcami i niechęć do nich były ważnym spoiwem ideologicznym i narzędziem mobilizacji społeczeństwa przez cały okres władzy Władysława Gomułki, a rządził z przerwami do 1970 r. Ale niektórzy rozumieli, że komuniści muszą dać społeczeństwu coś więcej. Moim zdaniem rozumiał to Mieczysław Moczar. Nie zostawił wspomnień, nie spisał dzienników, więc możemy opierać się tylko na jego wypowiedziach i na analizie działań.

Żartownisie nadali Moczarowi przydomek Jaja Kobyły, bo ponoć każdą wypowiedź zaczynał od: „Ja jako były partyzant”. Ale mimo śmiesznego przezwiska władzę miał całkiem poważną.

Mieczysław Moczar jest w historii komunistycznego nacjonalizmu postacią kluczową. W latach 60. był prezesem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, czyli organizacji kombatanckiej o dużych wpływach, a od 1964 r. ministrem spraw wewnętrznych. Trzeba się było z nim liczyć. Niektórzy się go bali. Miał realną władzę.

A charyzmę?

Uwodził. Wiele osób z ówczesnej elity kulturalnej i naukowej, dalekich od obozu komunistycznego, było nim zafascynowanych. Po kolacji u ministra socjolog Jan Szczepański zanotował w dzienniku: „Obserwowanie Moczarów jest pa-



Mieczysław Moczar (z lewej) **z Władysławem Gomułką, 1959 r.**

wojna partyzanta

sjonujące: jak z prostych ludzi z rodzin robotniczych tworzy się snobująca elita, kupująca stare meble, obrazy, zapraszająca literatów i plastyków (przyjaźnią się z Dunikowskim, Szaniawskim i in.), kupująca najlepsze gatunki francuskich koniaków i trunków".

Nowa klasa…

Szczepański wierzył w patriotyzm Moczara. Ale podobną fascynację ministrem znajdziemy w dziennikach Janusza Zabłockiego, członka redakcji „Więzi" i działacza Klubów Inteligencji Katolickiej, byłego akowca. Widział w Moczarze człowieka, który chce unarodowić polski komunizm i zmniejszyć zależność od Moskwy. Wiele osób ze środowisk akowskich, a nawet endeckich myślało podobnie, były przekonane, że trzeba stawiać na Moczara, zwłaszcza w perspektywie starzenia się Gomułki.

Ale było coś jeszcze – szeroki program socjalny ZBOWiD dla kombatantów. Wielu akowców, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w okresie stalinowskim było prześladowanych, znalazło się w więzieniu, przeszło tortury. Teraz wyjeżdżali do Ciechocinka, dostawali zapomogi, zniżki, spotykali się z młodzieżą przy ogniskach. Czuli się docenieni.

Moczar i ludzie, którzy się do niego zbliżyli, coraz częściej odwoływali się do niekomunistycznej tradycji narodowej.

Jak?

W setkach tekstów w gazetach i tygodnikach, np. w warszawskiej „Kulturze", „Stolicy", „Prawie i Życiu", „Życiu Literackim". Poruszano nawet wydawałoby się zakazane tematy, takie jak działalność AK na Wileńszczyźnie. Krążył w tym czasie także pomysł – utrącony przez Gomułkę – wybudowania Muzeum Walki Narodu Polskiego. Liczba publikacji na temat niekomunistycznego podziemia i wysiłku zbrojnego na Zachodzie zaniepokoiła nawet Biuro Polityczne. Nakazało bardziej docenić wysiłek Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej jako wyzwolicielki Polski. Ale mleko już się rozlało.

Nie ma bezpośrednich dowodów na powiązania Moczara z autorami tych tekstów, ale z redaktorami naczelnymi już tak. W każdym razie te publikacje tworzyły specyficzny klimat ideowy, który łączył w sobie podkreślanie polskiego wysiłku wojennego z epatowaniem narodową martyrologią. Wszystkich tych, którzy nie zgadzali się z apologetycznym spojrzeniem na narodową historię, piętnowano jako „prześmiewców", np. Andrzeja Wajdę po wyreżyserowaniu „Lotnej", a potem „Popiołów".

Ważnym elementem tej narracji było wtapianie zagłady Żydów w tragedię narodu polskiego, przedstawianie jej jako części ludobójstwa na Polakach. Jednocześnie cenzura wykazywała czujność, ale już nie proletariacką, i wykreślała wszystkie wzmianki o negatywnej postawie Polaków wobec Żydów w czasie wojny. Jeszcze w 1958 r. ukazały się dzienniki Zygmunta Klukowskiego...

…uhonorowane Nagrodą Historyczną POLITYKI w 1959 r.

Ich autor, lekarz ze Szczebrzeszyna, odnotował wstrząsające przykłady udziału Polaków w prześladowaniach Żydów. Kilka lat później książka nie miałaby szans na publikację. Ofiarą tej polityki padł nawet Jarosław Iwaszkiewicz, prezes Związku Literatów Polskich, ulubieniec władzy. Jego opowiadanie „Wzlot", opublikowane bez problemu po raz pierwszy w 1957 r., nie zostało wznowione aż do roku 1969. Tym razem cenzorzy jeden z passusów zinterpretowali jako sugerujący mord Polaków na Żydach bądź ich denuncjację Niemcom.

Moczarowska walka z „pedagogiką wstydu"?

W czystej postaci. W latach 60. mieliśmy zalew artykułów wyolbrzymiających polską pomoc Żydom. Po części była to odpowiedź na publikację na Zachodzie „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego i głośnej wówczas książki Jean-François Steinera „Treblinka", w której wspominał o zabijaniu uciekinierów z obozu przez polskich mieszkańców okolicznych wsi. Była to więc obrona dobrego imienia narodu polskiego. Posługiwano się schematami myślenia i emocjami podobnymi jak dziś, gdy rzekomo za granicą szkaluje nas prof. Jan Grabowski. Z tamtego czasu pochodzi imputowanie rzekomego sojuszu niemiecko-izraelskiego, mającego na celu zrzucanie odpowiedzialności za Holokaust na Polaków. W mojej ocenie to się wszystko układało w pewną strategię realizowaną na wielu poziomach.

Nie byłoby tej realizacji, gdyby nie pierwszy sekretarz PZPR Władysław Gomułka. Skąd u niego się wzięła antysemicka zadra?

Zapewne zdawał sobie sprawę z antysemityzmu dużej części Polaków, z postrzegania przez nich komunistów jako żydokomuny. Komunistów pochodzenia żydowskiego obwiniał o brutalność sowietyzacji, rusyfikację, kolektywizację rolnictwa – o to wszystko to, z czym się nie zgadzał. Narzekał na wysoki udział „elementu żydowskiego w kierowniczym aparacie państwowym i partyjnym", na nadmierną liczbę towarzyszy żydowskich w strukturach bezpieczeństwa. W jakiejś mierze zdecydowały osobiste doświadczenia. Postawiono mu w końcu lat 40. zarzuty o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne", odsunięto od władzy, a w 1951 r. uwięziono. Doświadczenie traumatyczne. Za wymierzonymi w niego działaniami stali także towarzysze pochodzenia żydowskiego, np. Roman Zambrowski czy Jakub Berman. To pozostawiło u Gomułki silny uraz.

Minęło raptem parę lat, emocje kształtujące myślenie przetrwały. A wielu towarzyszy z pokolenia KPP wciąż zajmowało ważne stanowiska w aparacie propagandy, MSZ i Ministerstwie Finansów.

Adam Michnik twierdzi, że Gomułka nie był antysemitą.

Z pewnością nie należał do osób po prostu nienawidzących Żydów. Wybiegając nieco w przyszłość – w 1968 r. był moralnie oburzony różnymi przypadkami nagonki na konkretne osoby pochodzenia żydowskiego, wyhamował w końcu antysemicką kampanię.

Moczar też miał antyżydowską zadrę.

Zadziwiające, jak jedno doświadczenie może być traumatyzujące. Chodzi o konflikt Moczara z Leonem Kasmanem, który ▶

© ARTUR STAREWICZ/EAST NEWS

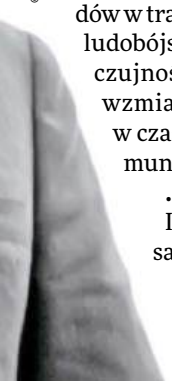

eprasa.pl 8b5cbd649a

▶ przybył na Lubelszczyznę na czele sowieckiego oddziału partyzanckiego. Chciał zmusić Moczara, wówczas szefa obwodu lubelskiego AL, do podporządkowania. Moczar był święcie przekonany, że Kasman chce go na polecenie Moskwy zlikwidować. Przegrał rywalizację z nim, został przesunięty do obwodu kieleckiego. Drugi raz został upokorzony w 1948 r., kiedy musiał – jego zdaniem na polecenie żydowskich towarzyszy – zerwać relacje z Gomułką. Z tego czasu pochodzi jego słynna deklaracja: „Związek Radziecki jest nie tylko naszym sojusznikiem, to jest powiedzenie dla narodu. Dla nas, dla partyjniaków, Związek Radziecki jest naszą Ojczyzną, a granice nasze, nie jestem w stanie dziś określić, dziś są za Berlinem, a jutro będą na Gibraltarze".

Mocne.

Ale uratował skórę, nie wylądował w więzieniu. Choć został zmarginalizowany, wysłany do Olsztyna na podrzędne stanowisko najpierw wojewody olsztyńskiego, później przewodniczącego prezydium tamtejszej wojewódzkiej rady narodowej. Był poddany inwigilacji. Uważał się za ofiarę stalinizmu.

Biedaczek.

Oczywiście przesadnie. Ofiarami stalinizmu byli wówczas ludzie z wyrokami śmierci. Ale na długo podobnie jak u Gomułki pozostała u niego nienawiść do towarzyszy żydowskich, np. Kasmana i Bermana, czemu dał wyraz publicznie i w prywatnych notatkach. Ważne, że miał płaszczyznę porozumienia z Gomułką, który myślał podobnie.

Zemsta, zemsta na wroga…

Do pewnego stopnia, ale kierowały nim nie tylko motywy osobiste. Uważał – a z nim wielu towarzyszy – że im mniej żydowskich komunistów na kierowniczych stanowiskach w partii i w państwie, tym lepiej. Chciał poluzować smycz trzymaną przez Moskwę, imponował mu Josip Broz-Tito, także wojenny partyzant, któremu to się udało w Jugosławii.

A były też bardziej systemowe przyczyny dryfu w stronę narodowego komunizmu?

Rok 1956. Komunizm jako ideologia stracił wówczas społeczną nośność i zdolności mobilizacyjne. Okazało się, że zamiast obietnicy lepszego świata przyniósł terror, kolektywizację, obniżenie stopy życiowej w okresie planu sześcioletniego. Była to klęska formacji komunistycznej. Stanęła na nogi tylko dzięki Gomułce i jego obietnicy większej niezależności od ZSRR. Brak reform, na które zdecydowały się Węgry, szybko jednak dał o sobie znać zapóźnieniem gospodarczym. Skończył się też przyspieszony po wojnie awans społeczny, którego doświadczyło wielu chłopskich synów w okresie stalinowskim.

Krążył dowcip: Czy w Polsce jest kult jednostki? Owszem jest, ale jednostki nie ma.

Charyzma Gomułki także słabła. Władza komunistyczna wobec ideologicznej pustki i pogarszającej się sytuacji gospodarczej szukała nowych źródeł legitymizacji. Odwołanie do tradycji narodowej oraz antysemityzm stawały się poręcznymi narzędziami stabilizacji systemu i budowania poparcia. Moczar i jego zwolennicy aktywnie wykorzystywali te mechanizmy, promując narodowe wartości i ograniczając wpływy środowisk żydowskich.

Ale jednocześnie mniejszość żydowska w porównaniu z ukraińską i niemiecką miała się jak pączek w maśle.



Paweł Machcewicz – prof. dr hab., pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, współtwórca i pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Właśnie ukazała się jego książka „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara".

Działał Teatr Żydowski, Żydowski Instytut Historyczny, szerokim strumieniem napływała pomoc ze Stanów Zjednoczonych.

Ale inwigilowana była podobnie. Sporządzano listy osób pochodzenia żydowskiego zatrudnionych w różnych instytucjach. Na przykład SB w Gdańsku doliczyła się 13 żydowskich lekarzy.

To przypomina tzw. sprawę lekarzy kremlowskich, Żydów, którzy rzekomo mieli planować zamach na członków radzieckiego kierownictwa.

Czy partyzanci mogli inspirować się wzorami płynącymi z Moskwy?

W ZSRR Nikity Chruszczowa antysemityzm miał się dobrze, ponieważ sam I sekretarz był antysemitą, co zademonstrował w Polsce podczas pobytu w 1956 r., gdy poparł odsunięcie z polskiego kierownictwa żydowskich towarzyszy. Jednak po jego upadku w 1964 r. wzburzona przez niego fala opadła.

W jego odsunięciu od władzy miał udział szef KGB.

Czy Gomułka mógł się obawiać, że Moczar planuje podobną akcję? Że ma ambicje sam zostać pierwszym sekretarzem?

Gomułka miał do niego duże zaufanie ze względu na wojenną przeszłość i podobny światopogląd. A czy Moczar walczył o władzę dla siebie? Moim zdaniem nie przeciwko Gomułce. Był wobec niego lojalny. Raczej walczył o pozycję numer dwa w państwie. W tym sensie to, co się działo w marcu 1968 r., nie było wymierzone bezpośrednio w I sekretarza, raczej przypominało czyszczenie pola. Przypomnijmy, że w czystkach, jakie przeszły wówczas przez kraj, stanowiska straciło co najmniej tysiąc osób. W pewnym momencie Gomułka poczuł się tym zaniepokojony. Uznał, że jego minister posunął się za daleko. I Moczar dostał „kopa w górę". Przestał być ministrem spraw wewnętrznych, ale został sekretarzem KC i zastępcą członka Biura Politycznego.

Przegrał?

Ale w sensie ideowym wygrał. Dzięki Moczarowi i jego ludziom do głównego nurtu debaty publicznej wprowadzono wątki wcześniej marginalizowane: Polskie Państwo Podziemne, Armia Krajowa, gloryfikacja antyrosyjskich powstań. Z drugiej jednak strony stworzono wówczas matryce piętnowania ludzi krytycznych wobec apologii narodowej historii. Zarzucano im kosmopolityzm i antypolskość. Były to więc ideowe początki dzisiejszej narracji o pedagogice hańby. W tym sensie można powiedzieć: Moczar wiecznie żywy.

ROZMAWIAŁ MARCIN ZAREMBA



Zapraszamy do obejrzenia i wysłuchania dłuższej rozmowy z prof. Machcewiczem na naszym nowym historycznym kanale na YouTube **„POLITYKA O HISTORII"**.

© RAFAŁ WOJCZAL/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a

Hazard w cieniu Gestapo

W okupowanej Warszawie było miejsce, które przeczyło logice wojny. Luksusowe wnętrza, dźwięk żetonów i ruletki, karty rozdawane przy stolikach pokerowych. Kasyno gry „Spielbank Warschau" stworzone przez Niemców, tłumnie odwiedzane przez Polaków.











Zdjęcia wnętrz kasyna z niemieckiego pisma branżowego z 1943 r.
Obok od góry: **wojenni bywalcy lekkoatleta Zygmunt Heliasz i adwokat Zygmunt Hofmokl-Ostrowski. Zarządzający polskim personelem Czesław Łapiński, po wojnie stalinowski prokurator.**

ADRIAN SANDAK

Adres? Aleja Szucha 29 – samo centrum miasta, tzw. dzielnica niemiecka, a zarazem sąsiedztwo siedziby Gestapo. To tutaj ulokowano niemieckie kasyno „nie dla Niemców". Jego historia to opowieść o ludzkich słabościach, kolaboracji, próbach przetrwania i wielkich pieniądzach.

19 października 1940 r. Niemcy w dawnym budynku warszawskiego kasyna garnizonowego otworzyli kasyno gry „Spielbank Warschau". Był to ewenement niespotykany w żadnym innym okupowanym państwie europejskim. Reprezentacyjny gmach przy al. Szucha został przebudowany na potrzeby kasyna przez znanych austriackich architektów Hansa Pfanna i Richarda Weissa.

Naboje za żetony

Swój udział w urządzaniu wnętrza mieli także polscy artyści. Na ścianach sceny z życia wiejskiego namalowały Jadwiga Salomea Hładki-Wajwódowa i Wanda Zawidzka-Manteuffel, upiększaniem ścian i sufitów zajmowali się też malarz i grafik Antoni Wajwód oraz rysownik – ilustrator Antoni Uniechowski, dekoracja pieca kaflowego przypadła w udziale Janowi Wodyńskiemu. W niemieckim czasopiśmie branżowym z 1943 r. ukazał się artykuł opisujący efekty: „Pomieszczenia wydają się proste, ale nie nudne, odświętne, ale nie ciężkie. Ściany w tynku drapanym w kolorze jasnej ochry. Sufit biały, wykładzina podłogowa boucle w kolorze cynamonowo-brązowym. Zasłony ze złoto-żółtego brokatu i tkaniny guzkowej. Lampa sufitowa firmy Lobmeyr z Wiednia".

Założycielami i dyrektorami byli Austriacy: Hans Schillinger i Ferdinand ▶

© DP X 3, NAC X 2

eprasa.pl 8b5cbd649a

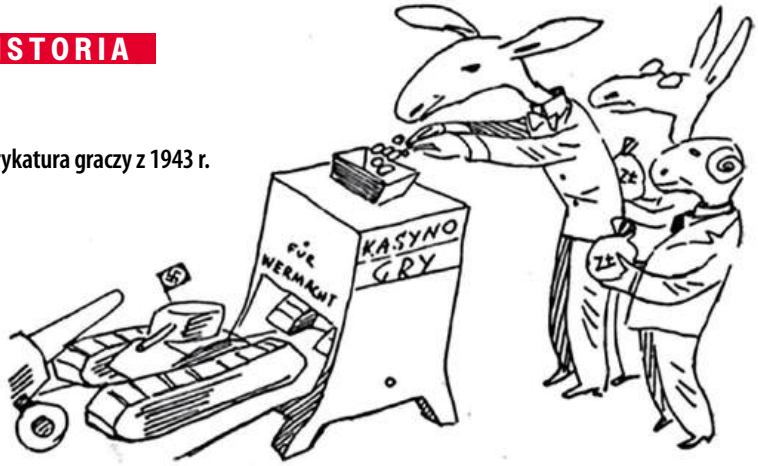

Karykatura graczy z 1943 r.



Budynek kasyna w latach powojennych, 1951 r.

▶ Fellner von Feldegg. Obaj mieli doświadczenie w tym biznesie. Władze Generalnego Gubernatorstwa udzieliły im koncesji na wyłączne prowadzenie i eksploatację przedsiębiorstwa pod nazwą „Casino Gesellschaft mit beschränkter Haftung". Celem Niemców było zdobywanie pieniędzy, w czym mieli już spore doświadczenie. Co prawda hazard zarówno w II RP, jak i w Republice Weimarskiej (1918–33) był zabroniony, ale na terenie Wolnego Miasta Gdańska – gdzie te zakazy nie obowiązywały – od początku dwudziestolecia międzywojennego działało kasyno w Sopocie. Jego zarząd stanowili Niemcy. Dopiero po dojściu do władzy Adolfa Hitlera – zwolennika kasyn – było możliwe otworzenie takiego lokalu w Niemczech, co miało miejsce w 1933 r. w Baden-Baden.

Warszawski był przeznaczony „für Nichtdeutsche", dla nie-Niemców. Jego główną klientelę stanowili Polacy, ale grać mógł każdy, kto miał pieniądze. Z wyjątkiem Niemców (chodziło o zasady moralne; swoich obywateli bronimy, obcych łupimy) i Żydów. W odróżnieniu od restauracji i środków komunikacji „nur für Deutsche" (tylko dla Niemców), kasyno przeznaczono dla Polaków. Tu mieli być wolni od widoku niemieckich mundurów i czuć się „bezpiecznie". Oczywiście była to iluzja.

Zachętą do gry były głoszone przez Niemców nieprawdziwe hasła, że duża część dochodów z kasyna zostanie przeznaczona na cele charytatywne. Okupanci próbowali dla celów propagandowych przekazać trochę pieniędzy na PCK. Cyniczne posunięcie, które miało obniżyć autorytet tej instytucji znajdującej się – z winy Niemców – w fatalnym położeniu. „Szczodra" propozycja została jednak odrzucona przez zarząd PCK z uzasadnieniem, że źródło pieniędzy jest niemoralne.

Kasyno generowało ogromne dochody. Nie zachowały się dane liczbowe, dla zobrazowania skali warto się odwołać do danych z kasyna w Sopocie. W 1940 r. wygenerowało ono przychód 2,82 mln RM (marek Rzeszy), w 1941 r. – 4,58 mln RM, w 1942 r. – 8,83 mln RM, a w 1943 r. – już 11,1 mln RM. Duża część z tego szła dla niemieckiej machiny wojennej. Każdy przeskok kulki w ruletce, każda karta rozdana przy stoliku pokerowym oznaczała zysk dla niemieckiej armii. Można powiedzieć, że polska gotówka zamieniana była w niemieckie naboje.

Kolejki do stolików

Polskie Państwo Podziemne traktowało wizyty w kasynie jako kolaborację. Zwłaszcza że celem ubocznym, ale zapewne pożądanym przez okupantów, była demoralizacja społeczeństwa. Dlatego w opracowanym przez podziemie, opublikowanym w 1941 r. zestawie zaleceń etycznych dla obywateli – „Kodeksie moralności obywatelskiej" – w rozdziale III zatytułowanym „Przestępstwa przeciwko moralności obywatelskiej" w punkcie 17. znalazł się zapis: „Dopuszcza się przestępstwa przeciwko moralności obywatelskiej i ulega karze wyłączenia ze społeczności polskiej: Kto uczęszcza do Kasyna Gry lub innych zakładów prowadzonych przez wroga".

Ani groźby infamii, ani apele do bojkotu, łącznie z drukowaniem nazwisk i adresów graczy w prasie podziemnej (np. „Biuletynie Informacyjnym" i „Rzeczpospolitej Polskiej") nie zmniejszyły zainteresowania hazardem. Kasyno pękało w szwach, bywalcy korzystali nawet z usług staczy kolejkowych. To nie żart – w okupowanej Warszawie, gdzie brakowało chleba, byli ludzie gotowi płacić za zajęcie dla nich miejsca w kolejce do stołów gry.

Paradoks kasyna w alei Szucha był porażający. Pod numerem 25 w budynku Gestapo przesłuchiwano i torturowano więźniów. Pod numerem 29 w eleganckim lokalu wieczorami zbierali się ludzie należący niegdyś do śmietanki przedwojennej Warszawy. Wino, karty, muzyka, kobiety. Tutaj okupacja oznaczała szansę na wzbogacenie się lub przynajmniej chwilę zapomnienia. „Spielbank Warschau" stał się fenomenem społecznym – miejscem snobizmu, ryzyka i ucieczki od codzienności. Przychodzili tam ci, którzy jeszcze mieli pieniądze – dawni przemysłowcy, bankowcy, artyści, a także ci, którzy dorobili się na czarnym rynku.

Gracz przybywający pierwszy raz do kasyna musiał się wylegitymować. Sprzedawano mu jednorazowy bilet wejścia za 5 zł (w 1940 r. można było za to kupić 1 kg ziemniaków) i wciągano go do kartoteki graczy. Według szacunków Polskiego Państwa Podziemnego każdego dnia w kasynie przewijało się od 500 do 1000 osób. Otwierano je o 16.00, zamykano o 24.00. Po godzinie policyjnej Niemcy honorowali bilety wstępu graczy i legitymacje pracowników. Kto płacił i pracował dla III Rzeszy, miał parasol ochronny okupanta.

Do kasyna przychodziła arystokracja (mistrz szachowy Kazimierz Plater, prezes Rady Głównej Opiekuńczej Adam Ronikier, ziemianin Stefan Potocki), dorobkiewicze, robotnicy, prostytutki. Częstym bywalcem był adwokat Zygmunt Hofmokl-Ostrowski – postać tak barwna, że zasługuje na osobną biografię. W okresie międzywojennym zasłynął

© DP, FOTOPOLSKA

eprasa.pl 8b5cbd649a

strzelaniem z rewolweru do świadka na sali sądowej (!), a już po wojnie bronił seryjnych morderców, jak Władysława Mazurkiewicza – „Pięknego Władka". Mecenas był znany z ekscentrycznego stylu bycia, miał słabość do ryzyka – zarówno zawodowego, jak i hazardowego.

Inną znaną postacią, która bawiła się w kasynie, był późniejszy bohater powstania warszawskiego, gen. Zbigniew Ścibor-Rylski, o czym wiemy z pamiętników jego matki. Świat sportu w szulerni reprezentował Zygmunt Heliasz, wielokrotny mistrz Polski w lekkiej atletyce, jedyny przedwojenny polski rekordzista świata (rzut kulą).

Jakie były stawki? Zachował się opis kilku przypadków. Z meldunku AK wiemy, że konfident Wilhelm Engel przegrał 30 tys. zł. Dostał je od kochanki, która sprzedała mieszkanie. Inny konfident, Zdzisław Chyliński, miał wykupić z Gestapo żołnierza podziemia Andrzeja Anterszlaka ps. Wiktor. Pobrał na to z kasy konspiracyjnej 10 tys. zł zaliczki (potem miał jeszcze dostać 50 tys. zł), które przegrał w kasynie.

Randka z wrogiem

Jeszcze przed uruchomieniem „Spielbank Warschau" w pierwszej połowie 1940 r. Niemcy zorganizowali kurs krupierów. W prasie gadzinowej zamieścili ogłoszenia o naborze. Od kandydatów wymagali znajomości niemieckiego lub francuskiego. Zgłaszali się studenci, nauczyciele, „złota młodzież". Na kursie uczono pracy przy stole z ruletką, obsługi automatów do gry i innych tajników tej pracy.

Wbrew pozorom kasyno nie było enklawą niemiecką. Funkcje dyrektorów piastowali wprawdzie Austriacy, ale wśród krupierów i niższego szczebla administracyjnego znaleźli się Włosi, Belgowie, Ukraińcy, Niemcy i Rosjanie. Zdecydowaną większość personelu stanowili Polacy: krupierzy, kasjerzy, kelnerzy, szatniarze, muzycy – w sumie ok. 160 osób. Niemcom zależało na „polskości przedsięwzięcia". Dla wielu z zatrudnionych była to praca jak każda inna, choć pod okupacyjnym butem. Mocne papiery pracownika kasyna były pożądane. Mogły uratować przed łapanką czy represjami.

Jednym z zarządców polskiego personelu był Czesław Łapiński – późniejszy stalinowski prokurator, który oskarżał rotmistrza Witolda Pileckiego. Stanowiska wicedyrektora kasyna dosłużył się Polak, przemysłowiec Stanisław Kisiel.

Specyfika tego przybytku, duże pieniądze, przeróżna klientela sprzyjały pozyskiwaniu informacji. Od samego początku (już na etapie kursu dla krupierów) Niemcy wprowadzili do „Spielbank Warschau" swoich informatorów. Była to kolejna korzyść, jaką udało im się wygenerować z prowadzenia kasyna. Polacy nie pozostali dłużni i w gronie personelu znaleźli się przedstawiciele AK, lewicy, Tajnej Armii Polskiej, Organizacji Wojskowej „Wilki" (ich żołnierz Szymon Wiktorowicz był jednocześnie konfidentem Gestapo). Tajemnicą poliszynela było, że w kasynie swoje gry prowadzili Abwehra i konfidenci Gestapo.

Polskie podziemie zniechęcało do bywania w kasynie (rzucanie petard, rozlewanie cuchnących cieczy, wspomniane kary infamii, drukowanie nazwisk w prasie podziemnej), ale sięgało też po inne środki. Wysyłano pod przykrywką graczy atrakcyjne kobiety w towarzystwie bojowców. Pary takie notowały nazwiska graczy i po krótkim czasie żołnierze podziemia składali delikwentom wizyty z propozycją nie do odrzucenia: dajesz pieniądze na niemieckie wojsko, daj też na podziemie! Siła argumentu w postaci lufy pistoletu pomagała w szybkim podejmowaniu decyzji. Takie akcje opisała biorąca w nich udział Ludwika Zachariasiewicz w książce „Randka z wrogiem".

W ciepły wieczór 19 maja 1942 r. atrakcyjna para elegancko ubranych ludzi weszła do kasyna. Tadeusz Koral ps. Krzysztof, szef Wydziału Sabotażu Polskich Socjalistów i Halina Karin-Dębnicka z tego samego wydziału udający graczy podłożyli bombę. Głównym celem nie była fizyczna likwidacja Polaków, ale mocny przekaz mający ich zniechęcić do gry. Bomba zegarowa wybuchła po bezpiecznym wycofaniu się zamachowców, o godz. 23.00. Raniła kilka osób. Prasa konspiracyjna szeroko rozpisywała się o tym zdarzeniu, Niemcy przeciwnie.

Nawet taki bombowy prezent nie przyczynił się do obniżenia frekwencji. Za to efekt psychologiczny u okupantów musiał być duży. W strzeżonej dzielnicy, pod nosem Gestapo, polskie podziemie przeprowadziło zamach.

Koniec gry

Zapał do gry ostudził dopiero sowiecki nalot na Warszawę z 12 na 13 maja 1943 r., kiedy to jedna z bomb trafiła w kasyno. Kolejnym ciosem w hazardowy biznes było aresztowanie w kasynie w nocy z 1 na 2 lutego 1944 r. 385 osób. Był to odwet Niemców za zlikwidowanie przez oddział dywersji bojowej Kedywu KG AK „Pegaz" kata Warszawy Franza Kutschery. Część zatrzymanych osób trafiła na Pawiak, część do obozu przejściowego na ul. Skaryszewskiej. 100 osób zostało zastrzelonych w publicznej egzekucji. Z uwagi na niekorzystną sytuację na froncie Niemcy zamknęli kasyno 22 lipca 1944 r.

Dlaczego o „Spielbank Warschau" przez tyle lat milczano? Temat był niewygodny. W PRL nie chciano mówić o tym, że Polacy – nawet w czasie wojny – potrafili bawić się i przegrywać majątki. Po 1989 r. historycy koncentrowali się na bohaterstwie i ofierze. Tymczasem ta historia pokazuje okupację nie jako czarno-biały świat, lecz mozaikę postaw, wyborów i kompromisów. Dowodzi, jak łatwo człowiek adaptuje się do najbardziej nienormalnych warunków, jak szybko potrafi zbudować enklawę luksusu w morzu cierpienia. Hazard w cieniu Gestapo to symbol wojennego surrealizmu.

Prawie stuletnia historia budynku przy al. Szucha 29 dobiegła końca w 1968 r., kiedy został rozebrany pod budowę Trasy Łazienkowskiej. W 1974 r. w miejscu dawnego kasyna oficerskiego ustawiono kamień pamiątkowy upamiętniający zamach bombowy polskich socjalistów.

ADRIAN SANDAK

Autor opublikował w tym roku książkę „„Spielbank Warschau. Niemieckie kasyno gry w okupowanej Warszawie 1940–1944"



KUP TERAZ

Więcej o II wojnie światowej w pakiecie naszych Pomocników Historycznych, dostępnym na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 8b5cbd649a

serial



Wieczny pokój 5/6

Minuta ciszy 2, scen. Jacek Lusiński i Szymon Augustyniak, reż. Jacek Lusiński, 6 odc., Canal+ online

Pierwszy sezon „Minuty ciszy" miał premierę trzy lata temu i okazał się jednym z tych seriali, które dowodziły, że wreszcie dorobiliśmy się nad Wisłą własnej telewizji z kategorii premium. Dzieło Jacka Lusińskiego i Szymona Augustyniaka, z **Robertem Więckiewiczem** i **Piotrem Roguckim** w rolach walczących o teren i zlecenia właścicieli zakładów pogrzebowych w Bożej Woli i Złotowie, to nowocześnie opowiedziana i pokazana (z naturalistycznie potraktowanymi detalami) historia wojny polsko-polskiej w skali mikro, tragikomedia trochę w stylu najlepszych filmów braci Coenów, trochę nawiązująca do równie wspaniałego „Sześć stóp pod ziemią", ale silnie osadzona w realiach rodzimej prowincji. Na pokazie prasowym wyczekiwanego drugiego sezonu odtwórcy głównych ról żartowali, że po lekturze scenariuszy pierwszych odcinków obawiali się, że zacieśniająca się relacja ich bohaterów skończy się romansem. Nie zdradzając, w jaką stronę rzeczywiście zmierza, napiszę tylko, że nic tak nie przełamuje barier i nie jednoczy jak wspólny wróg. Przynajmniej w serialu. Tu okazuje się, że Mietek Zasada (Pogrzeby z Zasadami) i Jacek Wieczny (Wieczny Spokój) są w stanie zakopać topór wojenny, gdy na ich teren wkracza gracz – Jerzy Pazera (**Grzegorz Wolf**), dysponujący znacznie większymi zasobami, doświadczeniem w branży, powiązaniami pozwalającymi mu zniszczyć dowolną konkurencję oraz brakiem etyki. Własny wątek otrzymuje „Synek" (Karolina Bruchnicka), która kontynuując poszukiwania swojego miejsca w życiu, znajdzie wspólniczkę i nowy pomysł na biznes. Wdowa po Majorze, Madzia (Aleksandra Popławska), ma dość bycia Hiobem. A Mietek i jego żona Celinka (Aleksandra Konieczna) muszą się zmierzyć z efektami dramatycznego finału pierwszej serii. Nie brakuje też znaku rozpoznawczego serialu – czarnego humoru. Jedyne, co przeszkadza w nowym sezonie, to jego krótkość – wydaje się, że był tu potencjał na więcej niż sześć odcinków.

ANETA KYZIOŁ

Feministyczna utopia 4/6

The Morning Show 4, twórczyni: Charlotte Stoudt, 10 odc., Apple TV+, od 17 września

serial



Jennifer Aniston wraca do swojej najciekawszej i najdłużej prowadzonej roli od czasu zakończenia sitcomu „Przyjaciele", a wraz z jej Alex Levy – teraz już nie tylko gwiazdą telewizji, ale przede wszystkim szefową pionu „talentów" – wracają wszyscy główni bohaterowie „The Morning Show". Akcja czwartego sezonu toczy się dwa lata po finale poprzedniego. Jest wiosna 2024 r., telewizja UBA finalizuje operację przekształcenia w konglomerat medialny UBN. Skala większa, więc i problemy większe. W walce z konkurencją ma pomóc wdrożenie sztucznej inteligencji oraz transmisje z olimpiady w Paryżu, szybko się jednak okazuje, że jedno i drugie stoi pod znakiem zapytania, a wraz z nimi posady bohaterek: Alex, Stelli (Greta Lee) i Celine (Marion Cotillard). Bradley (**Reese Witherspoon**) z kolei angażuje się w śledztwo dziennikarskie, które może zagrozić wielu osobom. Jak zwykle w „The Morning Show" media i sprawy korporacyjne są ściśle związane z równie skomplikowanym życiem prywatnym bohaterów. Serial, którego akcja kręci się wokół telewizji śniadaniowej, zawsze miał telenowelowy, rozrywkowy sznyt, ale i większe ambicje wielowymiarowej opowieści o zmieniających się mediach i Ameryce. W pierwszych sezonach w centrum było #MeToo, potem atak na Capitol i big techy, w obecnym tematem są fake newsy i teorie spiskowe, ale przede wszystkim problem pozornego dbania o różnorodność rasową i genderową w korporacjach, z pytaniem, czy zawsze na końcu muszą wygrać biali faceci. AK

© CANAL+, APPLE TV+, STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY, THE ANDY WARHOL MUSEUM, PITTSBURGH, PA, A MUSEUM OF CARNEGIE INSTITUTE, PAP/ADAM WARŻAWA

eprasa.pl 8b5cbd649a

film

Tańcz, tańcz, tańcz 5/6

Sirât, reż. Oliver Laxe, prod. Hiszpania, Francja, 120 min

Widzowie odzwyczajeni od postrzegania kina jako surrealistycznej metafory zachęcającej do refleksji nad zagadką ludzkiego istnienia mogą mieć kłopot z docenieniem prostej wizji „Sirât". Reżyser tego ciekawego eksperymentu zręcznie zaciera granice między klasycznym filmem drogi, dryfującym w kierunku transowego przeżycia podbijanego elektronicznym brzmieniem, apokaliptyczną wizją trzeciej wojny światowej a realistycznym dramatem. Ojciec – wraz z małoletnim synkiem i suczką – poszukują na marokańskiej pustyni w Saharze Zachodniej zaginionej córki, która prawdopodobnie była uczestniczką muzycznych rejwów organizowanych w egzotycznych plenerach. Wędrówka na południe w kierunku Mauretanii zamiast rozstrzygnięcia niesie wrażenie nietrwałości i chaosu, na co nasza wyobraźnia odpowiada rodzącymi się skojarzeniami z „Mad Maxem", twórczością Antonioniego, francuskimi



egzystencjalistami, nie wykluczam też, że komuś przyjdzie do głowy porównanie np. z „Ostatnim dniem lata" Tadeusza Konwickiego. Przy całej swojej dojrzałej nowoczesności „Sirât" jest dziełem zaskakująco dobrze osadzonym w tradycji, głęboko niepokojącym, w punkt trafiającym we współczesne lęki wywołane masową migracją, konfliktami zbrojnymi, alienacją i głodem sensu.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

galeria

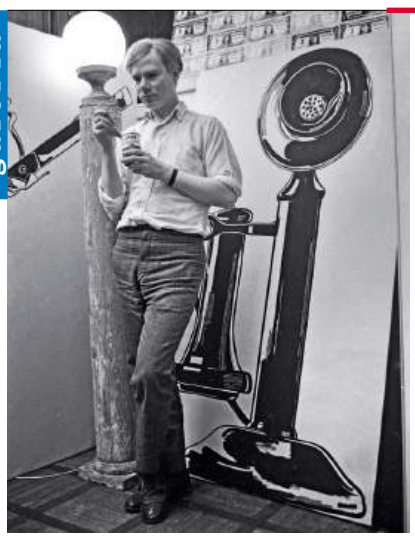

Warhol inaczej 4/6

Andy Warhol. A Kind of Retrospective, Pop Culture Gallery, Poznań, do 28 lutego 2026 r.

Wskazać można w sztuce nazwiska pewniaki, czyli artystów, których wystawy zawsze przyciągają tłumy. W sztuce XX w. to choćby Picasso, Dalí, Chagall czy Warhol. I właśnie ostatni z wymienionych ma przez najbliższe miesiące stanowić artystyczny magnes stolicy Wielkopolski. Od razu jednak wypada uprzedzić, że miłośnicy pop-artu nie mają co liczyć na spektakularny pokaz typu „the best of". Kurator wystawy postanowił bowiem (a może takie tylko miał możliwości?) pokazać nam Warhola z dość nieoczywistej strony. Zabrakło w ekspozycji tego, za czym szaleją tłumy: jego prac olejnych i sitodruków. A co jest? Opowieść o tych wszystkich aktywnościach, które uzupełniały mainstreamowy wizerunek Andy'ego Warhola, ale odcisnęły, choć w mniej widoczny sposób, swoje piętno na kulturze XX w. A więc eksperymentalne filmy z serii „Screen Tests", projekty (ponad 50) okładek magazynu „Interview" oraz projekty okładek płyt (m.in. legendarnej „bananowej" The Velvet Underground i „suwakowej" The Rolling Stones), a nawet projekty nadruków na tekstyliach i ubrań. Do tego duża porcja wiedzy o twórcy, jego życiu i środowisku. Najbardziej ikoniczne wizerunki Marilyn Monroe i puszki zupy Campbell też są, choć w nietypowej postaci. Puszka jako tekstylny nadruk, a aktorka jako animacja stworzona przez artystę na komputerze Commodore. Osobliwie, ale ciekawie.

PIOTR SARZYŃSKI

scena



Żarty z podtekstem 4/6

Producenci Mela Brooksa i Thomasa Meehana, reż. Tomasz Dutkiewicz, Teatr Muzyczny w Gdyni

Autorowi licznych filmowych parodii, 99-letniemu Melowi Brooksowi, najwięcej nagród przyniosła pierwsza z nich – „Producenci" z 1967 r. Pełen ryzykownych żartów film zdobył Oscary i Złote Globy, a jego musicalowa wersja z 2001 r. – rekordowe 12 nagród Tony i stała się podstawą nowego filmu. Gdyńska inscenizacja musicalu, zrealizowana niemal ćwierć wieku po premierze na Broadwayu, pokazuje, jak przez ten czas zmieniła się wrażliwość i świat. Realizacyjnie jest poprawnie i, poza zabawną sceną po kaszubsku, bez większych zaskoczeń. Żarty z podtekstem seksualnym (Ulla, blondynka ze Szwecji, przekręca słowa: ruchanki zamiast rachunków itp.) brzmią dziadersko, stereotyp „przegiętego geja" jest wyświechtany, łączenie nazizmu z homoseksualizmem też dawno straciło subwersywny ładunek. Za to bolesnej aktualności – w kontekście rosnącej popularności antyimigranckiej ideologii i polityki w Polsce i w USA czy antysemickich występów posła Brauna – nabrał wątek neofaszystowski. W spektaklu dwóch żydowskich producentów Max Bialystock (Robert Rozmus) i Leo Bloom (Maciej Podgórzak) wystawia neonazistowski musical „Wiosna Hitlera" – w zamyśle jako koszmarek, który szybko zrobi klapę, a oni zgarną łatwe pieniądze. Ale rzecz nieoczekiwanie okazuje się hitem. Bardzo gorzko w zderzeniu z ludobójstwem w Gazie brzmi uwaga zaskoczonego Bialystocka, że przecież „co drugi na widowni to Żyd". AK

REKLAMA



eprasa.pl 8b5cbd649a

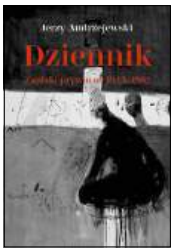

Zapiski z klęsk 5/6

Jerzy Andrzejewski, **Dziennik. Zapiski prywatne 1943–1982**, oprac. Anna Synoradzka, Instytut Mikołowski, Mikołów 2025, s. 830

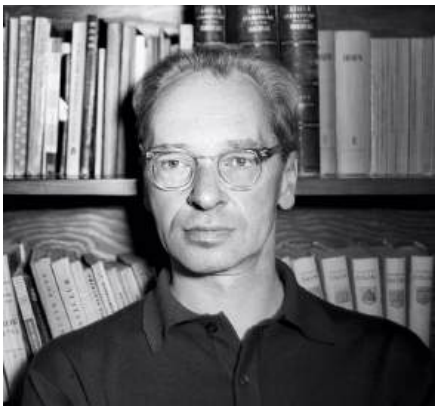

Po raz pierwszy ukazują się w całości prywatne zapiski Jerzego Andrzejewskiego – i jest to tom fascynujący. Zaczyna się od urodzenia syna Marcina w 1943 r. Dzieci i rodzina były wielkim marzeniem pisarza, który utrzymywał przy tym relacje z mężczyznami. Piotr Sobolczyk w posłowiu nazywa to rodziną queerową: żona i dzieci wiedzieli o fascynacjach pisarza. Dostajemy więc w dużej mierze dziennik miłosny, pełen udręczenia, choćby kiedy autor odkrywa, że ukochany Marek Hłasko spotyka się z innymi. Analizuje swoje uzależnienie erotyczne: „Można zaspokoić pożądanie, ale nie można zaspokoić zachwytu" – notuje, patrząc na twarz Jerzego Skolimowskiego, z którym razem pisali scenariusz „Niewinnych czarodziei". Ciekawie jest też zobaczyć życie kulturalne PRL od strony męskich schadzek. Spotkamy tu tych, którzy tworzyli powojenną polską kulturę, czasem w niespodziewanych okolicznościach. Jednak w dużej mierze jest to dziennik klęsk, przede wszystkim artystycznych. Jeśli wydawało się, że Andrzejewski był człowiekiem spełnionym, brylował towarzysko, to tutaj widzimy go w stanie rozpadu i zwątpienia, walczącego z bezsennością i piciem. Analizuje tu czasy stalinowskie i własny strach. Momentem przełomowym było zemdlenie w czasie jubileuszu Marii Dąbrowskiej w 1952 r. „Dopiero pełne zrozumienie własnej klęski uwalnia od wstydu" – pisze. Zwątpienia Andrzejewskiego brzmią uniwersalnie: „Nie umiem cenić tego, co posiadam, natomiast uporczywie mitologizuję cenę tego, czego posiąść nie mogę". Paradoks polega na tym, że wciągające są nie tylko jego analizy, ale i suche notatki z kalendarza. Nawet w braku wydarzeń mnóstwo się dzieje.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Pikantna nijakość 3/6

Naomi Novik, **Głęboko pogrzebany i inne opowiadania**, przeł. Zbigniew A. Królicki, Rebis, Poznań 2025, s. 440

Naomi Novik należy do najchętniej czytanych współczesnych autorek fantasy. Tom opowiadań daje niezły przegląd jej twórczych zainteresowań, być może nawet pozwala zrozumieć fenomen jej popularności, choć nowych czytelników pewnie jej nie przysporzy. To zbiór kierowany do wiernej publiczności, na dodatek raczej bezkrytycznej, bo to rzecz bardzo nierówna. W najgorszych momentach Novik mechanicznie powtarza sprawdzone pomysły, jak w „Vici" oraz „Smokach i manierach", nawiązujących do powieściowego cyklu „Temeraire" o smokach podczas wojen napoleońskich (to drugie opowiadanie jest przy okazji trawestacją „Dumy i uprzedzenia"), czy w „Po godzinach" – dla odmiany odwołującym się do cyklu „Sholomance" – które bardziej przypomina średnio udane *fan fiction* niż prozę doświadczonej autorki. W najlepszych tekstach Amerykanka potrafi jednak uruchomić prawdziwe emocje i dać coś więcej niż powierzchowne portrety swoich bohaterek: tytułowy „Głęboko pogrzebany" jest inteligentną wariacją na temat mitu o Ariadnie i Minotaurze, a świetne „Siedem" w konwencji fantasy zamyka historię o kruszeniu patriarchalnego porządku świata. Najczęściej jednak opowiadania Novik nie wykorzystują tkwiącego w nich potencjału, ledwo ślizgają się po tematach, rozdarte między lekko pikantnym young adult, baśniami dla dorosłych i przezroczystą nijakością.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Kiedy brzęczy w brzuchu 4/6

Jakub Małecki, **Obiekty głębokiego nieba**, SQN, Kraków 2025, s. 256

Łatwo sympatyzować z bohaterami Jakuba Małeckiego, młodymi dorosłymi, którzy nagle dobiegają czterdziestki i wciąż nie do końca odnaleźli się w życiu. Nadal też mówi do nich przeszłość, wewnętrzny głos zaciąga hamulec, odzywa się dawna trauma lub silne wspomnienie. Albo pszczoła połknięta w dzieciństwie. Nowa powieść też składa się z flashbacków. Jan Wrzosek wychował się na wsi, zawsze miał słabość do świń, trochę pisał. Dorastał w rozbitej rodzinie – matkę ciągnęło do większego świata. Ojciec sobie z tym nie poradził, nachodzi byłą żonę, powątpiewa w sens wszelkich starań, chowa ciężką tajemnicę. Jan układa sobie życie w Warszawie, ale wszystko tu wydaje się tymczasowe. Praca w budowlance poniżej jego kompetencji. Małżeństwo z Igą, która w ramach urozmaicenia wikła ich w seksualne relacje z inną parą. Uczucia się komplikują, Jan jest wiecznie skołowany. Wraca na wieś, żeby zająć się ojcem – pożera go nowotwór.

Nowa powieść nie jest tak zagmatwana – w pozytywnym sensie tego słowa – jak „Korowód", ale znów pojawia się motyw ciążącej przeszłości. Najciekawsze są u Małeckiego wewnętrzne dialogi, relacje rodziców i dorosłych dzieci. I wątek awansu społecznego, który w teorii tylko jest pożądany. Nie mniej istotnym dodatkiem jest język subtelnych metafor. O ataku paniki pisze Małecki na przykład: „Wstała gwałtownie, przewróciła krzesło, odwrócili głowy w jej stronę, pokój się przechylił, uderzył ją w głowę i bark". Czasem trzeba tej wiercącej się w brzuchu pszczoły posłuchać i odpuścić.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© ALEKSANDER JAŁOSIŃSKI/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a

KULTURA+



Jesień 2025

115 najciekawszych wydarzeń kulturalnych

- Konkurs Chopinowski bez biletu
- Jak strój tworzył wizerunek
- Długie pożegnanie Swans
- Nasi w Osace
- AI w teatrze

© WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI (2)

Leonora Armellini (u góry) **i Hyuk Lee – finaliści poprzedniej, XVIII edycji Konkursu Chopinowskiego**

eprasa.pl

KALENDARIUM WYDARZEŃ: JESIEŃ

WRZESIEŃ

do 19.10 | DESIGN | **Jorge Zalszupin** | Visteria Foundation. Willa Gawrońskich | Warszawa

do 2.11 | SZTUKA | **Boznańska. Kameralnie** | Muzeum Narodowe | Kraków

do 30.11 | SZTUKA | **Wystawa: Drwal. Historie o męskości** | CK Zamek | Poznań

17–21.09 | FILM | **Święto Niemego Kina** | Kino Iluzjon | Warszawa

19–28.09 | MUZYKA | **68. Warszawska Jesień i 15. Mała Warszawska Jesień** | różne miejsca | Warszawa

19.09 | MUZYKA | **Najlepsze miasto świata – premiera opery Cezarego Duchnowskiego** | Opera Narodowa | Warszawa



Olga Boznańska, „Autoportret z kwiatami", 1909 r.

19–21.09 | SZTUKA | **Warsaw Gallery Weekend** | Warszawa

19–28.09 | TEATR | **XXIX Ogólnopolski Festiwal Komedii Talia 2025** | Teatr im. Ludwika Solskiego | Tarnów

20.09 | TEATR | **Żar, reż. Jan Englert** | Teatr Polonia | Warszawa

24–28.09 | TEATR | **XV Koszalińskie Konfrontacje Młodych m-teatr 2025** | Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Słowackiego | Koszalin

26.09–5.10 | FILM | **Festiwal Młode Horyzonty** | 20 miast

26.09 | TEATR | **Rękopis znaleziony w Saragossie. Dziedzictwo Gomelezów, reż. Grzegorz Jarzyna** | Teatr Polski | Warszawa

26.09 | TEATR | **Zły. Warszawska jazz opera, reż. Jerzy Jan Połoński** | Teatr Rampa | Warszawa

26–28.09 | MUZYKA | **Szalone Dni Muzyki** | Teatr Wielki-Opera Narodowa | Warszawa

26-28.09 | INTERDYSCYPLINARNE | **3. Festiwal Wawel jest WASZ** | Zamek Królewski na Wawelu | Kraków

27–28.09 | KOMIKS | **Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier** | Atlas Arena | Łódź

27.09 | TEATR | **Un-Packing, reż. Katarzyna Kalwat** | Teatr Dramatyczny | Warszawa

27.09 | TEATR | **AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia, reż. Natalia Korczakowska** | Studio Teatrgaleria | Warszawa

28.09–18.01 | SZTUKA | **Waldemar Cwenarski. Czułość** | Muzeum Narodowe | Wrocław

29.09 | MUZYKA | **London Symphony Orchestra** | NFM | Wrocław

30.09 | MUZYKA | **Nena** | Progresja | Warszawa

30.09–1.10 | MUZYKA | **Maggie Reilly** | Stary Maneż, Progresja | Gdańsk, Warszawa



Beata Kozidrak

PAŹDZIERNIK

2–24.10 | MUZYKA | **19. Konkurs Chopinowski** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

3–5.10 | MUZYKA | **Auksodrone** | Mediateka | Tychy

3.10–11.01 | SZTUKA | **Czarny Karnawał. Ensor/Wojtkiewicz** | Muzeum Narodowe | Warszawa

3.10 | TEATR | **Memling, czyli historia końca świata, reż. Agata Duda-Gracz** | Teatr Wybrzeże | Gdańsk

3.10–29.03 | SZTUKA | **Dzieci X Muzy. Ruchome obrazy i sztuka** | CSW Znaki Czasu | Toruń

4.10 | MUZYKA | **Tosca – premiera opery Giacomo Pucciniego** | Teatr Wielki | Łódź

7–12.10 | MUZYKA | **Unsound** | Kraków

8–12.10 | TANIEC | **Ciało/Umysł 2025. XXIV Międzynarodowy Festiwal Sztuki Tańca i Performansu** | Studio Teatrgaleria i Pawilon Tańca | Warszawa

9.10 | MUZYKA | **Sophie Ellis-Bextor** | Progresja | Warszawa

9.10–8.02 | SZTUKA | **Niech nas widzą! Gest, strój, ciało** | Zamek Królewski | Warszawa

9–12.10 | MUZYKA | **28. Festiwal „Pamiętajmy o Osieckiej"** | Teatr Nowy | Poznań

10.10 | MUZYKA | **Hrabina – premiera opery Stanisława Moniuszki** | Teatr Wielki | Poznań

10–19.10 | FILM | **41. Warszawski Festiwal Filmowy** | Warszawa

10.10–17.12 | SZTUKA | **Opowiem Wam o półsnach** | Muzeum Narodowe | Gdańsk

10.10 | TEATR | **Pan Tadeusz, reż. Wojtek Klemm** | Teatr im. Słowackiego | Kraków

11.10–30.11 | MUZYKA | **Kult – Trasa Pomarańczowa** | Poznań, Warszawa, Olsztyn, Kraków, Katowice, Łódź, Zielona Góra

11.10 | TEATR | **Era Wodnika, reż. Małgorzata Warsicka** | Teatr Dramatyczny | Warszawa

11.10 | TEATR | **Dzień Świstaka, musical w reż. Marcina Wierzchowskiego** | Teatr Muzyczny Capitol | Wrocław

11–12.10 | SZTUKA | **18. Międzynarodowe Triennale Tkaniny** | Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

12–18.10 | TEATR | **11. Międzynarodowy Festiwal Teatralny Dialog – Wrocław** | Wrocław

12–26.10 | TEATR | **7. Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny** | Teatr im. Żeromskiego | Kielce

14.10 | MUZYKA | **Irreversible Entanglements** | Pardon, To Tu | Warszawa

15.10 | MUZYKA | **Shame** | Niebo | Warszawa

15–19.10 | FILM | **Festiwal Mediów Człowiek w Zagrożeniu** | Łódź

15–16.10 | MUZYKA | **HVOB** | Palladium, Tama | Warszawa, Poznań

16–31.10 | TEATR | **XII Festiwal Wybrzeże Sztuki** | Teatr Wybrzeże | Gdańsk

16.10 | MUZYKA | **Sun Kil Moon** | Proxima | Warszawa

17.10 | MUZYKA | **Ariadna na Naxos – premiera opery Richarda Straussa** | Opera Krakowska | Kraków

17–21.10 | MUZYKA | **Festiwal Soundedit** | Klub Wytwórnia | Łódź

17.10–18.01 | SZTUKA | **Abakanowicz. Bez reguł. Abakany i arrasy w komnatach** | Zamek Królewski na Wawelu | Kraków

17–26.10 | TEATR | **XIII Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona"** | Teatr Nowy | Zabrze

17.10–29.03 | SZTUKA | **A może coś innego? Współczesność na Wawelu** | Zamek Królewski na Wawelu | Kraków

18–24.10 | TEATR | **31. Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek i Formy „Spotkania"** | Teatr Baj Pomorski | Toruń

20–21.10 | MUZYKA | **Mariusz Patyra** | Toruń, Gdańsk

© MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, MATERIAŁY PRASOWE (2), ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

eprasa.pl 8b5cbd649a

KALENDARIUM WYDARZEŃ: JESIEŃ

20–21.10 | MUZYKA | **Sting** | Tauron Arena, PreZero Arena | Kraków, Gliwice

22–26.10 | MUZYKA | **Jazz Jantar 2025** | Klub Żak | Gdańsk

23–26.10 | MUZYKA | **Jazz Jamboree 2025** | Stodoła | Warszawa

25.10 | TEATR | **Sublokatorka. Instrukcja przeżycia, reż. Maja Kleczewska** | Teatr Powszechny | Warszawa

25.10–25.01 | SZTUKA | **Dom dzienny, dom nocny** | MOCAK | Kraków

26.10 | MUZYKA | **The Offspring** | Atlas Arena | Łódź

31.10–8.11 | MUZYKA | **Krakowskie Zaduszki Jazzowe** | Kraków



Diana Krall

LISTOPAD

3.11 | MUZYKA | **The Necks** | Pardon, To Tu | Warszawa

5–8.11 | MUZYKA | **The Kiffness** | Palladium, A2, B90 | Warszawa, Wrocław, Gdańsk

6–11.11 | MUZYKA | **Festiwal Sacrum Profanum** | Kraków

6.11 | MUZYKA | **Spirit Of The Beehive** | Chmury | Warszawa

6–11.11 | FILM | **American Film Festival** | Wrocław

7–8.11 | MUZYKA | **Sol Gabetta** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

7.11 | SZTUKA | **Stanisław Szukalski i Szczep Rogate Serce: Zamarły lot** | Galeria „Gardzienice" | Lublin

7–21.11 | TEATR | **Festiwal Prapremier „Wszystko co ludzkie"** | Teatr Polski | Bydgoszcz

7.11–8.03 | DESIGN | **Polska biżuteria artystyczna XX wieku** | CSW Znaki Czasu | Toruń

7–9.11 | MUZYKA | **Stacey Kent** | Jassmine | Warszawa

8–9.11 | MUZYKA | **Inside Seaside** | AmberExpo | Gdańsk

8.11 | MUZYKA | **Lumière (tryptyk baletowy) – premiera** | Opera Wrocławska | Wrocław

9.11 | MUZYKA | **Festiwal Kompozytorów Polskich** | Bielsko-Biała

9.11 | MUZYKA | **Uriah Heep** | Hala Orion | Wrocław

10.11 | MUZYKA | **To Kraków Tworzy Metamorfozy feat. Smolik** | Tauron Arena | Kraków

12–13.11 | MUZYKA | **Cinnamon Gum** | Niebo, Poczta Główna | Warszawa, Kraków

12–16.11 | FILM | **British Film Festival** | Poznań

12–19.11 | FILM | **Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków** | Warszawa

12–30.11 | FILM | **Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków** | online

12.11–8.12 | MUZYKA | **7. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Wschodniej Eufonie** | Warszawa i inne miasta



Stanisław Szukalski, 1951 r.

13–16.11 | MUZYKA | **Jazzowa Jesień im. Tomasza Stańko** | BCK | Bielsko-Biała

13.11 | TANIEC | **Symfonia tańca – premiera** | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa

14–23.11 | MUZYKA | **Jazztopad** | NFM | Wrocław

15–17.11 | TANIEC | **IV Kongres Tańca** | CSW Zamek Ujazdowski | Warszawa

15–22.11 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy EnergaCamerimage** | Toruń

15.11 | TEATR | **Czas na wielki numer, reż. Barbara Bendyk** | Teatr im. Jaracza | Łódź

16–18.11 | MUZYKA | **Diana Krall** | Dom Muzyki i Tańca, Narodowe Forum Muzyki | Zabrze, Wrocław

19.11 | MUZYKA | **Marilyn Manson** | Torwar | Warszawa

19–23.11 | INTERDYSCYPLINARNE | **20. Międzynarodowy Festiwal Sztuki Opowiadania Historie/Herstorie** | Mazowiecki Instytut Kultury | Warszawa

21.11 | MUZYKA | **Wrocław Hip-Hop Festival** | Hala Stulecia | Wrocław

21.11–4.05 | SZTUKA | **Kwestia kobieca/Miasto kobiet** | Zamek Królewski | Warszawa

22.11 | MUZYKA | **One Love Wrocław Music Festival** | Hala Stulecia | Wrocław

22.11 | TEATR | **Termopile polskie, reż. Jan Klata** | Teatr Narodowy | Warszawa

23.11 | MUZYKA | **Dorian Gray – premiera opery Elżbiety Sikory** | Teatr Wielki | Poznań

25.11 | MUZYKA | **Swans** | Stodoła | Warszawa

27.11 | MUZYKA | **Wardruna** | Hala Stulecia | Wrocław

27–28.11 | MUZYKA | **Mono** | Kwadrat, Proxima | Kraków, Warszawa

28.11 | MUZYKA | **Salome – premiera opery Richarda Straussa** | Opera Wrocławska | Wrocław

28–30.11 | SZTUKA | **Warszawskie Targi Sztuki** | Hala EXPO | Warszawa i inne miasta

29.11–3.12 | MUZYKA | **SBB** | Kraków, Wrocław

29.11 | MUZYKA | **Beata Kozidrak x Kamp!** | Atlas Arena | Łódź

29.11 | MUZYKA | **Amahl i nocni goście – premiera opery** | Opera Krakowska | Kraków

29.11 | TEATR | **Potok, reż. Wiktor Rubin** | Teatr im. Żeromskiego | Kielce

GRUDZIEŃ

4–14.12 | TEATR | **Międzynarodowy Festiwal Teatralny Boska Komedia** | Kraków

4.12.2025–29.03.2026 | ARCHITEKTURA | **Ukryte szczątki. Architektura wsi w powojennej Polsce** | Muzeum Architektury | Wrocław

5–14.12 | FILM | **25. Międzynarodowy Festiwal Filmowy WATCH DOCS. Prawa człowieka w filmie** | Kinoteka, Kino Muranów, KINOMUZEUM MSN | Warszawa

6.12 | TANIEC | **Dziadek do orzechów – premiera baletu Piotra Czajkowskiego** | Teatr Wielki | Łódź

06.12 | TEATR | **Prowadź swój pług przez kości umarłych, reż. Lena Frankiewicz** | Teatr im. Jaracza | Łódź

7.12 | MUZYKA | **Marcin Masecki & Boleros** | Stodoła | Warszawa

10–14.12 | MUZYKA | **Actus Humanus Nativitas** | Gdańsk

13.12 | MUZYKA | **Verdi Gala** | ICE Kraków | Kraków

14.12 | MUZYKA | **recital Grigorija Sokołowa** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

17.12 | MUZYKA | **koncert Jerusalem Symphony Orchestra** | NFM | Wrocław

eprasa.pl 8b5cbd649a



Natalia Korczakowska (1979 r.) – reżyserka, autorka tekstów i scenografii, od 2016 r. dyrektorka artystyczna Studio Teatrgalerii w Warszawie. W spektaklach teatralnych i operowych bada temat władzy. W Studio w ostatnich latach wyreżyserowała m.in. „Biesy" Dostojewskiego, „Berlin Alexanderplatz" Döblina czy „Polowanie na osy. Historia na śmierć i życie" według reportażu Wojciecha Tochmana. Premiera „AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia" odbędzie się w Studio 27 września.

Pycha i upokorzenie

Ludzie tym bardziej będą szukać „żywych" doświadczeń, jakie oferuje teatr, im bardziej będą w życiu otoczeni przez automaty – mówi reżyserka Natalia Korczakowska przed premierą spektaklu „AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia" w Studio Teatrgalerii w Warszawie.

ANETA KYZIOŁ: **– Dziennikarze, jak wiele innych branż, przyglądają się rozwojowi sztucznej inteligencji zarówno z ciekawością, jak i z obawą, że zabierze im pracę. Jak postrzegają ją ludzie teatru?**

NATALIA KORCZAKOWSKA: – Ja mam nadzieję, że sztuczna inteligencja w teatrze zadziała trochę jak wejście elektryczności na przełomie XIX i XX w. Tzw. efekt obcości Bertolta Brechta powstał podobno w następstwie tego, że na próbie ktoś przypadkiem skierował spot reflektora w kulisę, obnażając sznurownię, maszynerię odpowiedzialną za tworzenie iluzji, a potem na aktora, zamieniając go w świetlistą, nierealistyczną postać. To zaowocowało ideą, wedle której tworzenie dystansu do bohatera może uczyć widza krytycznego myślenia; teatr przestał być tylko obrazem rzeczywistości, stał się także medium jej kwestionowania. Może sto lat później sztuczna inteligencja i sztuka cyfrowa dadzą teatrowi tego typu impuls, wydobywając z mroku tym razem widza? Kiedy przygotowywałam się do nowej premiery, uderzyło mnie, że globalne korporacje technologiczne walczą o sekundy ludzkiej uwagi, a nam w teatrze co wieczór kilkuset widzów daje dwie godziny swojej uwagi i czasu. Jeżeli teatr podkreśli tę bezpośrednią relację z widzami, to jest szansa, że przetrwa i się wzmocni, bo ludzie tym bardziej będą szukać tego typu „żywych" i bezpośrednich doświadczeń, im bardziej będą w życiu codziennym otoczeni przez automaty.

To ciekawe, bo wydaje się, że wydarzenie, do którego się odnosisz w sztuce, nie napawa optymizmem. To głośny pojedynek z 2016 r. w planszowej grze go, bardzo skomplikowanej i bardzo popularnej w Azji, który człowiek przegrał z maszyną, napędzanym sztuczną inteligencją programem AlphaGo Google.

To zależy, jak na to spojrzeć. Lee Sedol, koreański mistrz go, jedną z pięciu gier w ramach tego meczu jednak spektakularnie wygrał, powodując całkowity rozpad wyrafinowanego systemu algorytmów AlphaGo. Jeszcze więc za wcześnie, żeby się mścić w pozycji ofiary. A podejmując w teatrze temat sztucznej inteligencji, mamy szansę przyciągnąć do niego nową widownię i tym samym poszerzyć krąg jego odbiorców i przedłużyć jego życie. Gra go może w Polsce nie jest bardzo popularna, ale internetową transmisję rozgrywki oglądało 200 mln ludzi na całym świecie, czyli tyle ile finał Eurowizji. W tym osoby zainteresowane przyszłością świata i sztuki – jedną z nich był Marc da Costa, multimedialny artysta z Onassis ONX Studio w Nowym Jorku, który w naszym spektaklu jest odpowiedzialny za warstwę cyfrową razem z Marcinem „Kitty" Kosakowskim.

Co cię w tym pojedynku zafrapowało teatralnie?

Sam jego przebieg jest niezwykle dramatyczny i został misternie zorganizowany przez Google DeepMind jako spektakl medialny, który zapewnił im dominację na rynku AI. Lee Sedol urasta tutaj do rangi bohatera tragicznego. Na początku, zwłaszcza podczas pierwszej

© ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

eprasa.pl 8b5cbd649a

konferencji prasowej, to czuć, wykazuje się pychą niczym herosi z antycznych tragedii. A potem przegrywa trzy gry, więc i cały, złożony z pięciu gier mecz, ale musi grać do końca, upokorzony. To forma medialnej egzekucji wizerunku bohatera, ale też oglądającej ją ludzkości, której reprezentantem jest Koreańczyk. Odkryłam to, oglądając kultowy film dokumentalny „AlphaGo" Grega Kohsa, którego fragmenty zobaczymy w spektaklu. Przeszłam też sześciotygodniowy kurs online na MIT dotyczący różnych aspektów – teoretycznych i praktycznych – AI, żeby lepiej zrozumieć naturę tego zjawiska, i pojechałam do Seulu i Tokio na research w środowisku graczy go. Ten mecz uważany jest za przełomowy, wtedy sztuczna inteligencja miała się stać autonomiczna, bo program AlphaGo uczył się od pewnego momentu, grając sam ze sobą, a jego ruch 37. z drugiej gry uznawany jest za wychodzący poza wszystko, co człowiek kiedykolwiek wymyślił i zagrał w ciągu 4 tys. lat istnienia go. Na podstawie tych wszystkich doświadczeń i wielu lektur powstała moja sztuka „AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia".

Lee Sedol zniknął z życia publicznego na dekadę, ale teraz wraca i wygłasza wykłady, a i człowiek wciąż nie powiedział ostatniego słowa.

Tak. Można powiedzieć, że w ramach tego meczu rozgrywa się cały dramat dotyczący naszego współistnienia ze sztuczną inteligencją. Jednocześnie ta gra, mecz i cała jego otoczka, także medialna, są bardzo teatralne i bardzo rytualne. Odbija się w nim nasza kultura i społeczeństwo spektaklu.

Ten pojedynek odbywał się w nowo wtedy otwartym w Seulu hotelu sieci Four Seasons. Te oazy dla bogaczy znamy jako prawdziwe scenerie fikcyjnych obiektów znanych z kolejnych sezonów serialu „Biały Lotos".

W spektaklu odtwarzamy rozgrywki i częściowo przestrzeń gry, a widownia będzie podzielona na dwie części, odzwierciedlające podziały społeczne: vipy, uprzywilejowani obejrzą grę na żywo, reszta widzów zobaczy zmediatyzowany, przepuszczony przez kamery obraz z komentarzem ekspertów.

Czy w procesie tworzenia korzystałaś z pomocy sztucznej inteligencji?

DeepMind stworzył m.in. program do pisania sztuk oparty na podobnym mechanizmie jak AlphaGo, dostałam go do testowania. Ale sztukę napisałam samodzielnie, choć trzykrotnie użyłam asystenta Gemini Google – do budowania strumieni świadomości bohaterów, w tym postaci schizofrenika oraz postaci, która jest współczesną wersją Hannah Arendt. Przyjeżdża na mecz jako komentatorka zatrudniona przez DeepMind, ale zaczyna widzieć w sztucznej inteligencji zagrożenie dla świata i ludzi. Tworząc jej strumień świadomości, poprosiłam Gemini, żeby zmiksował wybrane teksty Arendt z legendą o Wielkim Inkwizytorze Dostojewskiego i dystopią Doliny Krzemowej. To był niezwykle inspirujący punkt wyjścia do powstania tego kluczowego fragmentu sztuki. AI jest świetnym narzędziem, ale trzeba dokładnie wiedzieć, jaki efekt chce się osiągnąć. Moim celem było popchnięcie dyskusji na temat zła dalej – od banalności zła w stronę wydajności, efektywności – *efficiency*, ona dziś usprawiedliwia wszystko.

W reżyserii AI też pomaga?

Nie pomaga, muszę to sama zrobić. ■

REKLAMA

KUJAWY POMORZE

Kujawsko-Pomorskie Week

EXPO 2025 Osaka
11-17.09.2025



Poland.
Expo2025.Osaka.Kansai

KUJAWY POMORZE

2025 YEAR OF KUJAWY AND POMORZE PEOPLE OF SCIENCE

eprasa.pl 8b5cbd649a

Stare i nowe szaty króla

Kluczowe porzekadło „Jak cię widzą, tak cię piszą” mogłoby być mottem ciekawej wystawy, która zostanie otwarta jesienią w Zamku Królewskim w Warszawie.

PIOTR SARZYŃSKI

Sposobów na budowanie własnego wizerunku i podkreślanie pozycji społecznej jest dziś wiele: samochód, styl urządzenia mieszkania lub domu, sposób spędzania wakacji i wolnego czasu, krąg znajomych, a także – coraz częściej – obecność i zasięgi w mediach społecznościowych. Maleje natomiast znaczenie ubioru jako narzędzia wyrażania swego statusu społecznego i zawodowego, gustów, a nawet poglądów czy temperamentu. A gra kodami wizualnymi staje się coraz trudniejsza. Milionerzy często noszą się jak żebracy, a ludzie ubodzy mają łatwy dostęp do ubrań, które imitują świat dla nich niedostępny (np. dzięki podróbkom markowej odzieży).

Nawet młodzież, która poprzez ubranie zawsze podkreślała swą odrębność, a nawet muzyczne gusty (jeszcze parę dekad temu łatwo było odróżnić fana punk rocka od heavy metalu czy reggae), dziś ulega presji homogenizacji narzucanej przez wielkie koncerny modowe. Jednak w przeszłych wiekach strój (a czasami nawet przebranie) stanowił precyzyjny komunikat o tym, kim się jest lub do czego się aspiruje, jaki obraz siebie chciałoby się utrwalić w oczach innych. I o tym traktuje warszawska wystawa pieczołowicie przygotowana przez Monikę Przypkowską.



Zofia Kulik, „Wspaniałość siebie III”, 1997 r.
Poniżej: **zbroja młodzieńcza Zygmunta Augusta, 1533 r.**



Oznaki władzy

Snuta na ekspozycji opowieść zaczyna się gdzieś w XVI w., a jednym ze starszych eksponatów, których łącznie zebrano 250 (!), jest hełm cesarza Karola V Habsburga powstały ok. 1550 r. Wypożyczony z Kunsthistorische Museum w Wiedniu paradny eksponat to doskonały przykład elementu militarnego kostiumu, który podkreślał zarówno cechy właściciela (waleczność, odwaga), jak i – poprzez bogate zdobienia – jego społeczną pozycję. Zresztą jak na królewską rezydencję przystało, większość podjętych na wystawie narracji ma korzenie w uprzywilejowanych grupach społecznych przeszłych wieków. Mamy więc oddzielne opowieści o wizualnych figurach władcy, rycerza, myśliwego, filozofa, damy. Snute nie tylko za pomocą samych ubiorów i dodatków do nich, lecz również malarstwa, rzeźby czy ceramiki.

W świat władców efektownie wprowadza podbity futrem gronostajowym płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta. Duże wrażenie robi także portret Władysława Dominika Zasławskiego-Ostrogskiego pędzla Bartłomieja Strobla (kto pamięta, że jedyny w stałej ekspozycji madryckiego Prado obraz polskiego malarza wyszedł właśnie spod jego pędzla?). W tej sekcji chyba najbardziej ujawnia się opisana przez Pierre'a Bourdieu tzw. przemoc symboliczna, kiedyś szeroko stosowana za pomocą ubioru, a dziś szczątkowo zachowana w haute couture i – być może – w szeroko pojętym umundurowaniu, od oficera po księdza.

Obok oczywistych przykładów budowania wizerunku poprzez ubiór mamy na wystawie wiele dodatkowych, wzbogacających obraz tropów. Oczywiście spektakularna młodzieńcza zbroja Zygmunta Augusta to ewidentny znak przysposabiania do władzy i budowania jej prestiżu już od najmłodszych lat. Nie mamy też wątpliwości, że zderzenie ze sobą portretu zamyślonego, zatroskanego Denisa Diderota (obraz Louisa-Michela van Loo) z „Czeszącą włosy” Wojciecha Weissa to zwrócenie uwagi na utrwalany przez stulecia poprzez wygląd wizerunek stworzonego do mądrości mężczyzny i do piękna – kobiety. Ale czy kostium polującej Diany jest tylko kobiecą „przebieranką”, czy jednak zakamuflowaną emancypacyjną próbą wkroczenia na zastrzeżone dla mężczyzn terytorium? A bohaterka ciekawego obrazu Odo Dobrowolskiego „W buduarze” (1908 r.), uwalniając się od gorsetu, ma tylko moment oddechu od wizerunku, który prezentować musi na co dzień – czy symbolizuje jednak akt sprzeciwu, wyzwolenia?

Na każdą okazję

Wystawa ma charakter historyczny, ale zaskakująco dużo pokazywanych dzieł sztuki pochodzi z ostatnich dekad. Autorka wystawy skupia się także na tym, jak owa dawna symbolika ubiorów zmieniała się w kolejnych epokach i w jakiej kondycji przetrwała do dzisiejszych czasów. Ubiór coraz słabiej wskazuje na status społeczny czy materialny, przynależność do określonych grup społecznych czy zawodowych. Od manifestowania czegoś strojem przechodzimy raczej ku kamuflażowi, pozwalającemu się dostosowywać poprzez odzienie do różnych sytuacji i do zgrabnego zastępowania jednej maski drugą. Na wystawie świetną egzemplifikacją owego trendu jest praca Anety Grzeszykowskiej „Kate's

© IZABELA GRZYBOWSKA

eprasa.pl 8b5cbd649a

Portfolia", która jest fotograficznym, niemal katalogowym zestawieniem 91 kreacji tytułowej Kate. Na każdą okazję.

Pozostaje jednak bardzo ciekawy obszar, gdzie kostium ciągle jest formą demonstracji – choć już nie przynależności – poglądów, postaw, ideowej identyfikacji. Taką funkcję po drugiej wojnie światowej pełniły choćby tzw. oficerki, a w stanie wojennym – wpięty w klapę marynarki lub płaszcza opornik (można było zań dostać niezłe baty od patrolu Milicji Obywatelskiej). „Jeżeli ktoś miał okulary, powyciągany sweter, amerykańską wojskową kurtkę i brezentową torbę, to było wiadomo, że niesie jakieś papiery" – wspominał Andrzej Stasiuk w „Jak zostałem pisarzem". Na słynnym obrazie Wojciecha Fangora „Postaci" (1950 r.) to zderzenie ubioru dwóch kobiet stanowi oś narracji na temat postaw ideowych w owych czasach.

W ostatnich latach ów trend kontynuuje, po jednej stronie, tzw. odzież patriotyczna, a po drugiej – ubrania z motywem tęczy. Na wystawie zwraca uwagę praca Bartka Kiełbowicza przedstawiająca dwoje dzieci: dziewczynkę w rozmalowanej tęczowo sukience i chłopczyka w biało-czerwonym ubranku. Ideologiczny trening poprzez ubranie już od dzieciństwa. „Nie ubiór zdobi człowieka" – głosi inne przysłowie. Zapewne. Ale na pewno go definiuje. I o tym właśnie, z historycznym rozmachem, traktuje ta wystawa.

Niech nas widzą, wystawa zbiorowa,
Zamek Królewski w Warszawie
10 października 2025 – 8 lutego 2026 r.

© KOLEKCJA FUNDACJI SZTUKI POLSKIEJ ING, ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU – PAŃSTWOWE ZBIORY SZTUKI, WOJCIECH KOLIS



Stolica tkaniny

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

Na początku października czeka nas otwarcie 18. edycji Międzynarodowego Triennale Tkaniny. Hasło przewodnie: Dekonstrukcja/Rekonstrukcja. Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi (CMWŁ) od 1975 r. jest gospodarzem wydarzenia o wielkiej historii. Zwykło się mawiać, że w swojej dziedzinie Triennale jest jedną z bardziej prestiżowych imprez na całym świecie. Sam udział stanowi wielkie wyróżnienie. Pomysł zrodził się jeszcze w połowie lat 60. XX w. Za inspirację dla ówczesnej dyrektorki CMWŁ Krystyny Kondratiuk posłużyła urokliwa Lozanna w Szwajcarii, gdzie odbywało się Międzynarodowe Biennale Tkaniny.

Wróćmy do czasów współczesnych i edycji nr 18. Pierwsze skrzypce będzie grało obszerne hasło dekonstrukcji oraz rekonstrukcji. Oddajmy głos kuratorkom wydarzenia, którymi są Marta Kowalewska i Bukola Oyebode-Westerhuis. „Zagubieni i rozczarowani podejmujemy próbę powrotu do archetypów, do tego, co rdzenne i pierwotne. Szukamy śladów, próbujemy zrekonstruować zburzone porządki i kultury" – piszą w swym tekście. „Chociaż rekonstrukcja jest pojęciem ogólnym, w kontekście tego triennale myślimy o tym słowie poprzez idee renowacji i naprawy".

Wydaje się, że dotykamy sedna. Chodzi o budowanie nowego, sprawiedliwszego świata. Wykucie alternatywy, która w obliczu natłoku kryzysów i katastrof wydaje się nieodzowna. Stary porządek wyraźnie się chwieje. Tylko czy ten nowy, który miałby po nim nastąpić, będzie choć odrobinę lepszy?

Wydarzenie potrwa pół roku, do kwietnia 2026 r. Lepiej się nie spóźnić, bo kolejna okazja dopiero za trzy lata. Jak to triennale. ■

REKLAMA

Literacka Podróż Hestii

Od pięciu lat podróżujemy z najlepszymi książkami dla dzieci i młodzieży!

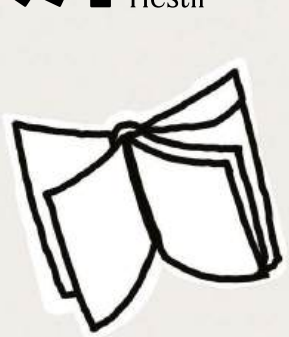



Każdy wyróżniony tytuł to bilet ważny na wszystkie rejsy wyobraźni

ERGO HESTIA

w.s. FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

eprasa.pl 8b5cbd649a



Powrót ze świata

Ważne, by nie przegapić tego momentu – mówi o szansach polskiego dizajnu **Katarzyna Jordan**, założycielka Fundacji Visteria.



PIOTR SARZYŃSKI: **– W materiałach stworzonej przez panią Fundacji Visteria czytam, że ma ona „wspierać rozwój rzemiosła artystycznego i designu, promować polskich twórców za granicą". Czy w tych kwestiach jest jeszcze wiele do zrobienia?**

KATARZYNA JORDAN: – Znajdujemy się w niezwykle ważnym dla polskiego rzemiosła, historycznym momencie. Twórcy i twórczynie z Polski wreszcie są dostrzegani na świecie, zapraszani do udziału w liczących się wydarzeniach, międzynarodowi krytycy dizajnu i prowadzący galerie coraz częściej podkreślają, że nasz region ma ogromny potencjał, również jako źródło ciekawych idei i projektów, a nie tylko jako zaplecze produkcyjne dla przemysłu meblowego. To ważne, żeby tego momentu nie przegapić, odpowiednio go wykorzystać.

Brakuje u nas systemowego wsparcia dla osób zajmujących się rzemiosłem. Wciąż niewiele jest też programów edukacyjnych i stypendiów, które pozwalałyby niezależnym artystom działającym na styku sztuki, dizajnu i rzemiosła odnaleźć się w realiach rynkowych. Chcemy zapełnić tę lukę, pomóc projektantom dotrzeć do dziennikarzy, kuratorów, szefów czołowych instytucji.

Zaczęliście od bardzo udanej wystawy polskiego rzemiosła „Romantyczny brutalizm", którą w „New York Timesie" uznano za jedną z 12 najlepszych podczas Milan Design Week. Co dla odwiedzających ją obcokrajowców okazało się największym odkryciem?

Siłą naszej wystawy było to, że o historii polskiego dizajnu opowiedzieliśmy nowoczesnym językiem. Kuratorka Federica Sala, członkini Rady Programowej Fundacji, zestawiła ze sobą obiekty historyczne i zupełnie współczesne dzieła. To było jej autorskie spojrzenie na naszą kulturę projektową, będące efektem kilku wizyt studyjnych w Polsce. Z kolei projektantka wystawy Zuza Paradowska dołożyła do tej układanki scenografię, która wchodziła w twórczy dialog z wiodącymi motywami ekspozycji. Zamiast linearnej narracji zaproponowaliśmy coś, co było wrażeniowe, wręcz poetyckie. Okazało się, że zabytkowe szkło czy tkaniny doskonale korespondują z tym, co wychodzi z pracowni współczesnych rzemieślników i artystów. Zresztą ten podział – na sztukę i rzemiosło – ulega dziś zatarciu. Nasza wystawa pokazała, że polski dizajn ma mocne korzenie, ale też że potrafi być świeży, zaskakujący.

Wiem, że wielu artystów biorących udział w wydarzeniu nawiązało ważne dla siebie zawodowo kontakty. I o to nam właśnie chodziło, po to powstała Fundacja Visteria. Nie zajmujemy się sprzedażą obiektów, jesteśmy organizacją non profit, której głównym zadaniem jest edukacja, kreowanie wydarzeń, które sprzyjają artystycznej wymianie, wzmacnianie marki, jaką dziś staje się polski dizajn. To bliskie działalności Instytutu Adama Mickiewicza, który z dizajnu uczynił narzędzie uprawiania kulturalnej dyplomacji. Cieszymy się, że Instytut jest naszym partnerem, podobnie jak Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Teraz oglądać można kolejną ekspozycję przygotowaną przez Fundację. Prezentujecie, po raz pierwszy w Polsce, ale też w Europie, dorobek Jorgego Jerzego Zalszupina. To człowiek o niezwykłym życiorysie, ale przede wszystkim o wspaniałym dorobku, w naszym kraju niemal nieznanym.

eprasa.pl 8b5cbd649a

Jorge Zalszupin – urodzony w Warszawie w 1922 r. w żydowskiej rodzinie – to wielka postać światowego dizajnu i architektury. Był jednym z czołowych twórców brazylijskiego modernizmu, autorem ikonicznych projektów, jak choćby uwielbiany przez samego Zalszupina fotel Dinamarquesa, inspirowany duńskim wzornictwem, czy stolik kawowy Petalas. Obiekty autorstwa tego zmarłego pięć lat temu twórcy są wystawiane w najważniejszych galeriach, łącznie z nowojorskim MoMA, uwzględnia się je w kompendiach XX-wiecznego dizajnu. Tymczasem w Polsce dokonania Zalszupina są stosunkowo mało znane. Uznaliśmy, że czas to zmienić.

Wystawa „Warszawa – São Paulo – Warszawa" to symboliczny powrót Zalszupina do kraju dzieciństwa. To także opowieść o niezwykłym, pełnym zwrotów akcji życiorysie Zalszupina oraz o tzw. złotym wieku brazylijskiej architektury. Jednak sednem prezentacji są oczywiście same prace projektu mistrza, których udało nam się zgromadzić w Willi Gawrońskich kilkadziesiąt. To zasługa naszej współpracy z marką ETEL, której prezeska Lissa Carmona jest jedną z kuratorek wystawy, obok Marii Murawsky, jednocześnie także autorki projektu ekspozycji. Marka ETEL słynie z produkcji reedycji kultowych wzorów brazylijskiego dizajnu, w tym dzieł Zalszupina. Na nasze zaproszenie do Polski przyjadą zarówno Lissa Carmona, jak i obie córki Jorgego Zalszupina, Veronica i Marina. To dla nas duże wyróżnienie.

Pani Fundacja dysponuje wspaniałą siedzibą w samym sercu Warszawy, czyli Willą Gawrońskich w Alejach Ujazdowskich. Jaki pomysł ma pani na to miejsce?

W Willi Gawrońskich odbyła się już warszawska edycja wystawy, która zadebiutowała w Mediolanie, oraz dwie edycje targów NADA. Teraz pokażemy w niej dzieła Jorgego Zalszupina, a po zakończeniu wystawy „Warszawa – São Paulo – Warszawa" rozpocznie się remont budynku. W przyszłości będzie się w nim mieściło prywatne muzeum sztuki, dizajnu i rzemiosła artystycznego. Ten adres będzie ściśle związany z fundacją, natomiast na jej działalność patrzymy szerzej. Chciałabym, żeby Fundacja Visteria była szyldem, pod którym mieszczą się rozmaite inicjatywy: seminaria, spotkania, warsztaty, rezydencje artystyczne, szkolenia dla projektantów.

A pomysły międzynarodowe?

Nasza filozofia działania – opierająca się na łączeniu ekspertów z różnych dziedzin oraz współpracy z innymi organizacjami, których statutowym celem jest promocja sztuki i rzemiosła – będzie się odnosić także do tego, co będziemy realizować poza Polską. Przy okazji wystawy w Mediolanie nawiązaliśmy współpracę z Michelangelo Foundation; z pewnością będziemy ją rozwijać.

Będziemy również obecni na branżowych wydarzeniach, m.in. w Londynie i Paryżu. Wreszcie prowadzimy rozmowy z liczącym się na świecie muzeum, dotyczące przekrojowej wystawy rodzimego rzemiosła artystycznego, ale tu nie mogę jeszcze zdradzać szczegółów. Proszę trzymać kciuki, jeśli nasz plan się powiedzie, polski dizajn z pewnością na tym skorzysta. ■

© PION STUDIO, INA LEVY

REKLAMA

Stanisław Moniuszko
HRABINA
Sen Niepodległej Pol(s)ki
Tomala-Jedynak
Sofulak
Karolczak
Binarsch
PREMIERA!
10 X 2025 19:00
GRAMY!
12 X 2025 18:00
14, 16 X 2025 19:00
TEATR WIELKI
im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu
ORGANIZATORZY TEATRU
WIELKOPOLSKA
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MECENAS TEATRU
Enea
eprasa.pl 8b5cbd649a

REKLAMA





Pod napięciem

Martyna Czech, „Pustelnica", 2018 r.
U dołu: Anna Baumgart, „Bombowniczka", 2004 r.

Większość publicznych muzeów i galerii sztuki współczesnej stara się tworzyć własne kolekcje sztuki. Do grona tych starannie budowanych, a więc i godnych uwagi, wypada zaliczyć zbiory CSW Elektrownia w Radomiu. Co ciekawe, własne spore zbiory posiada także radomskie Muzeum im. Jacka Malczewskiego. To pewien ewenement, by w mieście średniej wielkości znajdowały się dwie znaczące kolekcje sztuki współczesnej. Na szczęście nie były budowane na zasadzie rywalizacji, a raczej wzajemnego uzupełniania się. O tym, czym pochwalić się może CSW Elektrownia, przekonać się warto już w najbliższych dniach na wystawie zorganizowanej z okazji 20-lecia istnienia placówki. Z obszernej, liczącej blisko tysiąc obiektów kolekcji wybrano kilkadziesiąt, najlepiej ukazujących z jednej strony bogactwo zbiorów, z drugiej – wiodące w niej nurty. Sporo więc prac klasyki polskiego modernizmu (Rajmund Ziemski, Teresa Tyszkiewicz), w tym abstrakcji geometrycznej, dużo sztuki konceptualnej z jej czołowymi przedstawicielami, jak Natalia LL, Stanisław Dróżdż czy Włodzimierz Borowski. Ciekawie prezentuje się sztuka postmodernistyczna i neoawangardowa. My polecamy szczególnie prace laureatów Paszportów POLITYKI: Mirosława Bałki, Anety Grzeszykowskiej, Marcina Maciejowskiego i Leona Tarasewicza. Łącznie wybrano dzieła 65 twórców ważnych dla polskiej sztuki od lat 60. XX w. do dziś. Ciekawie skonstruowana narracja z oryginalnymi blokami tematycznymi (np. Rytuały, Nonkonformiści czy Chaos i Bezruch) jest świetnym dopełnieniem radomskiej autoprezentacji. P. SA.

Reprezentacja. Z kolekcji Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia", Radom, wystawa czynna 21 września – 9 listopada



eprasa.pl 8b5cbd649a

Gdzie słuchać Chopina

Co pięć lat okazuje się, że pianistyka to nasz sport narodowy. Konkurs Chopinowski śledzą nawet ci, którzy na co dzień się tą muzyką nie interesują. Pytanie: gdzie i jak go śledzić?



Mateusz Dubiel, uczestnik tegorocznego Konkursu Chopinowskiego

DOROTA SZWARCMAN

Gdy na rok przed konkursem, 1 października 2024 r., rozpoczęto sprzedaż internetową biletów, rozeszły się błyskawicznie. Jednocześnie przed siedzibą Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina, gdzie sprzedawano bilety w realu, już o piątej rano stała zorganizowana kolejka. Ceny (na I etap od 80 do 150 zł, na półfinał od 100 do 190 zł, na finał od 150 do 330 zł, były też karnety na poszczególne etapy) nie odstraszyły chętnych.

Tak więc najwięksi fani oraz zagraniczni goście wykupili już, co się dało, i jeśli ktoś zechce się dostać na przesłuchania w Filharmonii Narodowej, możliwe to będzie tylko, jeśli uda się złapać bilet ze zwrotów. Albo wejściówkę, którą będzie można zakupić przed samym przesłuchaniem, o ile będą akurat wolne miejsca siedzące.

Kiedyś było mniejsze zainteresowanie wcześniejszymi etapami, w tym roku pełna sala była nawet na eliminacjach w kwietniu i maju. Trudniej teraz będzie o miejsce na sali. Jeśli więc komuś zależy, by być z konkursem na bieżąco, musi poszukać transmisji.

Internet

Odkąd NIFC na konkursie w 2010 r. po raz pierwszy wprowadził streaming wszystkich przesłuchań na YouTube, zainteresowanie światowe, choć już wcześniej ogromne, jeszcze wzrosło. Zwłaszcza w krajach azjatyckich, zafascynowanych Chopinem od lat. Transmisje są w jakości 4K, a dodatkowo ich wielką zaletą jest to, że można do tych nagrań wrócić – instytut ma do nich prawa, więc zostawia je opublikowane na swoim profilu (Chopin Institute). Od 2015 r. istnieje też specjalna aplikacja Chopin Competition na systemy iOS i Android. Przesłuchania będzie można też oglądać na oficjalnej stronie konkursu (chopincompetition.com – tu również znajdziemy informacje o uczestnikach i jurorach), na profilach NIFC w mediach społecznościowych oraz na chińskiej platformie Weibo.

Media tradycyjne

Spośród telewizji zainteresowała się tym razem konkursem tylko TVP Kultura, która zamierza transmitować przesłuchania konkursowe (potem dostępne będą na VOD). Również tradycyjnie będą to robić radiowa Dwójka oraz internetowe Polskie Radio Chopin (do słuchania także w systemie DAB+). Transmisjom jak zwykle towarzyszyć będą jak zawsze wywiady z uczestnikami/uczestniczkami, a także podsumowania i komentarze krytyczne i eksperckie. O historii konkursów już można słuchać audycji na obu tych kanałach; cykl „Wielki, większy, największy – Konkurs Chopinowski w 100 odsłonach" w Dwójce prowadzą Róża Światczyńska i Przemysław Psikuta. Od września dołączyła też Trójka z cyklem audycji Jacka Hawryluka.

Telebimy Orlenu

Orlen, mecenas konkursu, zaprasza do Stref Melomana. Już poprzednim razem taka strefa się pojawiła. W tym roku Orlen zapowiada jednak działania z większym rozmachem: utworzy strefy nie tylko w Warszawie (18–21 października), ale też w Płocku, Gdańsku, Białymstoku, Lublinie, Szczecinie i Wrocławiu (18–20 października). Gdzie dokładnie – zostanie podane bliżej konkursu, a informacje będzie można uzyskać na profilu Orlen Art & Science, na Instagramie i Facebooku oraz na specjalnej stronie po adresem: www.orlenstrefymelomana.pl.

W strefach będzie można nie tylko bezpłatnie obejrzeć finały konkursowe oraz koncert laureatów na telebimie, ale też po prostu miło spędzić czas z rodziną – zapowiadane są działania edukacyjne, warsztaty i zabawy dla dzieci, pokazy filmów o Chopinie dla dzieci i dla dorosłych oraz odwiedziny gości specjalnych.

Mówienie o Chopinie

A gdzie wymieniać się opiniami o konkursie? W sieci jest wiele miejsc, gdzie można takie dyskusje prowadzić, począwszy od mediów społecznościowych NIFC (w tym możliwości komentowania na bieżąco przesłuchań na YouTube), po prywatnie założone fora: przykładowo na Facebooku profil „XIX Konkurs Chopinowski (2025) i muzyka Chopina". Ja osobiście, jak co pięć lat, zapraszam fanów konkursu na mój blog „Co w duszy gra": blog.polityka.pl/szwarcman. ■

© MCSW ELEKTROWNIA W RADOMIU (2), WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

eprasa.pl 8b5cbd649a



Nowy sezon operowy w wielu miejscach w kraju – tak się składa – łączy się z jubileuszami ważnych instytucji.

Od Moniuszki do Sikory

DOROTA SZWARCMAN

Opera Narodowa inauguruje jesienne działania prapremierą nowego dzieła **„Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie”** z muzyką Cezarego Duchnowskiego i librettem Beniamina M. Bukowskiego na motywach książki Grzegorza Piątka. Wyreżyseruje je Barbara Wiśniewska, dekorację stworzyła Natalia Kitamikado, a poprowadzi muzycznie Bassem Akiki. Dzieło z dwiema bohaterkami – polską architektką związaną z przedwojenną awangardą, wzorowaną na postaci Heleny Syrkus (Agata Zubel), oraz amerykańską dziennikarką o prokomunistycznych sympatiach (Joanna Freszel) – jest swoistym kolażem dokumentów, przemówień i wypowiedzi z udziałem orkiestry, chóru i elektroniki. To opowieść o odbudowie miasta, którą rozpoczęto 80 lat temu, ale w tym gmachu wiąże się ona również z 60-leciem jego rekonstrukcji (połączonej z rozbudową). Jednak wykonają ją artyści zewnętrzni, łącznie z orkiestrą Sinfonia Varsovia, która była jednym z podmiotów zamawiających i wraz z teatrem jest koproducentką wydarzenia. Odbędzie się pięć spektakli.

Inaczej świętuje Opera Wrocławska, bo też to i inny jubileusz: 80-lecie powstania polskiej sceny operowej w tym miejscu, w zabytkowym gmachu zaprojektowanym przez Carla Ferdinanda Langhansa, zachowanym z dawnego Breslau. Pierwszym spektaklem wystawionym tu po wojnie była „Halka” Stanisława Moniuszki; rocznicowy hołd to równie sztandarowy „Straszny dwór” tegoż kompozytora. Reżyseruje go Bruno Berger-Gorski, a w spektaklu znajdą się nawiązania do owych niełatwych lat powojennych. W rolach głównych wystąpią młodzi zdolni śpiewacy, partię Stefana wykona Piotr Buszewski, a Zbigniewa – Paweł Horodyski. W listopadzie z kolei pojawi się na tej scenie „Salome” Richarda Straussa w inscenizacji Mariusza Trelińskiego i Borisa Kudlički; będzie to przeniesienie spektaklu z 2016 r. z Opery Narodowej.

Swoją premierę „Strasznego dworu” szykuje także Opera Bałtycka w Gdańsku – w listopadzie, w reżyserii Jerzego Snakowskiego i pod batutą szefa muzycznego teatru Yaroslava Shemeta. Tu też mamy jubileusz: pierwszy spektakl w tym miejscu miał miejsce w 1950 r.

Teatr Wielki w Poznaniu również rozpoczyna sezon od Moniuszki, który jest patronem tej instytucji od czasu odzyskania niepodległości przez Polskę. Wówczas – tak jak później we Wrocławiu – na początku była „Halka”, teraz w ramach trzeciej już edycji Festiwalu Moniuszki odbędzie się premiera „Hrabiny” w nowatorskiej interpretacji Karoliny Sofulak (co zapowiada już podtytuł, który reżyserka dziełu nadała: „Sen niepodległej Pol(s)ki”). Jednak najważniejszym wydarzeniem w najbliższym kwartale będzie tu listopadowa prapremiera nowej opery Elżbiety Sikory „Dorian Gray”. To pierwsza w historii operowa adaptacja powieści Oscara Wilde’a, dokonana przez znanego i zaprzyjaźnionego z polskimi scenami brytyjskiego reżysera Davida Pountneya. On też będzie odpowiedzialny za inscenizację, a poprowadzi ją dyrektor muzyczny teatru Jacek Kaspszyk.

W Operze Krakowskiej w październiku premiera „Ariadny na Naxos” Richarda Straussa. Spektakl jest koprodukcją z operą w Tel Awiwie, reżyseruje go Ido Ricklin. A w listopadzie coś dla młodszej publiczności: „Amahl i nocni goście” Gian Carla Menottiego, opowieść o małym pastuszku i jego spotkaniu z Trzema Królami.

Teatr Wielki w Łodzi w październiku proponuje nową „Toskę” Giacoma Pucciniego w reżyserii Giorgia Madii i pod batutą Rafała Janiaka, a na mikołajki dla dzieci – premierę baletu „Dziadek do orzechów” Piotra Czajkowskiego, pod którego muzykę choreograf Youri Vámos podłożył nie oryginalną treść opowiadania E.T.A. Hoffmanna, ale „Opowieść wigilijną” Charlesa Dickensa. To spektakl, który wystawiono sześć lat wcześniej w Operze Wrocławskiej, zresztą na wrocławskie deski sceniczne powróci również tej zimy. Wygląda na to, że bojkot dzieł rosyjskich został już na dobre zakończony.

Dla miłośników opery barokowej też się coś znajdzie: w październiku w Polskiej Operze Królewskiej odbędzie się IV Festiwal Barokowy, poświęcony muzyce francuskiej, z premierą „Titon et l’Aurore” Jeana-Josepha de Mondonville’a w reżyserii Natalii Babińskiej. Niestety w tym samym czasie, co Konkurs Chopinowski, jeśli więc ktoś interesuje się i Chopinem, i barokiem, będzie musiał wybierać. ■

eprasa.pl 8b5cbd649a

Po raz 15. Mała Warszawska Jesień, towarzysząc dużej Jesieni, będzie zachęcać dzieci, młodzież i ich bliskich do otwarcia się na świat dźwięków.



Mała dorastająca

15-lecie, będące w życiu miejscem pomiędzy dzieciństwem a dorosłością, zainspirowało organizatorów do działań również „pomiędzy": pomiędzy gatunkami i pokoleniami, w całej różnorodności jednych i drugich. W tym roku będą dominować performanse i działania wspólne. W ramach wielowymiarowego projektu „Sampel, czyli przekrój dźwiękowy owada", w formie właśnie performansów oraz wystaw: wirtualnej (oglądanej za pomocą aplikacji) i realnej (w Warszawskim Obserwatorium Kultury Lab) zapoznamy się z tajemniczymi owadami: mykorówką muchomornikiem, muchotrzmielko(sz)marnikiem, żukonozaurem cyrkolistnym, motylataczem kaktuśnikiem i świerszczonurkiem skrzypcoskrzydłym. Ich dźwięki zaprojektował białoruski kompozytor Andrew Evdokimov (działający w warszawskim Teatrze Guliwer), a jemu i kilkorgu innym kuratorom będą towarzyszyć dzieci z klasy 2a ze Szkoły Podstawowej nr 143 w Warszawie.

Kilkoro muzyków na koncercie performatywnym „Dawno, dawno/teraz" w Teatrze Baj spróbuje odnaleźć część wspólną dla dzieci w wieku 3–6 lat oraz ich babć i dziadków. Z Arturem Zagajewskim, jego bratem Andrzejem (tym z zespołu Hańba!) i ich kolegami na koncercie „Piosenki rodzinne", przeznaczonym dla dzieci od 5. roku życia z opiekunami, powrócimy do świata dzieciństwa obu braci, gdy muzykowali razem w zespole Ziemniaki (ale piosenki będą nowe). Wreszcie w projekcie „Spaceropera 2.0", kontynuowanym po roku poprzednim, odbędzie się parę performansów site-specific, czyli związanych z danym miejscem: Muzeum Narodowym i skwerem Václava Havla. I w tych działaniach obok dorosłych artystów wezmą też udział dzieci. DS

Więcej informacji o wydarzeniach Małej Warszawskiej Jesieni można znaleźć na stronie: **warszawskajesien.art.pl/2025/mala-wj**

POLITYKA nr 38 (3532), 17.09–23.09.2025

© JĘDRZEJ NOWICKI, AMADEUSZ NOSAL

REKLAMA

18th International Triennial of Textile Łódź 2025
18. Międzynarodowe Triennale Tkaniny Łódź 2025

DE CON STRUC TION
RE CON STRUC TION
DE KON STRUK CJA
RE KON STRUK CJA

11.10.2025–12.04.2026

Central Museum of Textiles in Łódź
Piotrkowska 282
Łódź

Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi
więcej | for more: www.cmwl.pl

ORGANIZATOR / ORGANIZER
Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

PATRONATY HONOROWE / HONORARY PATRONAGE
Honorowy patronat Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Marty Cienkowskiej / Honorary Patronage of the Minister of Culture and National Heritage of the Republic of Poland Marta Cienkowska
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Honorowy patronat Prezydent Miasta Łodzi Hanny Zdanowskiej / Honorary Patronage of the Mayor of Łódź Hanna Zdanowska
PREZYDENT MIASTA ŁODZI HANNA ZDANOWSKA

Finansowanie / Financing
Dofinansowano ze środków Miasta Łodzi / Co-financed by the City of Łódź
Mecenas Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi / Patron of the Central Museum of Textiles in Łódź
Partnerami projektu „Tkająca inteligencja" są Fundacja Artystyczna Podróż Hestii i STU ERGO Hestia S.A. / The partners of the project "Weaving Intelligence" are the Hestia Artistic Journey Foundation and STU ERGO Hestia S.A.
Projekt sfinansowano ze środków Fundacji Artystyczna Podróż Hestii / The project was financed by the Hestia Artistic Journey Foundation

PARTNERZY / PARTNERS
ASP Łódź
Bank Polski
ERGO HESTIA
FESTIWAL ŁÓDŹ WIELU KULTUR

eprasa.pl 8b5cbd649a

Ostatni krzyk

Swans i inni, czyli przewodnik po intensywnej jesiennej ofercie koncertowej na polskich scenach.



© ALESSANDRO BOSIO/PACIFIC PRESS/GETTY IMAGES, JOANNA HUCZKO

BARTEK CHACIŃSKI

Łabędzi śpiew przywykliśmy kojarzyć z ostatnim przejawem czegoś. A jeśli zespół ma w nazwie łabędzie – jak Swans – musi się specjalizować w końcach. 71-letni dziś **Michael Gira** założył ten amerykański rockowy zespół w 1981 r. i pracował z nim etapami, przerywając działalność, gdy uznał, że powiedział w danej dziedzinie to, co miał do powiedzenia, a później zaczynając na nowo, gdy miał inny pomysł. Tematyka apokaliptyczna wracała więc w różnej postaci, ale nade wszystko wracał sam „koniec" jako hasło. A teraz Gira zapowiadał, że „Birthing" będzie ostatnim albumem Swans z „wielkim brzmieniem".

Wiemy doskonale, co oznacza ten „big sound". O pierwszym występie Swans w Polsce w 1987 r. Przemysław Mroczek pisał w magazynie „Non Stop", że „natężenie dźwięku było na granicy wytrzymałości ludzkiej percepcji". Przed koncertem na wolnym powietrzu na katowickim Off Festivalu ostrzegali – jako przed wyjątkowo głośnym – sami organizatorzy. Tyle że Gira jest zainteresowany bardziej intensywnością niż głośnością. Nowy materiał to bardziej muzyka totalna: rytualna, transowa i mocna, ponownie z całą orkiestrą brzmień gitarowych, które Gira wykorzystuje na wzór Glenna Branki czy Rhysa Chathama.

Do siedmioosobowego składu Swans wrócił grający właśnie na gitarach Norman Westberg, najdłużej – poza samym Girą – obecny w zespole. Razem tworzą zdyscyplinowaną i niezawodną maszynę koncertową, której nie zdarzają się słabsze wieczory. To może być rzeczywiście ostatnia szansa, by ich zobaczyć, bo nie wiemy, co dalej ze Swans. Choć – jak pamiętamy – „Birthing" nadeszło po albumie „The Beggar", na którym mieliśmy wprost słowa pożegnania: w „Michael Is Done" („Michael już skończył") czy „No More Of This" („Koniec z tym"), a przecież żadnego końca nie było. To jak ze wspomnianym koncertem na Offie w 2012 r.: Swans dostali półtorej godziny, ale graliby do białego rana, gdyby ktoś nie wyciągnął wtyczki z gniazdka. Wcześniej techniczni zespołu odmówili podjęcia takiej decyzji, Gira był tak pochłonięty graniem, że nie było z nim kontaktu, a występ przeszedł do historii także jako ten, który nie mógł się skończyć.

Wśród koncertowych wydarzeń jesieni warto jeszcze zwrócić uwagę na występy amerykańskiej formacji Spirit Of The Beehive, japońskiego Mono, a także jazzowej formacji Irreversible Entanglements (która w kategorii gęstości brzmienia mogłaby rywalizować ze Swans) oraz improwizatorów z The Necks (zagrają w warszawskim Pardon, To Tu). Podczas Jazz Jamboree warto się wybrać na wieczór poświęcony twórczości Piotra Damasiewicza z jego orkiestrą Power Of The Horns na czele, a podczas gdańskiego Jazz Jantar nie można ominąć świetnej formacji gitarzystki Mary Halvorson. Warto się też wybrać na krakowski Unsound, żeby zobaczyć na jednej scenie wychowanego na oberkach polskiego perkusistę Gary'ego Gwaderę i gwiazdę sceny footwork z Chicago RP Boo. W Krakowie można też będzie odkryć dla siebie muzykę młodej grupy YHWH Nailgun oraz szkockiej dudziarki Brìghde Chaimbeul, której muzyce wbrew pozorom pod względem intensywności niewiele brakuje do Swans. ■

eprasa.pl 8b5cbd649a

Remiks historii

Ziemia Kopernika zaprezentowała się w Japonii połączeniem przeszłości i przyszłości.



Kiedy 10 lat temu opublikowaliśmy tekst o polskich naukowcach, którzy – wzorem Alana Turinga czy Stephena Hawkinga – mogliby się stać bohaterami filmów biograficznych, Jan Czochralski był najprostszym wskazaniem. Zmarły w 1953 r. i rozpoznawalny na świecie nie gorzej niż w rodzinnym kraju odkrywca metody wytwarzania monokryształów (która ułatwiła produkcję półprzewodników) nadawał się świetnie na bohatera filmu. Teraz pojawił się w centrum prezentacji Województwa Kujawsko-Pomorskiego na EXPO 2025 w Osace.

Chodzi dokładniej o **Zbroję Czochralskiego** – kostium stworzony według pomysłu Jana Świerkowskiego. „Zaprojektowany – jak piszą organizatorzy – przez Rad Duet, laureatów Złotej Nitki, i ożywiony przez kolektyw panGenerator, nagrodzony Paszportem POLITYKI w kategorii Kultura cyfrowa". Obiekt łączy rękodzieło i nieskrępowaną wyobraźnię, sięgającą motywów baśniowych, SF czy opowieści anime, a Świerkowski jako kurator wystawy „Copernicus (Remix)" wpisał się w ogólną koncepcję obecności Kujawsko-Pomorskiego w Japonii. Owszem, wywozimy do Osaki wszystko to, czym możemy się pochwalić, a w regionie działa przecież Kujawsko-Pomorskie Centrum Naukowo-Technologiczne im. prof. Jana Czochralskiego. Ale chodzi też o pokazanie wizerunku krainy, w której – tak jak w Japonii – przeszłość łączy się z przyszłością.

„Nasz region ma dwie twarze: historyczną, opartą na bogatym dziedzictwie kulturowym – i tę nowoczesną, śmiałą, sięgającą gwiazd. Chcemy, aby na EXPO było widać zarówno naszą dumę z przeszłości, jak i nasze spojrzenie w przyszłość. Tak rozumiemy wolność: zakorzenienie w kulturze i odwagę sięgania aż po kosmos" – komentuje Piotr Całbecki, marszałek województwa kujawsko-pomorskiego. Prezentacja objęła też gry utrzymane w popularnej w Japonii estetyce retro, a także piernikowe lody. I muzykę elektroniczną, m.in. Steve'a Nasha i Niny Minor, a wreszcie opowieść o osiągnięciach naukowych, którymi może się pochwalić kraina Kopernika. Gdy to wydanie trafia do państwa, opisywane działania już się odbyły, choć ich echo (jak z Czochralskim) mocniejsze było zapewne za granicą niż u nas. ZR

REKLAMA

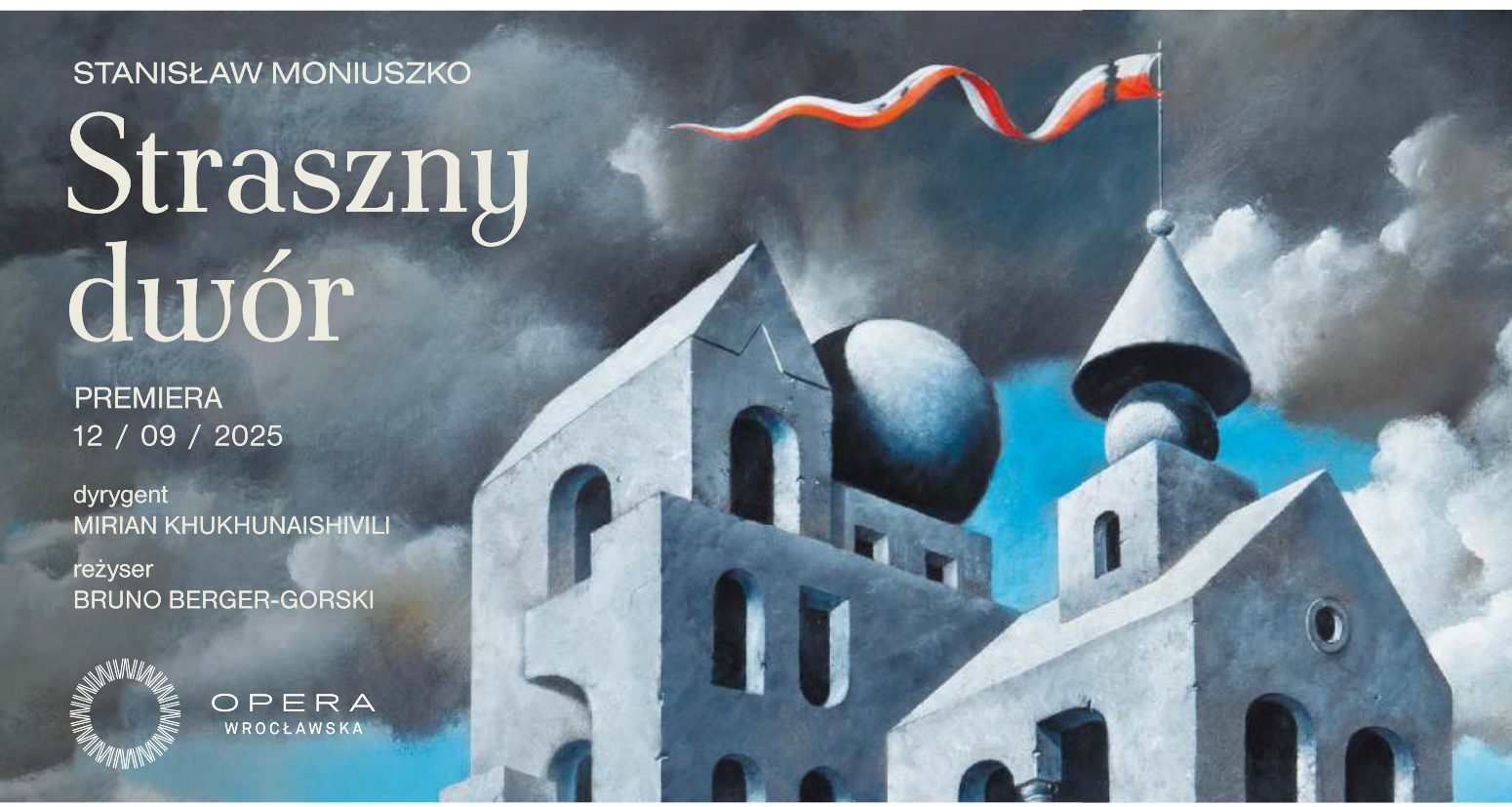

Instytucja współprowadzona przez Województwo Dolnośląskie oraz Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Sponsor Strategiczny Opery Wrocławskiej

Partner Logistyczny Opery Wrocławskiej

DOLNY ŚLĄSK INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO
www.umwd.dolnyslask.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KGHM POLSKA MIEDŹ

Mercedes-Benz GRUPA WRÓBEL

eprasa.pl 8b5cbd649a

WINIARY BOOKINGS PREZENTUJE















WINIARY BOOKINGS
KUPUJ BILETY NA:
WINIARYBOOKINGS.PL
ORAZ W SIECIACH SPRZEDAŻY: GOING, EMPIK BILETY / EVENTIM / EBILET / TICKETMASTER

REKLAMA



Osaka osaczona

Wystawa światowa Expo w Japonii była okazją do szerokiej prezentacji polskiej muzyki w jej rozmaitych odcieniach. Oczywiście włącznie z Chopinem.

MARIUSZ HERMA

Krakowski festiwal Unsound wypada już chyba nazywać ogólnoświatowym. Po edycjach wyjazdowych w Ameryce Północnej (Nowy Jork i Toronto), Europie (Londyn, Praga, Bratysława) i Australii (Adelajda) na początku września wyprawił się bowiem na czwarty kontynent do Osaki, gdzie powoli zmierza ku końcowi wielka wystawa światowa Expo 2025. Stała się ona też okazją do bezprecedensowej prezentacji polskiej muzyki w Japonii, rozciągającej się od przedstawianego klasycznie dorobku Chopina oraz jego współczesnych przetworzeń aż po rodzimy soul i awangardowy jazz.

Sam Unsound miał jak zawsze, niezależnie od lokalizacji, program międzynarodowy. Obok uznanych już za granicą polskich muzyków, takich jak Raphael Rogiński, Hania Rani, Antonina Nowacka czy 2K88, szeroko zaprezentowała się scena lokalna, z legendarnym Keijim Haino na czele. Pojawiły się również składy mieszane, np. trio Piotra Kurka z amerykańskim eksperymentalistą Jimem O'Rourke oraz jego japońską współpracowniczką (i prywatnie partnerką) Eiko Ishibashi czy też wspólny projekt muzyków z cenionej grupy Goat (JP) i perkusisty Adama Gołębiewskiego. O'Rourke i Ishibashi oddali też symboliczny hołd polskiemu pionierowi muzyki elektronicznej Włodzimierzowi Kotońskiemu.

W tym samym czasie Polska Agencja Inwestycji i Handlu – która była także

eprasa.pl 8b5cbd649a



© FILIP TARASIUK/PAIH

partnerem japońskiej edycji Unsoundu – zorganizowała tygodniowy festiwal Jazz From Poland in Japan. Tu reprezentacja zgodnie z nazwą imprezy była już wyłącznie krajowa, jednak wbrew niej nie tylko stricte jazzowa. Z jednej strony zagrali Dominik Wania, Maciej Obara Quartet czy EABS. Ale z drugiej strony łączące jazz z tradycją słowiańską Babooshki czy ambasadorka polskiego soulu Paulina Przybysz. W sumie 30 muzyków w ramach 10 projektów. Wszystkich ich w jednej orkiestrze zgromadził dyrygent, kompozytor i pianista Nikola Kołodziejczyk: wspólnie wykonali napisaną przez niego na tę okazję **„Suitę koncertową”**. Część artystów w kameralnych składach dawała też minikoncerty w polskim pawilonie na Expo, a część wybrała się jeszcze potem do Tokio.

Kolejnym elementem tej wrześniowej inwazji polskiej muzyki na Osakę był audiowizualny spektakl „Chłopi Tańcuj Remixed” w reżyserii Daniela Komędery, oparty na muzyce Łukasza L.U.C.-a Rostkowskiego do filmu „Chłopi”. „To multimedialne widowisko łączące akustyczną muzykę folkową z elektroniką, XIX-wieczne malarstwo z nowoczesnymi iluminacjami, a tradycyjne tańce ze współczesnym performancem” – zapowiadał spektakl L.U.C. I tutaj na scenie siły połączyli muzycy Rebel Babel Film Orchestra oraz instrumentaliści Filharmonii Narodowej w towarzystwie m.in. artystów z Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

L.U.C. pojawił się na Expo w Osace już pod koniec czerwca z premierą swojej symfonii „Symbiosis”. W 12 rozdziałach i czerpiąc z tyluż gatunków muzycznych – zgodnie z hasłem „od antyku po berlińskie techno” – portretował kolejne epoki w dziejach Europy. Temat wybrano nieprzypadkowo, koncert symbolicznie wieńczył na Expo 2025 półroczną polską prezydencję w Unii Europejskiej.

Jako że Japończycy kochają Chopina nawet bardziej niż Polacy, nie mogło w Osace zabraknąć naszego muzycznego hitu eksportowego wszech czasów. W ramach Tygodnia Fryderyka Chopina na przełomie sierpnia i września polski pawilon na Expo wypełniły poświęcone mu wystawy, wydarzenia, warsztaty. Dorobek kompozytora przypomnieli pianiści polscy i japońscy, w tym laureaci konkursu chopinowskiego, z Orkiestrą Filharmonii Warszawskiej. Własne, wzbogacone o warstwę liryczną interpretacje twórczości Chopina – znane z płyty „Czułe struny” – zaprezentowała Natalia Kukulska wraz z muzykami Filharmonii Narodowej i pianistami: Adamem Sztabą, Krzysztofem Herdzinem, Janem Smoczyńskim i wspomnianym już Nikolą Kołodziejczykiem. Dla publiczności przygotowano oczywiście tłumaczenia tekstów na język japoński. A jakby tego było mało, tournée po Japonii zaraz potem odbyła NOSPR pod batutą Marin Alsop, wykonując divertimento Grażyny Bacewicz oraz koncerty – a jakże – Fryderyka Chopina.

Expo potrwa do 13 października, a wystąpią tam jeszcze m.in. zespoły Klawo, Mitch & Mitch, Małe Instrumenty, a także Kinga Głyk oraz Sinfonia Varsovia. Ta ostatnia wybierze się do Japonii łącznie na siedem koncertów. ■

REKLAMA

15 mała Warszawska Jesień

19-28 września 2025

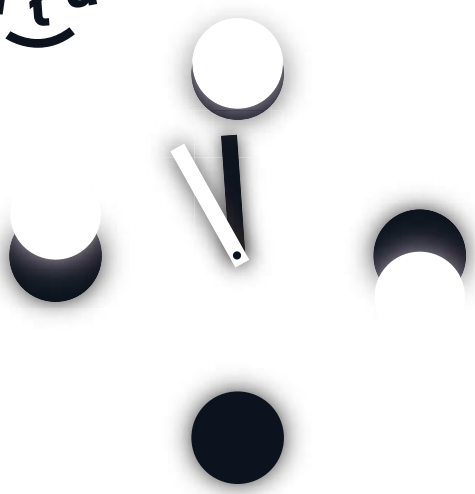

warszawska-jesien.art.pl

Organizator

Współorganizatorzy

Partnerzy Festiwalu

Partnerzy Małej Warszawskiej Jesieni

Partnerzy medialni Festiwalu

Partnerzy medialni Małej Warszawskiej Jesieni

Projekt współfinansują

eprasa.pl 8b5cbd649a





Rozpaczliwie szukając Susan

Zapewne niewiele osób wymieniłoby Susan Seidelman wśród najważniejszych twórczyń z Hollywood. Tymczasem to reżyserka, której twórczość, łącząca lekkość kina gatunkowego z silnym przekazem emancypacyjnym, otwierała drogę kolejnym pokoleniom artystek. Seidelman przyjedzie na wrocławski American Film Festival odebrać nagrodę Indie Star Award, weźmie też udział w retrospektywie swoich filmów.

„Nie mam poczucia wyższości, lecz także brak mi fałszywej skromności" – pisała Seidelman w wydanej niedawno autobiografii „Desperately Seeking Something". „Odegrałam swoją rolę jako część pionierskiej fali, która torowała drogę dzisiejszym reżyserkom. Przełamywałam bariery. Na początku lat 80. wyreżyserowałam pierwszy niezależny amerykański film, który startował w konkursie festiwalu w Cannes. Kilka lat później zrobiłam jeden z pierwszych hollywoodzkich przebojów wyreżyserowany, wyprodukowany i zagrany przez kobiety. Dałam Meryl Streep jej pierwszą komediową rolę". Do listy jej popkulturowych zasług należy też dopisać pracę przy pierwszym sezonie „Seksu w wielkim mieście".

We Wrocławiu zostaną zaprezentowane najważniejsze filmy Seidelman: kultowe **„Rozpaczliwie poszukując Susan"** z Madonną w głównej roli, głośny debiut „Smithereens" (to właśnie ten film, który rywalizował w Cannes o Złotą Palmę), **„Mężczyzna idealny"** z Johnem Malkovichem, **„Diablica"** z Meryl Streep oraz autobiograficzny dokument „Confessions of a Suburban Girl".

Poza retrospektywą Seidelman bardzo interesująco zapowiada się przegląd klasyków kina politycznego (firmowany przez twórców „Podkastu amerykańskiego"), w którym znalazły się m.in. „Syndykat zbrodni" Alana J. Pakuli, „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu" Franka Capry oraz „Prezydent. Miłość w Białym Domu" Roba Reinera. A to wszystko dopiero początek programowych ogłoszeń wrocławskiego festiwalu.

JAKUB DEMIAŃCZUK

American Film Festival, Wrocław, 6–11 listopada



Mistrzowie i odkrycia

W historii Warszawskiego Festiwalu Filmowego ta 41. edycja otwiera nowy rozdział. Po raz pierwszy impreza odbywa się pod przewodnictwem dyrektorki generalnej Joanny Szymańskiej-Szcześniak oraz dyrektora programowego Bartłomieja Pulcyna, którzy zapowiedzieli wiele zmian. A jednocześnie tegoroczna edycja nawiązuje symbolicznie do historii: w programie pojawiła się nowa sekcja konkursowa „Konfrontacje", odwołująca się do legendarnego warszawskiego przeglądu filmowego z czasów PRL.

Wtedy Konfrontacje były rzadką, często jedyną okazją zobaczenia na kinowych ekranach głośnych filmów z międzynarodowych festiwali. Dziś na dzieła mistrzów zazwyczaj nie musimy czekać całymi latami, za to powszechna dostępność filmów sprawia, że czasami łatwo przegapić nawet te warte uwagi. Na tych nowych „Konfrontacjach" w ramach WFF pojawią się zatem m.in.: najnowszy film pracującego bez wytchnienia rumuńskiego reżysera Radu Jude, czyli prześmiewczy i przełamujący schematy **„Dracula"** (główna nagroda na festiwalu w Locarno), znakomity debiut reżyserski Kristen Stewart „Chronologia wody", „Smashing Machine" Benny'ego Safdiego, nagrodzony Złotą Palmą dramat Jafara Panahiego „To był zwykły przypadek", a także głośne „Dawno temu w Gazie" braci Nasserów, nagrodzone za reżyserię w canneńskiej sekcji Un Certain Regard. Choć akcja filmu rozgrywa się w 2007 r., jego wymowa z każdym dniem jest coraz bardziej aktualna.

W programie festiwalu znalazły się także m.in. „Ostatni wiking" Andersa Thomasa Jensena z Madsem Mikkelsenem w roli głównej oraz irański dramat „Mam na imię Ziba" Rasoula Sadramelego. A organizatorzy festiwalu najważniejsze karty odkryją dopiero w połowie miesiąca. Jest jednak spora szansa, że WFF wróci na należne mu miejsce wśród najważniejszych festiwali filmowych w Polsce. JD

Warszawski Festiwal Filmowy, 10–19 października

© STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY (3), ASCOT ELITE ENTERTAINMENT

eprasa.pl 8b5cbd649a

Kultura dla każdego

PGE wspiera najbardziej znane polskie instytucje kulturalne, a równocześnie pomaga nowym inicjatywom i nie zapomina o działalności edukacyjnej wśród dzieci i młodzieży.



Wyjątkowe wydarzenie w wyjątkowym miejscu okazało się ogromnym sukcesem. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Break in Classic 2025", którego partnerem była PGE Polska Grupa Energetyczna, odbył się w połowie sierpnia w Otwocku Wielkim. Znajdujący się tam barokowy pałac z Muzeum Wnętrz, będący oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie, wraz z otaczającym go parkiem na trzy dni stały się tłem dla najlepszej muzyki. Jak podkreślali dyrektorzy artystyczni festiwalu, Jakub Józef Orliński i Aleksander Dębicz, trudno wyobrazić sobie piękniejsze miejsce na plenerowe koncerty. Festiwal był kwintesencją ich myślenia o muzyce klasycznej – jako źródle absolutnego piękna i głębokich emocji, ale też przestrzeni do niczym nieskrępowanej zabawy.

Klasyka na nowo

Wśród zaproszonych artystów znaleźli się między innymi grecka sopranistka Aphrodite Patoulidou, która zdefiniowała na nowo świat klasyki, Atom String Quarter, jeden z najlepszych kwartetów smyczkowych, który z powodzeniem łączy klasykę z jazzem, flecistka Lucie Horsch – cudowna interpretatorka muzyki dawnej, którą przedstawia w nowoczesny sposób, barokowa orkiestra Il Giardino d'Amore, a także trio Łukasz Kuropaczewski, Maciej Frąckiewicz i Bartek Miller. Obok koncertów popularnością cieszyły się spotkania z wirtuozami, oprowadzania po pałacu i potańcówki w ramach silent disco. Pierwsza edycja „Break in Classic" przyciągnęła wszystkie pokolenia – od najstarszych do najmłodszych.

Jednego z twórców tego sukcesu, naszego wyjątkowego kontratenora Jakuba Józefa Orlińskiego będzie można posłuchać 22 maja 2026 r. w „Wieczorze arii i pieśni" w Filharmonii Narodowej, której PGE jest mecenasem. Renesansowe i barokowe utwory wokalne zabrzmią z towarzyszeniem fortepianu, przy którym zasiądzie częsty partner artystyczny śpiewaka, Michał Biel. Czekając na to niezwykłe wydarzenie, warto korzystać z bogatej oferty rozpoczynającego się nowego sezonu muzycznego w filharmoniach w całej Polsce. PGE obejmuje mecenatem łącznie aż 16 instytucji muzycznych.

Sztuka wychodzi do ludzi

Sztuka zyskuje prawdziwą moc, gdy wychodzi poza ramy instytucji i spotyka ludzi w ich codziennym świecie. Właśnie dlatego prezentacja prac konkursowych „Spotkania ze sztuką" Fundacji PGE przybrała formę wystawy plenerowej, którą do 19 września można oglądać w sercu Warszawy, na skwerze Wolnego Słowa przy ulicy Mysiej 2. Inspiracją do stworzonych prac było malarstwo Stanisława Wyspiańskiego, stąd wśród obrazów można znaleźć liczne portrety oraz pejzaże wykonane technice pasteli. Wystawa stanowi symboliczne zakończenie III edycji ogólnopolskiego konkursu plastycznego „Spotkania ze sztuką", którego tematem przewodnim było malarstwo Stanisława Wyspiańskiego. Tegoroczna odsłona okazała się rekordowa – wpłynęło niemal 2,7 tys. prac z całej Polski, a jury wyłoniło 150 laureatów w trzech kategoriach wiekowych.

Konkurs „Spotkania ze sztuką", wystawy prac laureatów w muzeach oraz wystawa plenerowa mają na celu popularyzację wiedzy o kulturze i sztuce wśród młodych twórców z całej Polski. Konkurs skierowany jest do uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących mniej niż 50 tys. mieszkańców. Umożliwia dzieciom i młodzieży zaprezentowanie swoich umiejętności plastycznych, a także daje szansę odwiedzenia najważniejszych instytucji kulturalnych w kraju. Fundacja PGE pracuje już nad IV edycją konkursu.

Nie tylko kameralnie o twórczości z Olgi Boznańskiej

Wśród najnowszych wydarzeń kulturalnych warto zwrócić uwagę na pokaz prac Olgi Boznańskiej w ramach ekspozycji stałej Muzeum Narodowego w Galerii Sztuki XIX Wieku oraz o wystawę „Boznańska. Kameralnie" w Muzeum Narodowym w Krakowie. W tym roku przypadają 160-lecie urodzin i 85-lecie śmierci Olgi Boznańskiej – obie rocznice okazały się pretekstem do uczczenia wybitnej artystki w Muzeach Narodowych w Warszawie i Krakowie, których mecenasem jest PGE. Sejm ustanowił rok 2025 Rokiem Olgi Boznańskiej, podkreślając że jej obrazy należą do najważniejszych dzieł polskiego malarstwa modernistycznego i kanonu historii sztuki, a jej kariera jest przykładem jednego z najwybitniejszych polskich sukcesów artystycznych na arenie międzynarodowej.

Materiał powstał przy współpracy z PGE

eprasa.pl 8b5cbd649a



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Sensacja. Rafał Trzaskowski, prawie prezydent, zapuścił wąsy. Znakomity ruch. Pomimo iż od wyborów minęły cztery miesiące, jego sztab wyborczy ciągle w formie.

●

Będzie więcej Anny Muchy! Aktorka z dumą wyznała, że przytyła: „Zwiększyłam powierzchnię erotyczną". Ani przypominam zasady geometrii: wzór na powierzchnię zależy od kształtu figury.

●

Po dwóch dekadach przerwy wraca „Randka w ciemno". Tym razem hit TVP1 trafi do Polsatu, gdzie gospodarzem został Piotr Gąssowski. Poprzedni prowadzący, Tomasz Kammel, zabłądził w ciemności.

●

Na pierwszej stronie Wirtualnej Polski zdjęcie Roberta Górskiego z podpisem: „Mało kto wie, kim jest jego żona. Jest równie znana, co on". Oczywiście. Mało kto wie, że genitalia to nie jest nazwa włoskich linii lotniczych.

●

Kazik Staszewski w internetowej polemice z Robertem Biedroniem: „Będziesz wisiał Biedroń, ty ku...o je...a". Od dłuższego czasu uważam, że Kult gra piwną muzykę dla studentów. Dziś wykreślam studentów.

●

48-letni Tomasz Adamek został znokautowany przez Roberto Soldicia podczas gali Fame MMA w Gliwicach. Po walce pięściarz tradycyjnie zakończył karierę. Nareszcie. Ktoś tak obity w świecie wie, co robi.

Media ujawniły, że była pierwsza dama Jolanta Kwaśniewska otrzymuje z ZUS miesięczną emeryturę w wysokości 3 tys. zł. Tragedia. Kolejny powód, aby regularnie organizować miesięcznicę.

●

Michał Koterski i Marcela Leszczak rozwodzą się. Po raz kolejny. „Nigdy nie byłam szczęśliwsza niż teraz" – wyznała była Miśka. Rozumiem ją. Tak samo mówią ci, którzy nie widzieli jego ostatnich filmów.

●

Piotr Mróz ujawnił, że jest większą gwiazdą niż Monika Goździalska: „Jestem trzy orbity wyżej w hierarchii rozpoznawalności". Przypomina mi się rozmowa: „Czy te pomidory są zmodyfikowane genetycznie?". Na co pomidory: „Nie".



© ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Małgorzata Rozenek poprowadzi wideopodkast „Z bliska" na portalu gazeta.pl. Będą to rozmowy z politykami, ludźmi kultury i biznesu. Brzmi obiecująco. Małgosia już w programie „Perfekcyjna pani domu" udowodniła, że może ujawnić brudy.

Jaś Kapela wygrał w sądzie z Krzysztofem Stanowskim, który zarzucił mu stan odurzenia narkotykami podczas wywiadu w 2021 r. Ostatnio lewica wygrała tak spektakularnie z prawicą w Gorlicach.

●

Dokument o Wojciechu Szczęsnym pojawi się 10 października w serwisie Prime Video. Znakomicie. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich termin „stać na bramce" uległ znacznej deformacji.

●

„Co się musi wydarzyć, by pokonać Finlandię?" – zapytał dziennikarz trenera kadry Jana Urbana. „Może nie przyjadą" – odpowiedział szkoleniowiec. To byłby dramat. PZPN uwielbia spotkania z Finlandią.

●

Mata kupił Lambo za 1,5 mln zł! – histeryzują media. Ciekawe. Ta informacja nie mówi nam nic o osiągach auta, ale dużo o braku osiągów dziennikarzy.

●

Spektakl „Księga sprośności", pierwszą premierę Teatru Telewizji w sezonie 25/26, oglądało średnio 500 tys. widzów. Podobny sukces okraszony podobnym językiem miał tylko spektakl z 2014 r. „Sowa i Przyjaciele".

●

Dzięki TVP Info oraz politykom od lewicy do prawicy słowa okres i owulacja na dwa tygodnie zdominowały polskie media. Okres i owulacja. Brzmi jak nazwa kreskówki. Jak Tom i Jerry. Albo tytuł horroru z TV Republika.

●

„Dla mnie już nie istnieje słowo związek – to Anna Maria Siekluckа. – Od dwóch lat jestem singielką. Nie samotna, ale sama". Przypomina mi się cytat 80-letniego Chaplina: „Jestem za stary na granie mumii".

eprasa.pl 8b5cbd649a



Głos Muska

Facebook co jakiś czas z okazji okrągłej rocznicy przypomina nam, o czym pisaliśmy rok, pięć czy dziesięć lat temu. W zeszłym tygodniu dzięki temu mechanizmowi uświadomiłem sobie, że prawicowa nagonka na uchodźców ma właśnie równe 10 lat. Nagle zalały nas fale artykułów o tym, co ci uchodźcy strasznego wyprawiają.

We wrześniu 2015 r. wielką gwiazdą polskiego internetu stał się pewien bloger podróżniczy, który opublikował wstrząsającą relację o sytuacji „na granicy Włoch i Austrii", gdzie „na własne oczy widział ogromne zastępy imigrantów". Widział, „jak otoczyli samochód starszej Włoszki, wyciągnęli ją za włosy z samochodu i chcieli tym samochodem odjechać. Autokar, w którym się znajdowałem z grupą, próbowano rozhuśtać. Rzucano w nas gównem, walili w drzwi, żeby je kierowca otworzył, pluli na szybę..." – pisał.

Jego wpis zrobił 10 lat temu furorę, bo obfitował w malownicze szczegóły fabularne. Te szczegóły sprawiły jednak, że łatwo było podważyć prawdziwość tej relacji. Jak to się stało, że nie odezwał się żaden inny świadek? Autostradowe przejścia graniczne między Włochami a Austrią są dwa, na obu są kamery – jak to się stało, że żadna tego nie zarejestrowała?

Za przechyleniem social mediów w prawo nie stoją żadne algorytmy ani vox populi, tylko światopogląd ich szefów i właścicieli.

Bloger początkowo bronił się i zmieniał wersje, ale w końcu zamilkł. Wszystkie jego wpisy zniknęły, chociaż bez trudu można wygooglać ich kopie w prawicowych mediach, które to bezrefleksyjnie przekleiły (cytaty w niniejszym felietonie pochodzą z serwisu wpolityce.pl).

Zawód influencera – osoby żyjącej z publikowania treści w mediach społecznościowych – w 2015 r. był jeszcze w powijakach. Co sprytniejsi zauważyli jednak już wtedy, że polityczny wiatr w tych mediach wieje w jednym kierunku. Opłaca się publikować treści ksenofobiczne, rasistowskie, ultrakonserwatywne, zwalczające „ideologię woke", „polityczną poprawność" i „marksizm kulturalny" – bo to dobrze robi na zasięgi. Można je bezkarnie wyssać z palca, nie szkodzi. Zasięgi i tak polecą – a zarobki influencera są do nich proporcjonalne. Dlatego wielu blogerów czy youtuberów, którzy zaczynali od treści apolitycznych, jak gry komputerowe, podróże czy piłka nożna, zrobiło wtedy ostry skręt w prawo. To się po prostu opłaca.

W mediach społecznościowych „zwrot w prawo" oznacza zazwyczaj „odwrót od zdrowego rozsądku". W prawo, czyli w stronę coraz bardziej wariackich teorii spiskowych. W pakiecie „internetowej prawicowości" zazwyczaj jest też wrogość wobec wszelkich nauk: denializm klimatyczny, antyszczepionkowość, „Biblia mówi, że są tylko dwie płcie". No i prorosyjskość: na pierwszy rzut oka niepowiązana z antynaukowością, na drugi już niekoniecznie (bo też jest formą denializmu, w postaci np. zaprzeczania zbrodniom Stalina).

Skąd to się bierze? Napisano o tym grube księgi, których tu nie będę streszczać, ale zwrócę uwagę na słonia w pokoju, którego autorzy tych ksiąg zwykle usilnie starają się nie zauważać. Od dawna nie ma już internetu jako medium neutralnego czy też choćby pluralistycznego. Media społecznościowe należą do kilku korporacji, zazwyczaj dyktatorsko zarządzanych przez charyzmatycznych prezeso-właścicieli w rodzaju Elona Muska czy Marka Zuckerberga.

Prezesi cyberkorpów jeszcze 10 lat temu udawali co najmniej apolitycznych, jeśli nie wręcz liberalnych, demokratycznych i postępowych. Jeśli z drugiej kadencji Trumpa wynika jakiś pożytek, to jest on przynajmniej taki, że przestali udawać. Wyszli z szafy i założyli czapeczki MAGA.

Za przechyleniem mediów społecznościowych w prawo nie stoją żadne mityczne algorytmy ani vox populi, tylko po prostu światopogląd ich szefów i właścicieli. Stare polskie przysłowie mówi, że kto zapłacił za weselną wódkę, ten ma prawo żądać, by didżej mu puścił „Daj mi tę noc". A kto zapłacił za pakiet kontrolny Twittera, ten może mu narzucić zwalczanie „ideologii woke".

A czemu wszyscy prezesi mają taki sam przechył? Tu też odpowiedź jest prosta. Prawica ma różne odmiany, ale wszystkie zgadzają się co do jednego: że bogaty biały mężczyzna zasługuje na przywileje. Nie powinien płacić podatków, to jemu państwo powinno płacić, żeby „tworzył miejsca pracy" i „się nie zniechęcił". A jeśli się przyjaźnił z, dajmy na to, Jeffreyem Epsteinem i wysyłał mu pikantne pocztówki urodzinowe, państwo ma mu pomóc to dyskretnie zatuszować. Nic dziwnego, że bogaci ludzie wspierają prawicę.

Kiedy więc biały Polak zaatakuje z siekierą Uniwersytet Warszawski, zabijając jedną osobę i raniąc drugą, internet nie zafunduje nam debaty o zagrożeniu ze strony białych Polaków. No, ale niech ktoś czarnoskóry zabije kogoś w amerykańskim metrze, Twittera i Facebooka zaleje rasistowskie szambo.

Jeśli powiedzą państwo, że się powtarzam, bo o tym wszystkim zdążyłem już napisać kilka felietonów (oraz książkę), to z pokorą przyjmę ten zarzut. Ale znowu widzę komentatorów zdumionych, że po ataku rosyjskich dronów polskojęzycznego Twittera zalały prorosyjskie komentarze – i pytających, co to mówi o Polakach. Znowu więc muszę udzielić tej samej odpowiedzi. O Polakach nic, o Elonie Musku – wszystko. Ludzie, przecież to takie proste!

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 8b5cbd649a

FELIETON

Koziołek



Zdrowe zmysły

Nie mogę pojąć tego człowieka – sąsiadka wskazała na dach sąsiada, gdzie montowano instalację fotowoltaiczną.

– A co w nim tajemniczego?

– Spotkałam go u Jacka. Nawet gazu już nie chce, tylko prąd z czystego źródła.

– No to chyba dobrze – nie rozumiałem.

– Ale jest przeciw wiatrakom, Zielonemu Ładowi i za węglem. No i głosował sam pan wie na kogo. Dla niego czarne nie jest czarne! – wykrzyknęła ostatnie zdanie.

– Myślę, że tak jak pani, i on ma swój rozum, tylko jest ostrożniejszy w jego publicznym używaniu.

– Jak tu pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy to samo jest inne dla każdego? – zakończyła fundamentalnie.

Mam się za pozytywistę i anzelmistę (od Anzelma z Canterbury), co się objawia poprzez moją wiarę w dobroczynną rolę wiedzy i edukacji oraz że wiara ta potrzebuje rozumu. Rozumu wspólnego. Powstaje on wówczas, gdy możliwie duża liczba ludzi czyni publiczny użytek z rozumu osobistego, którym posługuje się na co dzień, aby ogarniać własne życie; nawigując skutecznie w galaktyce codzienności, żeby na koniec dnia dać umysł do podładowania, przełączając go w tryb snu.

> Nasze zatrute ideologią i polityką umysły robią wszystko, abyśmy prostą prawdę zdrowych zmysłów uznali za dziecinny błąd.

Chwila przed zaśnięciem to dobry moment na zdanie sobie sprawy z cudu wspólnego rozumu, który utrzymał tysiące mijanych kierowców po właściwej stronie drogi; wymienił moją pracę na bankowe algorytmy, za które pan Krzyś dał mi żółty i biały ser; zwrócił nam nasze dzieci powierzone na wiele godzin obcym ludziom. Niepoliczone drobne i poważne interakcje społeczne opierają się na fundamencie wspólnej racjonalności, która czyni ten świat jednym i wspólnym. Czemu w to zwątpiliśmy, uznając, że łączą nas wyłącznie różnice, konflikty, wrogie emocje? Czyżbyśmy stracili wiarę w nasz wspólny rozum, choć nadal z powodzeniem się nim posługujemy? Podejrzewam, że jest gorzej; że straciliśmy wiarę w zdrowie naszych zmysłów. W to, że nasze przyrodzone zdolności do widzenia, słyszenia i czucia prowadzą do wspólnego rozumienia podstawowych faktów, wobec których codziennie stajemy razem z innymi ludźmi.

Ciśnie się na tę zdolność określenie „zdrowy rozsądek", ale unikam go jako fatalnie zakorzenionego w polszczyźnie tłumaczenia jednego z najważniejszych pojęć w filozofii społecznej, czyli *sensus communis* (ang. *common sense*). Jest stare jak filozofia, która w długich z nim potyczkach starała się utrzymać lub obalić wiarę, że dorośli i dojrzali ludzie są zdolni do trafnej percepcji rzeczywistości. Do stwierdzenia, jaka jest prawda. Nie do uzasadnienia, bo od tego jest nauka. Wystarczy do tego „być przy zdrowych zmysłach", czyli mieć zaufanie, że nasz aparat percepcyjny dostarcza nam wiedzy prawdziwej, czyli takiej samej jak innym ludziom.

Już słyszę gromki śmiech łatwego sceptycyzmu. Że nie ma faktów, tylko interpretacje; że zdrowy rozsądek nie jest ani zdrowy, ani rozsądny, za to zrobiony z uprzedzeń, stereotypów, fake'ów, pasków i rolek. A w ogóle to AI i trolle omamią każdego. No i „ludzie" (nie my) są głupi, nie myślą samodzielnie ani krytycznie; uniwersytety hodują troglodytów, a szkoły tylko egzaminują.

Nie da się temu w całości zaprzeczyć, ale jako pozytywistyczny anzelmista twierdzę, że mimo tych plag większość z nas wie, „Że ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem,/I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamie. [...] Niektórzy mówią, że nas oko łudzi/I że nic nie ma, tylko się wydaje,/ Ale ci właśnie nie mają nadziei./ Myślą, że kiedy człowiek się odwróci,/ Cały świat za nim zaraz być przestaje,/ Jakby porwały go ręce złodziei" (Cz. Miłosz, *Nadzieja*).

Wbrew zdrowym zmysłom wyrzekliśmy się wspólnej wiedzy o świecie (*sensus communis*) pochodzącej nie z Wikipedii, ale ze współdoznawania rzeczywistości oraz wynikającej z tego nadziei, że nawet premier i prezes odbierają te same kolory, kształty, dźwięki, smaki i zapachy. Skoro nawet oni tak mają, to znaczy, że można ten świat z powodzeniem codziennie współdzielić z każdym. Na fali chwilowej euforii można nawet pomyśleć, że wszyscy mamy w sobie ten sam zmysł moralny, jaki każe najpierw pomóc gołębiowi ze złamanym skrzydłem, który ląduje na naszym balkonie, a dopiero potem zapytać, co robił za komuny (Jerzy Pilch).

Niepoprawny wyznawca przyrodzonej roztropności człowieka, XVIII-wieczny szkocki filozof Francis Hutcheson uważał, że w każdym człowieku jest naturalna gotowość, aby cieszyć się szczęściem innych i niepokoić się ich nieszczęściem. Uznawał tę zdolność za dowód naszych zdrowych zmysłów.

I ja tak myślę, i ja wierzę w komunię zdrowych zmysłów, która pozwala nam – podzielonym i skłóconym – powierzyć się nożyczkom fryzjera i skalpelowi chirurżki, mimo niepewności, na kogo głosowali. A jednak się do tego powinowactwa elementarnego nie przyznajemy; więcej, wyrzekamy się go na rzecz konfliktu i poróżnienia, gdyż nasze zatrute ideologią i polityką umysły robią wszystko, abyśmy prostą prawdę zdrowych zmysłów uznali za dziecinny błąd. Camus ostrzegał w „Dżumie", że „zawsze nadchodzi godzina w historii, kiedy ten, co ośmiela się powiedzieć, że dwa i dwa to cztery, jest karany śmiercią. Nauczyciel wie o tym dobrze".

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 8b5cbd649a

FELIETON

Chutnik Plebanek



Owulacja z ondulacją

Poseł może nie znać znaczenia słowa „ondulacja”, zwłaszcza łysy. Dobrze, jeśli coś mu zaświta, gdy mowa o „laudacji”. Ale już określenie „owulacja” wprawia go w popłoch, nie mówiąc o tym, że na dźwięk słowa „okres” zapomina języka w gębie. Jaki znów okres? Obrachunkowy? Dobrze, że słowo „polucja” nie jest mu obce.

Patrząc na tych, którzy reprezentują naród i decydują o zdrowiu reprodukcyjnym milionów, chce się płakać. Również ze śmiechu, bo memom na temat kompromitującego występu posłów w telewizji nie ma końca. Dobrze się stało, że do szkół wprowadzono w tym roku dwa nowe przedmioty: edukację zdrowotną i obywatelską. Lekcje z obu dziedzin powinny poprzedzać obrady na Wiejskiej. Bez tego posłowie gotowi są przegłosować zakaz zasiedlania gniazd przez bociany w rejonach przeludnionych.

Nauka o zdrowiu i społeczeństwie, ewidentnie niezbędna, to potężny straszak dla tych, którzy w wiedzy medycznej i obywatelskiej upatrują wcielonego diabła. Część z nich żąda usunięcia ze szkół nowych przedmiotów, bo mogą doprowadzić do promocji „zmiany płci”. To strażnicy starej praktyki, żeby wszystko zamiatać pod dywan. Najlepiej jeśli młodzież wyjdzie ze szkół ciemna jak tabaka w rogu, by po latach w telewizji dostać czkawki z nerwów na dźwięk słowa „menstruacja”.

> Dobrze się stało, że do szkół wprowadzono w tym roku edukację zdrowotną i obywatelską. Lekcje z obu dziedzin powinny poprzedzać obrady na Wiejskiej.

Z drugiej strony wrześniowy powrót do placówek edukacyjnych stanowi dla wielu źródło stresu. Istnieje wręcz szkolna nerwica. Grzeczne siedzenie w ławce, odrabianie lekcji, klasówki – nie tylko uczniowie i uczennice, ale i rodzice na myśl o początku jesieni czują lękowe ściskanie w brzuchu. Wrzesień oznacza dodatkowe wydatki, szukanie podręczników i przyborów do pisania, nerwowe poranki w wiecznym niedoczasie.

A jednak edukacja jest niezbędna. Jest jakaś groza nie tylko w nieuctwie, które wyłazi w braku znajomości podstawowych pojęć co poniektórych pracowników budynku przy Wiejskiej, ale również w braku konsekwencji ponoszonych za tak jawną ignorancję. Mało tego: im bardziej absurdalnie, tym większa popularność. Hasło: „Stop making stupid people famous” (dosł. przestańcie robić głupich ludzi sławnymi) wzięło się z tendencji do obniżania poziomu w mediach i oddawania platformy na głoszenie kocopołów przez tych, którzy powinni wziąć tornister na plecy i wrócić do szkolnej ławki. Repeta, panowie posłowie, zwłaszcza z biologii!

Łapiemy oddech, staramy się nie wciągnąć w grę prymitywów. W książce „Uczeń zen i sarna” Zenon Kruczyński (wydawnictwo słowo/obraz/terytoria) opisuje elementy medytacji. Podkreśla, że kiedy siedzi się nieruchomo w zazen (wspólnej lub indywidualnej praktyce medytacji), warto pamiętać, by utrzymać uwagę, zamiast walczyć z nadmiarem myśli. Bo one przychodzą i odchodzą. „Te zaś myśli”, pisze Kruczyński, „które są ocenianiem, osądzaniem czy kolejną opinią dotyczącą tego czy tamtego, nieustannie fragmentują i szatkują rzeczywistość”. Brak rozważań jest kojący.

Może więc posłowie zaczęliby medytować i oddalać się w stronę oświecenia? Nakierowali uwagę i utrzymali ją chociaż na chwilę. A ci, którzy uważają, że kobieca biologia jest tylko dla kobiet, zapoznali się z rewelacją: otóż dzięki owulacji wszyscy jesteśmy na świecie. Posłowie również. Gdyby to zabrzmiało zbyt obrazoburczo, cytujemy prześmiewczy ASZ Dziennik: „Okres to takie czerwone coś, które wypływa z Tego Miejsca na koniec cyklu, jeśli nie doszło do zapłodnienia. Okres dzieje się, gdy dochodzi do złuszczania się błony śluzowej macicy. Nie jest groźny i nie jest w stanie odebrać nikomu diety poselskiej”. Natomiast owulacja to ten moment w cyklu, gdy „komórka jajowa wyprowadza się z jajnika i czeka, aż zainteresuje się nią jakiś plemnik. Jeśli nie dojdzie do randki w jajowodzie, to za około 2 tygodnie nastąpi okres”. Koniec wykładu.

Biologia wywołuje niezdrowe rumieńce, aż człowiek się czuje jak w klasie szkoły podstawowej, kiedy pani kazała otworzyć stronę podręcznika na rozdziale: „Skąd się biorą dzieci”. Niezdrowe rechoty, komentarze, zażenowanie, że mamy rozmawiać o „tym temacie”. Naprawdę, czasem trudno się domyślić, czy to studio telewizyjne, czy szatnia podstawówki. Poziom nie tyle wyrównany, ile żenująco zaniżony przez posłów. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce” to akurat z lekcji polskiego, tym razem starożytny Rzym. Warto przypomnieć sobie tę maksymę i wdrożyć ją w życie, zamiast unikać wiedzy i odpowiedzialności. Jedyny plus całego zamieszania to wzrost zainteresowania tematem cyklu miesięcznego kobiety. Zbiorowa, pozaszkolna edukacja.

Kiedy kilka lat temu w warszawskim Teatrze Powszechnym w czasie spektaklu „Diabły” w reżyserii Agnieszki Błońskiej odbywała się lekcja kobiecej anatomii, odezwały się głosy oburzenia, że to nie jest odpowiednie miejsce na takie tematy. Okazało się jednak, że rozmowa o ciele powinna się odbywać wszędzie tam, gdzie wiedza ma możliwość dotrzeć do szerokiej grupy społecznej.

Może nowy przedmiot w szkole chociaż trochę coś zmieni w kwestii świadomości i ustali horyzonty myślowe na poziomie XXI, a nie XII w.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 8b5cbd649a



Broń niezbyt wysokich lotów

Sytuacja rządu Donalda Tuska jest nie do pozazdroszczenia. Od wielu dni pracuje on pod ostrzałem prezydenta Nawrockiego, ministra Przydacza oraz europosła Bielana. W Parlamencie Europejskim ostry atak w języku angielskim na Tuska przeprowadził europoseł Jaki. Chwilę później w przestrzeń powietrzną państwa rządzonego przez rząd Tuska wtargnęły z wrogimi zamiarami rosyjskie drony.

Akcję dronów szefowa UE nazwała prowokacją „bezmyślną i bezprecedensową", Donald Trump zasugerował, że mogło dojść do jakiejś pomyłki, a niektórzy nie wykluczają, że Rosjanie stracili kontrolę nad maszynami na skutek awarii. Akcja Jakiego była równie bezmyślna, z tym że nie bezprecedensowa – europosłowie PiS opluwają za granicą Tuska i donoszą na niego od dawna.

Trudno jednak mówić o pomyłce, chyba że jest nią sam Jaki, który, nie wykluczam, że dodatkowo mógł ulec awarii skutkującej utratą kontroli nad tym, co mówi. Z kolei jednoczesna utrata kontroli przez Przydacza i Bielana jest mało prawdopodobna, dlatego według mnie w grę wchodzi tu raczej sabotaż lub prowokacja.

Kancelaria Prezydenta zarzuca rządowi, że jest leniwy, niszczy Polskę oraz zrzucił na Waszyngton ambasadora Klicha. Jako wypróbowany sojusznik Stanów Zjednoczonych Karol Nawrocki dzielnie broni Amerykę przed złym i oszukańczym Klichem. Dba o to, żeby Klich pod żadnym pozorem nie zbliżał się do Białego Domu, sam także nie utrzymuje z Klichem kontaktów dyplomatycznych i nie dopuszcza do tego, żeby Klich gdziekolwiek osobiście witał go lub żegnał.

Kancelaria wskazuje także na wojownicze działania ministra Sikorskiego, który naruszył przestrzeń Białego Domu, spotykając się w nim z jakimś wysokim urzędnikiem, a następnie wysyłając filmik sprzed budynku. Polacy, głosem Nawrockiego, ostro potępili ten incydent. Słusznie, gdyż był działaniem nieprzyjaznym wobec Przydacza i Bielana, którzy wielokrotnie ostrzegali Tuska i Sikorskiego, żeby się do Białego Domu nie zbliżali, gdyż nie mają tam wstępu, bo Trump ich nie lubi.

Eksperci uspokajają, że Przydacz i Bielan to broń krótkiego zasięgu i niezbyt wysokich lotów. Dlatego prezydent oprócz nich odpala także weta uniemożliwiające zwiększenie dochodów budżetowych. Po ostatnich kilkunastu wetach agencja Fitch już obniżyła perspektywę oceny Polski ze stabilnej na negatywną. To pierwszy duży sukces prezydenta w walce z rządem. Jest szansa, że jeśli pójdzie za ciosem, to kolejnymi wetami (dotyczącymi sektora bankowego, akcyzy i podatku cukrowego) zmusi także inne światowe agencje do obniżenia perspektyw oceny Polski, w wyniku czego marne będą także perspektywy rządu Tuska.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graf Lega passion process technology

eprasa.pl 8b5cbd649a

O starości w Sopocie

Salon POLITYKI w Sopocie, który gościł wybitną aktorkę Emilię Krakowską oraz Martę Lau, autorkę książki „On nigdy taki nie był", tym razem wypełniły wzruszenia, emocje i dyskusja o tym, czym jest czwarta młodość, dlaczego aktywność jest ważna i czemu aktywniejsze są panie.

Uczestnicy spotkania – sopocianie, ale też wczasowicze, którzy do Sopotu przyjechali z Lublina, a nawet Zurychu – nie kryli, że magnesem, który przyciągnął ich do Salonu POLITYKI, była Emilia Krakowska. Bezcenne okazały się opowieści o jej relacji z matką, o tym, do czego prowadzi źle pojmowana troska, kiedy wyręczamy bliską osobę, pozbawiając ją samodzielności, sprawczości i decyzyjności. Marta Lau, odwołując się do swojej książki, ale też do osobistych doświadczeń, podkreśliła, jak ważna w relacjach z bliskimi jest rozmowa. To ona pozwala nam dostrzec niepokojące zmiany, to dzięki niej możemy reagować, wreszcie to rozmowa sprawia, że stajemy się bardziej empatyczni i otwarci na drugiego człowieka.

Zapraszamy do obejrzenia relacji ze spotkania „Nadążyć przed starością", podczas którego uczestnicy tę starość skutecznie rozbroili i pokazali jej inną, optymistyczną twarz.

Zapraszamy na Festiwal Nauki

Już w piątek 19 września rusza 29. edycja Festiwalu Nauki w Warszawie. To największe i najstarsze święto nauki w Polsce potrwa do 28 września. Na publiczność czeka ponad 996 wydarzeń popularnonaukowych, w tym 411 spotkań ogólnodostępnych, 12 wystaw i 391 lekcji. Patronem Festiwalu jest prof. Hilary Koprowski, twórca pierwszej skutecznej szczepionki przeciwko wirusowi polio wywołującemu chorobę Heinego-Medina.

Tygodnik POLITYKA, nasze miesięczniki popularnonaukowe „Wiedza i Życie" i „Scientific American. Świat Nauki" oraz serwis popularnonaukowy Pulsar kolejny raz patronują temu wydarzeniu.

Szczególnie polecamy Państwa uwadze debatę inaugurującą Festiwal: „Czy sztuczna inteligencja unieważni naukę?" (19 września o godz. 18 w Auli 9/B Wydziału Biologii, ul. Miecznikowa 1 w Warszawie), a także dyskusję poświęconą sposobom medialnej manipulacji (w sobotę 20 września o godz. 17 w Auli prof. Jana Baszkiewicza na Wydziale Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych – ul. Krakowskie Przedmieście 26/28).

Cały program i zasady uczestnictwa w poszczególnych spotkaniach dostępne są na stronie: **festiwalnauki.edu.pl**

Serdecznie polecamy!

Izrael na Koszykowej: My i oni. Jak rozmawiać o trudnych relacjach Polski z Izraelem

Po letniej przerwie POLITYKA i Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy – Biblioteka Główna Województwa Mazowieckiego zapraszają na debatę z cyklu **Izrael na Koszykowej**.

Spotkanie odbędzie się w czwartek 18 września w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy przy ul. Koszykowej 26/28 o godz. 18 (w sali konferencyjnej Gmachu im. St. Kierbedziów). W debacie, którą poprowadzi dziennikarka POLITYKI Agnieszka Zagner, udział wezmą: były ambasador Polski w Izraelu Maciej Kozłowski, dziennikarka Marta Rebzda oraz mieszkający w Polsce Izraelczyk Alon Benach.

Zachęcamy także do obejrzenia transmisji online ze spotkania na kanałach YouTube (BibliotekaKoszykowa i PolitykaPL).

Projekt finansuje Miasto Stołeczne Warszawa.





O gospodarce w Elblągu

Już za tydzień zapraszamy na relację z drugiego panelu sympozjum Ogrodów POLITYKI „Subregion elbląski jako szansa zrównoważonego rozwoju – mit czy cel strategiczny?". O szansach i ograniczeniach dla gospodarki z przedstawicielami biznesu rozmawiała Joanna Solska.

Nagroda dla Tychońca

Dr Łukasz Tychoniec – autor naszego działu naukowego i portalu Pulsar – otrzymał Nagrodę Młodych Polskiego Towarzystwa Astronomicznego.

– *Nie miałem od razu bardzo jasnej wizji tego, jak mają wyglądać studia astronomiczne i moja kariera w ogóle* – przyznaje astrofizyk. Skrystalizowała się ona jednak już na studiach magisterskich na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Łukasz zajął się wówczas obserwacją protogwiazd w Gwiazdozbiorze Perseusza. Kontynuacja tych prac podczas doktoratu doprowadziła go do fundamentalnego odkrycia: planety – dotyczy to także Układu Słonecznego – powstają znacznie szybciej, niż przypuszczano, czyli w czasie krótszym niż pół miliona lat.

Właśnie te badania nad formowaniem się gwiazd i dysków protoplanetarnych z wykorzystaniem danych z najważniejszych teleskopów naziemnych i kosmicznych (Very Large Array, Atacama Large Millimeter Array czy James Webb Space Telescope) doceniło jury Nagrody Młodych PTA. – *Jestem bardzo wdzięczny. Cieszę się, że mój dorobek naukowy jest zauważany w Polsce* – mówi Łukasz, który teraz pracuje na Universiteit Leiden.

Pozostali laureaci nagród towarzystwa to: prof. Marcin Kubiak, Michał Szymański i Andrzej Udalski (Medal Bohdana Paczyńskiego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie astronomii i astrofizyki) oraz Stefan Janta, Adam Michalec i Stowarzyszenie Polaris – OPP (Nagroda i Medal im. Włodzimierza Zonna za popularyzację wiedzy o wszechświecie). KC



Posłuchaj: Podkast 145. Agata Karska, Łukasz Tychoniec: Czujemy chemię do astronomii

© ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl 8b5cbd649a

Ludzie zakładają się dziś o wyniki Oscarów, najpopularniejsze przeboje muzyczne czy oceny filmów. Można na tym zarobić, ale łatwiej stracić.

Zakład o Wiedźmina

Który film zarobi w tym roku najwięcej w kinach: „Minecraft”, „Zootopia 2” czy „Wicked: Na dobre”? Skoro jej członkowie zakończyli już służbę wojskową, to czy k-popowa grupa BTS opublikuje w tym roku nowe utwory? Jakie oceny zbierze nowy sezon serialu o Wiedźminie? A co się wydarzy przed wyczekiwaną premierą szóstej części hitowej gry „GTA”: nową płytę wypuści wreszcie Rihanna czy raczej Donald Trump straci stanowisko?

Tego rodzaju mniej lub bardziej absurdalne zakłady można godzinami przeglądać na popularnych internetowych platformach hazardowych. Kojarzą się zwykle z zakładami sportowymi i przeważnie taką mają genezę, ale dziś tematyka jest zróżnicowana: od polityki, poprzez gospodarkę, aż po sferę plotek (czy Obamowie się rozwiodą?, czy kochankowie przyłapani przez kamerę na koncercie Coldplay pozwą zespół za ujawnienie ich romansu?).

Co roku obstawia się także zwycięzców Oscarów w poszczególnych kategoriach, tak jak i nowych noblistów. Ale zakładów filmowych jest znacznie więcej, podobnie jak serialowych czy muzycznych. I niektórzy podchodzą do nich całkiem poważnie, wręcz profesjonalnie. Jednym z bardziej znanych kulturalnych hazardzistów jest amerykański informatyk Caleb Davies. Zaczynał od obstawiania wyników amerykańskich wyborów – zarobił na tym ponad 100 tys. dol. – ale później przestawił się na muzykę i kino. Teraz zakłada się chociażby o to, jaka piosenka danego dnia będzie najpopularniejsza na Spotify.

„Ten serwis zwrócił moją uwagę, bo tutaj wszystkie dane są jawne, wszystko jest transparentne. Dzięki analizie tych danych mogę wychwytywać pewne trendy. To 95 proc. matematyki i 5 proc. intuicji” – opowiadał niedawno Davies jednemu z portali internetowych. Codziennie przygląda się temu, które piosenki zyskują na popularności, a które tracą w rankingach. Porównuje to z danymi historycznymi oraz z analogicznymi zestawieniami w innych serwisach streamingowych. „Modelowanie matematyczne jest niezbędne do regularnego wygrywania zakładów, ale są wyjątki – zaznacza. – Gdy raper Kendrick Lamar bez zapowiedzi wypuścił nowy album, bez zaglądania w liczby wiedziałem, że wskoczy na sam szczyt”.



Mariusz Herma – W POLITYCE od dekady pisze o muzyce i nowych mediach, o wszystkim innym w Fiszkach POLITYKI. Założyciel serwisu beehype, który zrzesza dziennikarzy muzycznych z prawie całego świata.

Typowanie muzycznych przebojów i tak uznaje za banalne w porównaniu z przewidywaniem tego, jakie recenzje zbiorą premiery kinowe i serialowe – a konkretnie: jaką notę wystawi im agregator opinii Rotten Tomatoes. Ten zbiera recenzje z setek źródeł, od czołowych tytułów prasowych i specjalistycznych portali po popularne blogi, i na bieżąco wylicza uśrednioną ocenę dla danego tytułu w procentach. Zatem pierwszy sezon „Wiedźmina” ma tylko 68 proc., za to drugi – już 95 proc., a trzeci – 79 proc. „Tutaj modelowanie oznacza znaczne wyprzedzanie czasu. Muszę śledzić każdą pojawiającą się recenzję i liczyć, jak wpłynie ona na ogólny wynik. Spotify to jeden zrzut danych dziennie, tutaj sprawy są bardziej skomplikowane” – tłumaczył Davies.

Mimo własnych sukcesów Davies zniechęca do pójścia w jego ślady, bo przez lata napatrzył się na ludzi, którzy na internetowym hazardzie tracą majątek. Podkreśla też, że bez obiektywnej przewagi nad innymi obstawiającymi – takiej jak jego umiejętności i narzędzia analityczne – na dłuższą metę nie da się tak zarabiać. Zresztą sam cały czas pracuje na etacie. Ostrzega też, że czasem na platformach hazardowych pojawiają się duże zakłady chwilę przed tym, gdy ujawniona zostanie jakaś ważna informacja. „Na przykład tuż przed tym, jak Spotify opublikuje swoje codzienne dane. Za każdym razem zastanawiam się wtedy, czy ktoś dostał przeciek z firmy” – przyznaje Davies.

Jeśli więc ktoś koniecznie chce stracić trochę pieniędzy na przewidywaniu przyszłości, może lepiej wybierać zakłady, w których modelowanie matematyczne na nic się nie zda. A przecieki nigdy się dotąd nie sprawdzały. I na przykład obstawić: „Czy Jezus Chrystus wróci na Ziemię w tym roku?”. Na razie platformy hazardowe szanse na to szacują na niecałe 3 proc. ■

TREND



© LESZEK ZYCH, SHUTTERSTOCK, TIKTOK.COM/@GINJIRO_KOYAMA, KAROL MAKURAT/REPORTER

eprasa.pl 8b5cbd649a

Taniec białej gołębicy

WIRAL

Rok 2025. Jeden z trolli rezydujących na platformie X (dawniej Twitter) komentuje filmik, na którym widać tańczące dziewczyny z jednej z polskich szkółek jeździeckich. Komentarz jest niepochlebny, wręcz nienawistny. Kto to widział, żeby młodzi ludzie się wygłupiali i dobrze bawili?

Rok 1975. Holenderski muzyk George Baker (prawdziwe nazwisko Hans Bouwens) kupuje sobie flet prosty. Siedzi w ogrodzie, słyszy śpiew ptaka – i zaczyna grać wesołą melodię. Stanie się ona podstawą piosenki „Paloma Blanca", napisanej z perspektywy południowo-amerykańskiego farmera, który obserwując tytułową białą gołębicę, marzy o wolności. Piosenka staje się hitem w Europie i Oceanii, trafia nawet na amerykańskie listy przebojów.

„Paloma Blanca" toczy sobie spokojny żywot typowego „one hit wonder", zaszczyca wesela, radia ze złotymi przebojami, jest parodiowana i przerabiana, w 2005 r. wraca nawet na holenderskie listy przebojów za sprawą filmu „Vet Hard" – i oczywiście w końcu staje się trendem na TikToku.



I jak często bywa – nie cała, ale jej fragment: intro, w którym do skocznego rytmu dołącza ptasi flet. To cięcie na fragmenty w internecie przypominają nieco praktyki radia i telewizji z PRL, gdy nie bacząc na prawa autorskie, wycinało się co lepsze kawałki w celu stworzenia dżingli (audycja sportowa dla dzieci „Piłkarska kadra czeka" używała np. piosenki „Son of My Father" Giorgio Morodera). „Paloma Blanca" wykorzystywana jest na dwa sposoby: podkłada się ją pod nagrania innych wykonawców (np. roztańczonej Beyoncé lub skaczącego po scenie Angusa z AC/DC), co daje efekt komiczny. Z Japonii przyszedł zaś taniec, prawdopodobnie nawiązujący do teledysku towarzyszącego włoskiemu coverowi piosenki. Zabawa jest prosta: wystarczy rozbujać się jak pajacyk i ruszyć przed siebie w rytm melodii, najlepiej z grupą znajomych, gęsiego albo organizując flash mob. Trzeba tylko uważać, żeby nasz filmik nie trafił w ręce jakiegoś skwaszeńca z „iksa".

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Fitu fitu

SŁOWO



Influencerzy niczym nawigacja – potocznie nawi – prowadzą nas przez życie w różnych jego dziedzinach. I tak jak nawi, często wyprowadzają na manowce. Jedno i drugie znalazło się zresztą w nowym utworze Fausti, czyli Faustyny Fugińskiej, zatytułowanym „Na party". „Mój ulubiony fit – Prada i czyjaś dziewczyna/ Weź nie gadaj, tylko chodź, uber już Hocki w nawi ma". Nie jest to wielka poezja, ale da się z tego coś wynieść. Choćby wiedzę o tym, że influencerzy bawią się w klubie Hocki Klocki. Fit to z kolei od angielskiego outfit – ubranie, strój, kreacja. Zarówno ten rzeczownik, jak i czasownik „fitować" – jako „pasować" – pojawiły się w polszczyźnie za sprawą języka szafiarek, o których pisał u nas (POLITYKA 20/15) Andrzej Czerniawski, wspominając wtedy o „fitowaniu do sylwetki". Nie ma więc nic dziwnego w sytuacji, gdy internauta opisuje, że laleczka Labubu fituje mu z kołczanem prawilności (czyli popularną nerką, ale noszoną jak kołczan). Zrozumiały jest też rym Kaza Bałagane'a: „Mam na sobie nowy sweter, Jaca trendsetter/ Wszystko fituje mi jak parma do rukoli". Utwór nosi tytuł „Trendsetter", co fituje z przekazem. Mowa jest w końcu o tych, którzy wyznaczają trendy.

Właśnie! Znaczenie czasownika przeniosło się szybko na inne pola. „Nie fituje mi to z tym, co gadał wcześniej" oznacza tyle co: „Nie pasuje mi to do tego, co wcześniej mówił". Jak rapował **Szpaku**: „Zabierz broń, zabierz tron głupim ludziom/ Ból nie fituje z dziecka buzią". Jest jeszcze hasło „bądź fit", ale influencerzy pomagający dbać o formę fizyczną (i reklamujący np. fit słodycze, o których pisaliśmy tydzień temu) to nie ta kategoria. Fausti raczej zalicza się do tych, którzy testują psychiczną kondycję. Sławę zdobyła m.in. tym, że zamknęła się na 120 godzin w izolatce z dostępem do „notesa i długopisu" (nie po to, żeby dać odpocząć od siebie fanom, bo obszernie to relacjonowała). Film z izolatki porzuciłem po pięciu minutach, ale po tym czasie wiem już, że choć nie wszystko mi fitowało w sposobie bycia i mówienia influencerki, to tekst „Na party" fituje do niego jak ulał.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Piłem wczoraj Hennessy, dolewałem lean,
Brałem tusi dla fabuły – niezły film
Young Igi feat. Kizo, 100 w serii, 2025 r.
tusi – 2C, substancja psychodeliczna
lean – narkotyczny napój na bazie syropu na kaszel

eprasa.pl 8b5cbd649a

Kiedy wszystkie kurorty wyglądają tak samo, lokalną kulturę można poznać w supermarketach.

Biała małpa z brzoskwinią



PODRÓŻE

We wszystkich miejscach, do których trafiam w podróży, zwiedzanie zaczynam od... sklepów. Mam nawet swoją prywatną listę zachwytów z supermarketów świata. Najwięcej jest tych z Tajlandii. Maść o nazwie „Biała małpa, która trzyma brzoskwinię"; saszetka pastylek na kaszel z wizerunkiem mężczyzny o niebieskim licu w otoczeniu czerwonych stonóg...

W Grecji od razu biegnę po wiecheć gojnika, z którego robi się aromatyczny napar. W Norwegii – po ciemny słodkawy ser *brunost*. W Indiach – po sandałowe kadzidło i mydło z miodli indyjskiej, *neem*. W Indonezji – po kurkumowy napój *jamu*.

Dlatego z dumą uznałam się za prekursorkę trendu „turystyki supermarketowej", widocznego od kilku miesięcy w mediach społecznościowych. Turyści i podróżnicy prezentują tam swoje zachwyty produktami ze sklepów z całego świata. Kilkanaście smaków angielskiej fasolki w puszce; francuskie czipsy o smaku sera owczego i papryki Espelette; kiszone mango z Nepalu; żel z mchu morskiego z ekskluzywnego sklepu Erewhon w Los Angeles... Jedni ekscytują się tym, że znane im produkty występują w niecodziennych odmianach (jak choćby japoński batonik **Kit-Kat o smaku sakury**), inni bawią się w detektywów, by dociec co, jak i kiedy jedzą albo stosują miejscowi, jeszcze inni zachwycają się dizajnem opakowań.



Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

Być może moda na zwiedzanie supermarketów wzięła się stąd, że turyści są zmęczeni jednolitością przestrzeni, w których przebywają. W każdym kraju są unikalne zabytki czy krajobrazy, które trzeba obejrzeć, jednak turystyczne miejscowości są niepokojąco monotonne (i tylko tłum jest wszędzie podobny). Wypełniają je hotele *all inclusive*, z rzędami identycznych pokoi, bufetowymi restauracjami i animacjami nad basenem. Albo – pensjonaty, w których lokalny akcent to zwykle tylko obraz na ścianie czy ręcznie tkane poszewki na poduszki. Zjeść jajka z tostem i wypić cappuccino można w kawiarniach o podobnym, surowym wystroju albo w restauracjach, w których w menu oprócz kilku lokalnych potraw zawsze znajdzie się pizza, spaghetti czy hamburger z frytkami. Do tego oczywiście niemal wszędzie napotkamy sklepiki z pamiątkami wyprodukowanymi w Chinach.

Turystyczne miejscowości zaczynają przypominać lotniska, które wszędzie są (prawie) identyczne. Z jednej strony taka jednolitość powoduje, że można poczuć się jak w domu, z drugiej – odbiera podróżom nieprzewidywalność kontaktu z innym, nieoswojonym. A bez tego nie ma również zachwytu odmiennością. Dziś przebywanie w turystycznych przestrzeniach przypomina pływanie w basenie z letnią wodą. To już nie wanna w domu, ale też nie piękny i niebezpieczny ocean.

Coraz trudniej jest wyrwać się z tej mdłej przestrzeni i wyprawić na poszukiwanie „autentycznego życia". Często również i to doświadczenie jest zaprojektowane i sprzedawane w formie wycieczek do „etnicznej wioski" albo na „lokalny festiwal".

Turyści odkrywają więc nowe sposoby kontaktu z autentycznością. Supermarkety, które są w każdej miejscowości i wciąż służą głównie mieszkańcom, dostarczają miniokazji do zachwytu nad odmiennością w postaci przekąsek i gadżetów. Filmiki, w których podróżujący dzielą się historiami o swoich znaleziskach, obfitują w narracje o innych kulturach, które są głęboko zanurzone w codzienności i wykraczają poza suche fakty z przewodników. Czemu w Singapurze pije się herbatę z grzyba? Dlaczego w wietnamskich supermarketach jest cała alejka z sosami rybnymi? Jak to możliwe, że na Filipinach sprzedaje się olej w plastikowych woreczkach?

Jednak przemysł turystyczny nie śpi i gotów jest zmonetyzować każdy nowy trend, nawet ten, który próbuje ocalić resztki lokalnej autentyczności. Mam nadzieję, że zanim media społecznościowe zaleją ogłoszenia o spersonalizowanych wycieczkach po supermarketach i listach przekąsek, których musisz spróbować w podróży (oczywiście sponsorowane!), ktoś wyjaśni mi, dlaczego biała małpa trzyma akurat brzoskwinię. ■

© KIM KYUNG-HOON/REUTERS/FORUM, ATHANASIOS GIOUMPASIS/GETTY IMAGES, GREAT GREEK WINES, ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW





WINO

Pięćdziesięciu wspaniałych

Innowacyjny konkurs rozkręcił skostniałe winiarstwo w Grecji.

Wracam do tematu win greckich. Przemiana Hellady z brzydkiego kaczątka Europy w pięknego łabędzia na przestrzeni dosłownie dekady to rzecz bezprecedensowa we współczesnych dziejach. Jeszcze niedawno robiono tu tylko zalatujące rycyną, nomen omen, retsiny oraz utopione w waniliowym dębie mieszanki miejscowych odmian z mającym wybawić je od obciachu merlotem. A dziś krajobraz jest piękny jak nigdzie indziej, skrzący się feerią fantastycznych świeżych, morskich i górskich smaków, umajony oryginalnymi stylami i – to chichot historii – miejscowymi odmianami. Assýrtiko, aidani, vidianó, thrapsathiri, robola, roditis, moschófilero, malagousiá, xynómavro, agiorgítiko, mavrodaphne, limniona, kotsifali, mandilaria, liátiko i setka innych dają dzisiaj greckim winom oryginalną, niepowtarzalną twarz.

W docenieniu tego dziedzictwa ważną rolę odegrał konkurs 50 Great Greek Wines, zainaugurowany w covidowym 2020 r. przez jednego z dwóch greckich Masters of Wine Yiannisa Karakasisa. W poprzednim życiu oficer marynarki w stopniu komandora, pilot wojskowych helikopterów, postanowił poszukać w morzu greckiego wina 50 najlepszych, najbardziej oryginalnych butelek. Do ich oceny i selekcji zaprosił jednak nie miejscowych ekspertów, obawiając się konfliktu interesów czy patriotycznego skrzywienia, lecz czołowych degustatorów z całego świata z tytułem Master of Wine albo Master Sommelier. Zamiast przyjmować butelki bezpośrednio od winiarzy (plagą innych konkursów są tzw. *journalist cuvées*, czyli podrasowane wersje win wysyłane po to, żeby zrobić lepsze wrażenie), postanowił... kupować je w sklepach. W tej sposób zagwarantował, że wina degustowano w takiej samej postaci, w jakiej robi to konsument.

Innowacji było więcej. Zamiast oceniać wina w skali 100-punktowej, a oceny uśredniać, co nieuchronnie prowadzi do promowania win bezpiecznych, niebudzących ani wielkiego entuzjazmu, ani kontrowersji, zmusił jurorów (wśród których jest również niżej podpisany) do dyskusji nad każdą butelką i konsensu. Wynikiem degustacji zaś nie są jak gdzie indziej złote, srebrne i brązowe medale, rozdawane hojną ręką (na niektórych konkursach prawo do naklejki zdobywa ponad jedna trzecia zgłoszonych win), lecz po prostu lista 50 absolutnie najlepszych butelek produkowanych w kraju winiarskim Grecja.



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Innowacyjna formuła natychmiast chwyciła. Pierwsza pięćdziesiątka w 2020 r. stała się sensacją, bo obok win znanych i cenionych pojawiły się zupełnie nieoczekiwane, np. niebeczkowana Nemea Thronos za 10 euro albo absolutnie szalone wino Methymneaos z wyspy Lesbos, o unikatowym bukiecie suszonych kwiatów i zajęczego futra. Na 50 Great Greek Wines swoją sławę ugruntowały czołowe greckie winiarnie, takie jak Argyros z Santorini czy Lyrarakis z Krety.

W kolejnych latach mnóstwo miejsc na liście zajęły retsiny nowej generacji (o których pisałem w POLITYCE 46/23): cudownie rześkie, z czystymi nutami świeżo zebranej w nadmorskim gaju sosnowej żywicy. Grecki światek winiarski zrazu nie dowierzał, ale moc trendu i wizji prędko przeważyły. Dzisiaj takie retsiny, jak Pytis Ritinitis Troupisa albo najnowszy krzyk mody Kallos 1979, wdzierają się do kart najlepszych restauracji.

Sukces okazał się tak wielki, że do tegorocznej edycji konkursu zgłoszono blisko 700 win i nie dało się już utrzymać liczby 50 – obecnie Great Greek Wines wyróżnia po prostu 10 proc. nadesłanych butelek. W tym roku po raz trzeci z rzędu na tej liście znalazła się np. czerwona Limniona Oenops o smaku świeżo zebranych malin, ale i woskowa Kydonitsa z Monemvasii na Peloponezie, do wczoraj traktowana jako lokalne dziwadło, a teraz wylansowana na globalny trend. Niezależnie, czy wino greckie pijecie na co dzień, czy tylko w czasie wyjazdu, ta lista to lektura obowiązkowa. ■

Alpha Estate Amyndeo Rosé Xinomavro 2024, 119 zł (melideli.pl)
Gerovassiliou Malagousia 2023, 139 zł (melideli.pl)
Kir-Yianni Naoussa Ramnista 2020, 148,50 zł (domwina.pl)
Biblia Chora Ovilos White 2023, 159 zł (melideli.pl)
Gavalas Santorini Wild Ferment 2022, 204,99 zł (greckieprzysmaki.pl)

eprasa.pl 8b5cbd649a

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Putin na wieczność?

Czy Władimir Putin tak naprawdę jest wampirem? To wbrew pozorom poważne pytanie. O długowieczności rosyjski dyktator rozmawiał niedawno z Xi Jinpingiem, nieświadom, że mikrofony to wyłapią. **Łukasz Wójcik, szef działu zagranicznego POLITYKI, w swoim autorskim podkaście „Portret polityka" wyjaśnia, dlaczego Putin chciałby żyć i rządzić wiecznie**, jak zamierza to osiągnąć i co to oznacza dla reszty świata, który życzy mu otwarcie czegoś zgoła przeciwnego.

Republika w Ameryce

Telewizji Republika zamarzył się własny szczyt w USA. Na konferencję pod hasłem „Polish-American Strategic Industries Summit" stacja zaprosiła śmietankę MAGA, **całość trwała osiem godzin i była transmitowana online. Michał Danielewski obejrzał, żebyście wy nie musieli, streszczamy na polityka.pl**. Szybkie wnioski? Polska jest prymusem, a Karol Nawrocki, prezydent, bokser i historyk w jednej osobie, broni jej mężnie. Zagraża nam rzecz jasna głównie Zachód.





Skąd się wziął kult Kirka

Skrajna prawica opłakuje Charliego Kirka. Ten słynny amerykański influencer powielał propagandę Kremla, bronił dostępu do broni palnej i układał czarne listy osób, które były potem nękane. Polski Sejm uczcił pamięć Kirka minutą ciszy. Tak rodzi się mit, który może się okazać groźny. **„Żeby zrozumieć amok, w jaki wpadła polska prawica po zamachu na Charliego Kirka, trzeba zrozumieć kulturę, której był częścią", pisze Michał R. Wiśniewski.**



Polska rodzinka wraca smutniejsza

Internet spiera się o serial „Rodzinka.pl", który wrócił po latach na ekrany. Bohaterowie dojrzeli, zgnuśnieli, posmutnieli. Według części widzów wreszcie jest prawdziwie. Inni sądzą odwrotnie: to jakaś „patologia", a nie przykładna polska rodzina. **Ale serial „Rodzinka.pl" nigdy nie słynął z subtelności – przypomina Aneta Kyzioł. Dlatego za rządów PiS w TVP został skasowany.** Tyle dobrego, że dziś o jego losach zdecydują raczej widzowie – pilotami.



Papuguj!

Marcin Rotkiewicz donosi, że nie psy, nie małpy i nie delfiny, tylko papugi uczą się jak ludzie – przez podglądanie. Do tej pory sądzono, że to wyłączna domena człowieka, fundament powstawania naszej kultury. Naukowcy pierwszy raz dowiedli, że jednak nie. W eksperymencie wzięły udział ary szafirowe, bo funkcjonują w złożonych strukturach społecznych. Najciekawsze okazało się ćwiczenie obrotów – ale o tym więcej na polityka.pl.

© SHUTTERSTOCK (2), YOUTUBE.COM/TELEWIZJA_REPUBLIKA, THOMAS MACHOWICZ/REUTERS/FORUM, TVP

GALERIA POLITYKI

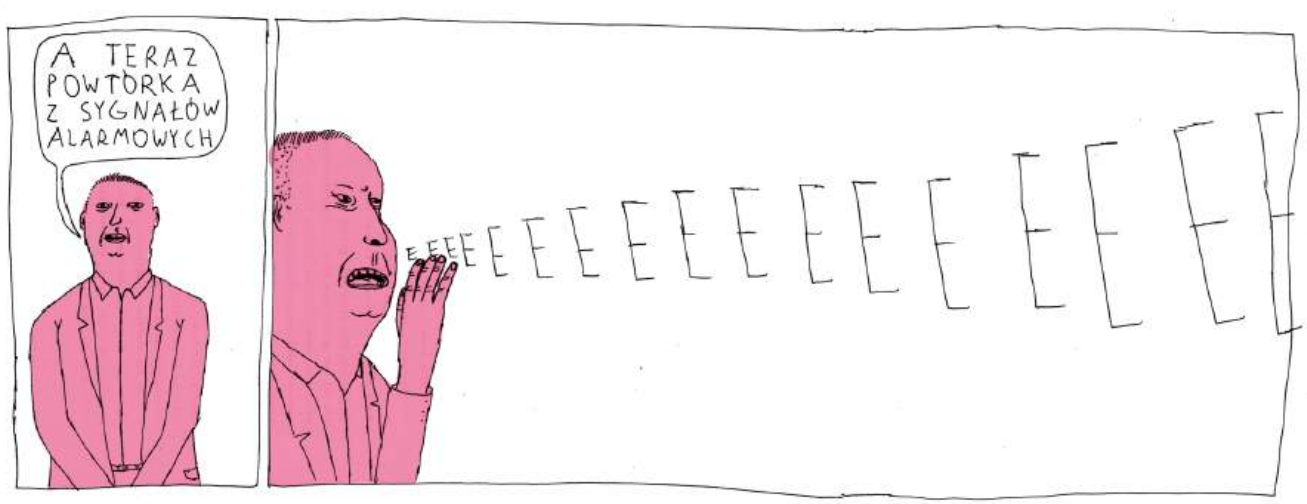
A TERAZ POWTÓRKA Z SYGNAŁÓW ALARMOWYCH
EEEE

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 8b5cbd649a

Albatros travel





Pełne wyżywienie



Klasyczne safari w Tanzanii

Przeżyj ekscytujące safari, a po nim chwile relaksu mieszkając w nowym campie Albatros Travel Honeyguide Tarangire w Parku Narodowym Tarangire.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Kilimandżaro. **Dz. 2** Wizyta na plantacji kawy i przejazd do obozu Honeyguide Tarangire. **Dz. 3** Safari w Parku Narodowym Tarangire. **Dz. 4** Wioska Mto wa Mbu i wizyta masajskiej wiosce Kakoi Village. **Dz. 5** Całodniowe safari w parku Tarangire z piknikiem. **Dz. 6** Safari w Kraterze Ngorongoro wpisanym na listę UNESCO (dodatkowo płatne) lub safari w parku Tarangire. **Dz. 7** Honeyguide Tarangire Camp – Arusza. Wylot do Polski. **Dz. 8** Przylot do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 08/03 2026 | 13.998,-

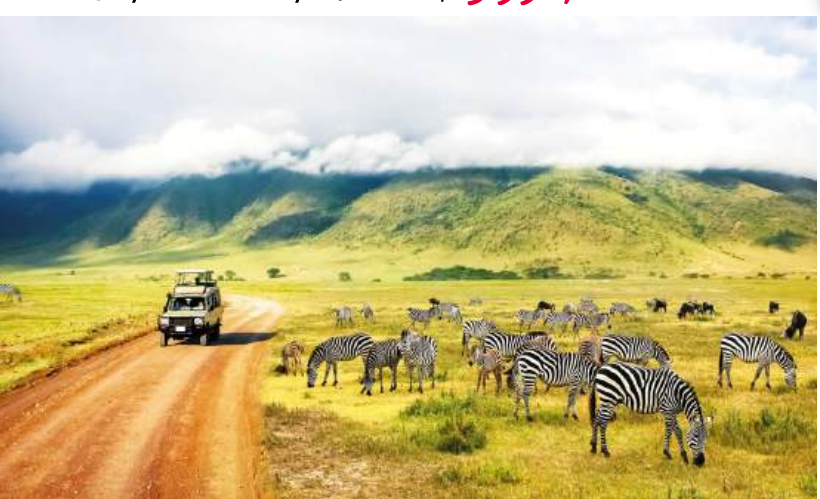



4,9/5

5 obiadów i 6 kolacji w cenie



Afryka Mandeli

Trasa tej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju: od safari w Parku Krugera przez Kapsztad do Przylądka Dobrej Nadziei.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do Hazyview. **Dz. 3** Trasa Panoramiczna i Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 4–5** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 6** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti - Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Zebra Reptile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – George – nadmorskie miasteczko Knysna. **Dz. 9** Rezerwat przyrody Featherbed, laguna Knysna i spacer po nadmorskim lesie. **Dz. 10** Knysna. Winnica w Robertson z degustacją wina. Kapsztad. **Dz. 11** Kapsztad - zwiedzanie miasta. Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker. Punkt widokowy Chapman's Peak. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 13** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 13/02, 29/10, 22/11 2026 | 15.498,-



albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL36**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 8b5cbd649a